Paweł Grabarczyk

W POSZUKIWANIU TEORII ZNACZENIA

PRÓBY EKSPLIKACJI POJĘCIA ZNACZENIA W FILOZOFII XX WIEKU

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

W POSZUKIWANIU TEORII ZNACZENIA

PRÓBY EKSPLIKACJI POJĘCIA ZNACZENIA W FILOZOFII XX WIEKU



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

Paweł Grabarczyk

W POSZUKIWANIU TEORII ZNACZENIA

PRÓBY EKSPLIKACJI POJĘCIA ZNACZENIA W FILOZOFII XX WIEKU

WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

Łódź 2018

RADA NAUKOWA SERII *W POSZUKIWANIU IDEI XXI WIEKU*

Tomasz Sieczkowski, *Paweł Grabarczyk*, *Katarzyna de Lazari-Radek*
Marcin Kafar, *Michał Wróblewski*

REDAKTORZY INICJUJĄCY SERII *W POSZUKIWANIU IDEI XXI WIEKU*

Urszula Dzieciątkowska, *Agnieszka Kałowska*

RECENZENT

Anna Jedynak

OPRACOWANIE REDAKCYJNE

Janna Balcerak

SKŁAD I ŁAMANIE

Munda – Maciej Torz

PROJEKT OKŁADKI

Katarzyna Turkowska

Zdjęcia wykorzystane na okładce: © Depositphotos.com/t30gallery

© Copyright by Athors, Łódź 2018

© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2018

Publikacja jest udostępniona na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 4.0 (CC BY-NC-ND)

ISBN 978-83-8088-388-8

e-ISBN 978-83-8088-389-5

https://doi.org/10.18778/8088-389-5

Dla moich trzech A:
Ani, Antosia i Amigi

Spis treści

Wstęp 9

CZĘŚĆ I. TEORIE TRADYCYJNE

Rozdział 1. Znaczenie według Johna Locke'a. 21
Rozdział 2. Konotacja i denotacja w teorii Johna Stuarta Milla 27
Rozdział 3. Gottlob Frege i podział na „sens" i „nominat". . 37
Rozdział 4. Teoria deskrypcji Bertranda Russella 51

CZĘŚĆ II. EKSPLIKACJA

Rozdział 5. Rudolf Carnap – teoria syntaktyczna 61
Rozdział 6. Kazimierz Ajdukiewicz – dyrektywalna teoria znaczenia 71
Rozdział 7. Ludwig Wittgenstein z *Traktatu logiczno-filozoficznego*, czyli obrazkowa teoria znaczenia 103
Rozdział 8. Alfred Tarski i rehabilitacja semantyki 121
Rozdział 9. Ekstensja, intensja i weryfikacja w późnej teorii Rudolfa Carnapa 131

CZĘŚĆ III. DESTRUKCJA

Rozdział 10. Późny Wittgenstein, czyli gry językowe 157
Rozdział 11. Willard Van Orman Quine i widmo niezdeterminowania 175

CZĘŚĆ IV. NOWE NADZIEJE
Rozdział 12. Donald Davidson – teoria prawdy jako teoria znaczenia 211
Rozdział 13. Saul Kripke i Hilary Putnam, czyli tryumfalny powrót metafizyki 223

Zakończenie 247

Literatura cytowana 259

Wstęp

Sceptycy twierdzili, że w języku istnieją trzy różne od siebie rzeczy – słowo, przedmiot, który słowo oznacza i sens (względnie znaczenie), czyli to, czego w odróżnieniu od słowa i przedmiotu nie postrzega człowiek, który nie zna danego języka [Stanosz 1973: 11]. Rozróżnienie to wydaje się tak naturalne, że aż trudno uwierzyć, że problematyka znaczenia okazała się dla filozofów zagadką, którą zajmowali się praktycznie przez cały wiek XX.

Pojęcie znaczenia występuje w filozofii pod wieloma nazwami: „treść", „sens", „intensja", „komprehensja", „pojęcie", „sąd"[1], „treść kognitywna". Niekiedy nawet słowo „informacja" bywa synonimem znaczenia. Niezależnie od tego, pod jaką nazwą występuje, nie ulega wątpliwości, że pojęcie znaczenia jest jednym z najważniejszych, jeśli nie najważniejszym pojęciem filozofii analitycznej. Jeżeli przyjmiemy, że filozofia analityczna narodziła się wraz z pracami Gottloba Fregego o języku, to uznać można, że zagadnienie pojęcia znaczenia leży u podstaw całego tego nurtu. Nie powinno nas to dziwić. Tak zwany „zwrot lingwistyczny", który jest niewątpliwie jednym z najbardziej charakterystycznych aspektów filozofii analitycznej, prowokuje pytania o znaczenie wyrażeń. Choć filozofia analityczna podej-

1 W przypadku sensu zdań.

muje wiele spośród klasycznych „wielkich pytań filozofii", to jej metoda zakłada możliwość sparafrazowania lub doprecyzowania ich oraz równoznaczność analizowanego z analizowanym, a przynajmniej podobieństwo znaczenia. Wygląda więc na to, że od pojęcia znaczenia nie sposób uciec. Jest ono uwikłane w sieć innych pojęć, którymi interesują się filozofowie analityczni. Oczywisty jest choćby jego związek z odniesieniem przedmiotowym[2], a dzięki temu również z pojęciem prawdy (przynajmniej w ujęciu Fregowskim, w którym prawda to jedno z dwóch dostępnych odniesień zdań). Mówiąc o zdaniach prawdziwych na mocy znaczenia, dochodzimy do pojęcia analityczności. Zdania analityczne, rozumiane tradycyjnie jako odznaczające się aprioryczności a i koniecznością, angażują nas w epistemologiczny problem wiedzy i metafizyczny problem światów możliwych. Jeżeli uświadomimy sobie jeszcze, że pojęcie znaczenia jest spadkobiercą innego ważnego pojęcia filozofii – pojęcia idei – to łatwo możemy dojść do wniosku, że praca o teorii znaczenia powinna przyjąć formę rozprawy monumentalnych rozmiarów. Krótki rzut oka na liczbę stron rozprawy, którą czytelnik ma w ręku wystarczy do tego, by uznać, że dokonano tu jakichś uproszczeń. I rzeczywiście, pomijam w tej książce zupełnie zagadnienia dotyczące tradycyjnego pojęcia idei, choć sądzę, że jest to temat godny odrębnych badań. Pomijam również te rozważania na temat pojęć analityczności, odniesienia i prawdy, które nie wyznaczają określonej teorii znaczenia. Zrezygnowałem wreszcie z analizy koncepcji odwołujących się do pojęcia intencji użytkownika języka. Uznałem, że próba objaśnienia pojęcia znaczenia przez odwołanie się do pojęcia o wiele mniej

2 Jak zobaczymy na następnych stronach, wcale taki oczywisty nie jest. Chodzi tu więc raczej o preteoretyczne intuicje, o których mówię w dalszej części *Wstępu*.

jasnego[3], którego potoczny odpowiednik oparty jest głównie na metaforach[4], od początku nie rokuje zbyt dobrze. Innym świadomym ograniczeniem tematyki jest skupienie się na tzw. znaczeniu leksykalnym – idąc za intuicją badaczy omawianych na kolejnych stronach tej książki przyjmuję, że nawet jeżeli znaczenie konkretnej wypowiedzi uwikłane jest w kontekst (który badać powinna pragmatyka języka), to bazuje ono na niezależnym od kontekstu leksykalnym trzonie, którego teorię podawać powinna semantyka języka. Częściowo z tych samych względów nie omawiam w tej pracy również nowszych teorii z dziedziny kognitywistyki. Dobór analizowanych koncepcji podyktowany jest bowiem zamiarem pokazania drogi, jaką teoretycy znaczenia przebyli – od niezwykłego optymizmu do stanowiska, które określane bywa jako „nihilistyczne". Główne zadanie teoretyków znaczenia określam kilkakrotnie w tej pracy mianem „projektu eksplikacji". Nie jest to żaden wspólny projekt, który filozofowie podjęliby razem w ramach jakiegoś manifestu czy pojedynczej szkoły filozoficznej. Jest to raczej zbiorcza nazwa dla rozmaitych koncepcji, których autorzy starali się nie tyle o uzyskanie „znaczenia pojęcia znaczenia", ile raczej o wypracowanie pewnego możliwie precyzyjnego pojęcia odpowiadającego niektórym wybranym kontekstom swego preteoretycznego oryginału. Przy doborze koncepcji kierowałem się więc głównie chęcią pokazania, jak program eksplikacji borykał się z zachowaniem pewnych intuicji co do potocznego pojęcia znaczenia. Intuicji, które autorzy traktowali często jak wskaźnik sukcesu teorii – teoria idealna powinna wspierać wszystkie lub choćby

3 Za przykład niech posłuży sformułowanie Strawsona: „[…] intencją […], którą w sposób niepełny można opisać jako powiadamianie lub wywoływanie u odbiorców myśli, że mówiący posiada pewne przekonanie" [Strawson 1970: 20].

4 Być z czymś w stosunku intensjonalnym wyjaśniane jest często jako „bycie nakierowanym na…", „celowanie w…", „trafianie w…".

większość z nich. Obecność tych założeń nietrudno w omawianych poniżej teoriach dostrzec, choć ich status w ramach danej teorii bywa różny – niekiedy były one przez autorów wyrażone wprost, jako dezyderaty, które teoria powinna spełniać, niekiedy formułowane były jako tezy lub prawa, niekiedy zaś funkcjonowały jako aprioryczne założenia oczywiste tak bardzo, że autorzy uświadamiali je sobie dopiero odkrywszy, że stworzona przez nich teoria im przeczy. Przyjrzyjmy się pokrótce tym intuicjom.

1. *Znaczenia są pewnego rodzaju przedmiotami*. Zakłada się tu, że można uzyskać sensowną odpowiedź na pytanie: co to jest znaczenie? Odpowiedź miałaby zaś wskazywać na jakiś byt – mentalny (pojęcie, ideę) albo idealny (ideę platońską).

2. *Znajomość znaczeń jest pewnego rodzaju wiedzą i wyznacza kompetencję językową użytkownika języka*. Warunkiem posiadania kompetencji językowej jest posiadanie dostępu do kompletu (lub przynajmniej pokaźnego zasobu) znaczeń danego języka. Użytkownik powinien być w stanie manifestować znajomość znaczeń nie tylko przez sprawność językową, lecz także „podać znaczenie" wyrażenia lub wygenerować listę kontekstów, w których wyrażenie to występuje.

3. *Dwa wyrażenia o tym samym znaczeniu są wymienialne „salva veritate"*. Punkt ten jest niewątpliwie atrakcyjny – wymienialność z zachowaniem wartości logicznej mogłaby być definicją tożsamości znaczenia. Intuicja ta zakłada, że nie powinny istnieć konteksty, w których synonimów nie da się wymieniać bez zmiany wartości logicznej zdania. Powszechnie znane są dwa konteksty, które podminowują tę intuicję: konteksty modalne i tzw. zdania psychologiczne (*belief sentences*). Oto dwa typowe przykłady ilustrujące ten problem. Załóżmy, że wyrażenia „Londyn" i „stolica Anglii" są synonimiczne. Okazuje się, że wyrażenia te nie są wymienialne w takich oto dwóch zdaniach:

(1) *Londyn mógłby nie być stolicą Anglii*
(2) *Marek nie wie, że Londyn to stolica Anglii (załóżmy, że to prawda)*

Wymienienie wyrażenia „stolica Anglii" na „Londyn" prowadzi do tego, że oba zdania stają się fałszywe.

4. *Znaczenie determinuje odniesienie, ale nie odwrotnie*. Intuicja ta głosi, że ten, kto zna znaczenie jakiegoś wyrażenia, wie, o jakich przedmiotach można je prawdziwie orzec. Jednocześnie, wiedząc jedynie, o jakich przedmiotach można zgodnie z prawdą orzec jakieś wyrażenie, może nie być w stanie ustalić znaczenia tego wyrażenia. Zauważmy, że punkt ten wiąże się z poprzednim w taki sposób, że konteksty, za pomocą których najłatwiej zaprezentować różnicę między zakresem a znaczeniem – to właśnie konteksty modalne i zdania psychologiczne.

5. *Znaczenie wyrażeń jest funkcją ich wyrażeń składowych*. To tak zwana zasada kompozycyjności. Znając znaczenie elementarnych wyrażeń mojego języka, powinienem być w stanie zinterpretować dowolnie złożone wyrażenie. Wiąże się ona ściśle z punktami 2. i 3. To właśnie dzięki niej użytkownik języka może nabyć kompetencję językową, manifestującą się w zdolności do interpretacji dowolnego wyrażenia – wymaga się od niego tylko tego, aby był w stanie opanować znaczenia skończonej liczby wyrażeń języka. Związek z punktem 3. polega na tym, że wymiana jednego wyrażenia na inne o tych samych własnościach semantycznych nie powinna zmieniać własności semantycznych większej całości.

6. *Znaczenie (przynajmniej niektórych) wyrażeń prostych pochodzi z doświadczenia.* Jest to pewnego rodzaju uszczegółowienie poprzedniego punktu – zgoda na intuicję 5. nie implikuje jednak punktu 6. Zakłada się, że znaczenia wyrażeń zależą od ich elementów, ale ostateczna analiza doprowadzi do

prostych, atomowych wyrażeń, które odnoszą się do jakichś elementów doświadczenia – danych zmysłowych, przedmiotów prostych czy idei prostych w umyśle.

7. *Znajomość znaczeń manifestuje się w bezwarunkowej asercji niektórych zdań*. Punkt ten może być rozumiany jako konkurencyjny wobec punktu 1., choć niekoniecznie. Zakłada się tu istnienie specjalnych zdań, które testują znajomość znaczeń użytkownika. Nie musi on więc być w stanie owych znaczeń reprodukować. Szczególnym przypadkiem takich zdań mogą być tzw. zdania analityczne, czyli takie, których wartość logiczna zależy od ich znaczenia. Prawdziwych zdań analitycznych nie sposób odrzucić, jeśli rozumie się ich znaczenie.

8. *Oprócz sporów rzeczowych istnieją spory pozorne, opierające się na różnym znaczeniu słów*. Zakłada się tu, że w sytuacji, w której istnieje między rozmówcami różnica zdań może ona wynikać albo z różnicy poglądów, albo z różnicy w sposobie posługiwania się językiem i że da się te dwie sytuacje odróżnić. Różnica opinii polega na tym, że dwoje ludzi mówi coś innego o tym samym, natomiast różnica językowa na tym, że ludzie ci mówią o różnych rzeczach. Punkt ten wiąże się więc z intuicją 4. Uznanie, że istnieje sposób odróżniania od siebie tych dwóch sytuacji może implikować punkt 1. – prosimy rozmówcę o podanie znaczenia, punkt 7. – sprawdzamy, czy akceptuje pewne specjalne zdania lub punkt 6. – sprowadzamy pojęcie do podstawowych składników empirycznych, co do których, tak jak w przypadku idei prostych Locke'a, nie można się mylić.

9. *Dwa wyrażenia tego samego języka mogą mieć to samo znaczenie*, zakłada się więc, że istnieje relacja synonimiczności, co może się wiązać z punktem 3. – będzie ona wtedy polegała na wymienialności *salva veritate* (może być jednakże zdefiniowana w inny sposób).

10. *Dwa wyrażenia różnych języków mogą mieć to samo znaczenie*. Intuicja ta jest podstawą pojęcia przekładu. Zakłada się tu, że znaczenia są czymś niezależnym od języka – język możemy zmieniać, ale znaczenia pozostają te same.

11. *Język można wzbogacać o nowe znaczenia, nie zmieniając znaczeń wcześniej w nim istniejących*. Jest to intuicja tak powszechna, że gdyby nie teorie, które prowadzą do przeciwnych wniosków, nie byłaby tu w ogóle wymieniana. W wersji ostrożniejszej zakłada się tu, że nowe wyrażenie językowe nie musi (choć może) zmieniać znaczeń żadnego wyrażenia obecnego już w tym języku. W wersji ostrożniejszej zakłada się, że nowe wyrażenie zmienia znaczenia pewnych istniejących w języku wyrażeń, ale istnieją też takie, które mają dokładnie to samo znaczenie, co przed rozszerzeniem języka. Intuicja ta może wiązać się z punktem 6. – wprowadzenie nowego wyrażenia prostego, powiązanego np. z jakąś niedostępną wcześniej daną zmysłową, nie zmienia znaczenia żadnego ze starych wyrażeń.

12. *Istnieje granica między wiedzą o znaczeniach słów a wiedzą o świecie*. Intuicja ta zakłada, że kompetentny użytkownik języka nie musi wiedzieć nic o świecie. Wiąże się ona w oczywisty sposób z punktem 1. Zakłada się tu ponadto, że istnieją zdania, które nie stwierdzają niczego o świecie – zdania analityczne. Prawdziwość takich zdań jest dla użytkownika oczywista na mocy intuicji 5. – wystarczy, że rozpozna on ich strukturę i znaczenia wyrażeń składowych. Intuicja ta wiąże się również z punktami 7. i 8. – zdania analityczne użytkownik musi zaakceptować. Są one też często zdaniami, które pozwalają na rozstrzygnięcie, czy mamy do czynienia ze sporem rzeczowym, czy słownym. Związek z intuicją 9. polega na tym, że jeśli postawimy znak identyczności między dwoma synonimami, to powinniśmy uzyskać zdanie analityczne.

13. *Znaczenia słów są kwestią konwencji*. Nie chodzi tu o to, że słowo „koń" mogłoby oznaczać np. psy. Punkt ten wiąże się

ściśle z poprzednim, gdyż zakłada się tu, że słowa mają określone znaczenie niezależnie od postępów wiedzy. Ich znaczenie jest wyłącznie kwestią pewnej umowy pomiędzy użytkownikami języka. Znaczenia są zależne od naszych arbitralnych decyzji co do rewizji słownika, a nie od czegokolwiek innego.

14. *Istnieją wyrażenia poprawne gramatycznie, lecz niepoprawne semantycznie (nonsensowne).* Intuicja ta wiąże się z punktem 12. Zaprzeczenia zdań analitycznych mogą być bowiem przypadkiem zdań poprawnych gramatycznie, lecz nonsensownych. Sprzeciw wobec tego rozwiązania opiera się na intuicji, że zdanie zbudowane z sensownych elementów nie powinno być nonsensowne. Ta ostatnia intuicja idzie często w parze z twierdzeniem, że z wyrażeń nonsensownych nie da się utworzyć wyrażeń sensownych. Wiąże się to w oczywisty sposób z punktem 5.

15. *Słowa odnoszą się do przedmiotów.* Intuicja ta jest tak oczywista, że nie wymaga dłuższego rozwinięcia. Większość badaczy zakładała, że język służy do opisu świata i w jakiś sposób do tego świata się odnosi.

Wszystkie koncepcje znaczenia naruszają jedną lub więcej intuicji omówionych powyżej. Niektóre z nich okazały się tak istotne, że po ich obaleniu intuicyjne pojęcie znaczenia niektórzy byliby skłonni określić jako zdestruowane.

* * *

Przedstawię teraz pokrótce strukturę pracy, składającej się z czterech głównych części. W **części pierwszej** omawiam tradycyjne teorie znaczenia, które podtrzymują większość z wymienionych wcześniej intuicji. Płacą jednak za to wysoką cenę – zawierają wiele niejasnych aspektów, które stały się głównym motywem projektu eksplikacji. W **części drugiej** podejmuję próby zdefiniowania pojęcia znaczenia za pomocą narzędzi, które miały oczyścić je z niejasności teorii tradycyjnych. Mimo

wyrafinowania, próby te nie podtrzymują niektórych intuicji uznanych przez wielu za istotne i, co gorsza, opierają się na intuicjach, które okazały się nie do utrzymania. Ceną, jaką płacą za jasność jest zaś łatwość wyciągnięcia z nich konsekwencji, które często są niepożądane nawet z punktu widzenia ich autorów. **Część trzecia** zawiera właśnie ostateczne konsekwencje, które wynikają z wcześniejszych teorii. **Część czwarta** natomiast przedstawia dwie zupełnie różne próby wyjścia z impasu, w jakim znalazła się teoria znaczenia. Jedna z nich proponuje ratowanie pojęcia znaczenia w duchu teoretyków znanych z części trzeciej, druga – powrót do okresu sprzed „szaleństwa eksplikacji".

Część I
TEORIE TRADYCYJNE

Rozdział 1
Znaczenie według Johna Locke'a

Jest coś szczególnie przewrotnego w tym, że Locke, pisząc na temat języka, odczuwa potrzebę objaśnienia czytelnikowi powodów, dla których zajmuje się tak błahym tematem. Potrzeba ta stanowi potwierdzenie przełomu, jakim był w filozofii tzw. „zwrot lingwistyczny". Wyraźnie widać, że Locke nie miał ambicji tworzenia teorii znaczenia – to, czego dowiadujemy się z *Rozważań dotyczących rozumu ludzkiego* o języku stanowi pewnego rodzaju dodatek do teorii idei. Jednak bez względu na to, jak marginalne wydawały się Lockowi jego poglądy dotyczące języka, ich wpływu na dalsze dzieje teorii znaczenia nie sposób przecenić. Propozycja Locke'a jest doskonałym przykładem teorii, określanych przez Quine'a jako „mit muzeum" – trudny do wykorzenienia pogląd, który zdominował myślenie o języku. Jest tak nawet w przypadkach, gdy dany autor najpierw deklarował się jako przeciwnik wyłożonej w *Rozważaniach* koncepcji – zobaczymy to w kolejnym rozdziale poświęconym Millowi. Przyglądając się propozycji Locke'a warto pamiętać, że nie znajdziemy tu wyraźnego rozgraniczenia między znaczeniem a odniesieniem. Wiele użytych przez niego określeń wskazuje raczej na to drugie, a nie pierwsze, co stawia pod znakiem zapytania sensowność mówienia o „teorii znaczenia wyrażeń Locke'a". Pod koniec tego rozdziału stanie się jednak jasne, w jaki spo-

sób prezentowaną teorię można sformułować przy zachowaniu dychotomii: znaczenie – odniesienie.

Z księgi poświęconej językowi dowiadujemy się, że słowa odnoszą się do idei w umyśle mówiącego, przynajmniej bezpośrednio. Pośrednio, bo za pośrednictwem idei właśnie, odnoszą się oczywiście do przedmiotów. Locke zdaje sobie sprawę z tego, że nie jest to stanowisko intuicyjne i zauważa, że ludzie przekonani są o tym, że mówią o przedmiotach, a nie o swoich ideach. Jego stanowisko jest jednak wynikiem wyłożonej wcześniej analizy ludzkiego poznania – dostęp do przedmiotów zawsze zostaje zapośredniczony przez idee – jest tak niezależnie od tego, czy posługujemy się w danym momencie językiem, czy też nie. Propozycja związana z językiem stanowi zatem, szczególny przypadek ogólniejszego schematu stosowanego przez autora w celu wyjaśnienia zagadki ludzkiego poznania. Jest więc jasne, że aby dowiedzieć się czegoś o języku, musimy przyjrzeć się teorii idei proponowanej przez Locke'a. Nie będę tu streszczał całej tej teorii, przyjrzę się tylko tym wątkom, które są istotne dla rozpatrzenia teorii znaczenia i odniesienia wyrażeń.

Jak autor *Rozważań* zauważa, słowa odnoszą się nie tylko do idei w umyśle mówiącego, lecz także do idei w umysłach innych ludzi. To tajemnicze sformułowanie interpretować należy jako próbę odparcia zarysowującej się tu koncepcji niezależnych języków prywatnych. Jest to problem, który nasuwa się, w zasadzie, natychmiast – skąd mogę wiedzieć, czy łączę z danym wyrażeniem tę samą ideę, co mój rozmówca? W jaki sposób ustalić, że dwie osoby mają na myśli taką samą ideę? W praktyce, ponieważ dokonano tu utożsamienia znaczenia z ideami, jest to zakamuflowane pytanie o kryteria synonimiczności, które wielokrotnie będzie nas prześladowało w tej książce. Rozwiązanie trudności związanych z kryterium tożsamości idei wymaga odesłania do przedstawionego w księdze

pierwszej podziału na idee proste i złożone. Różnice pomiędzy ludźmi sprowadzają się do odmienności idei złożonych, które łączą oni z tym samym słowem. Różnice te dają się zniwelować w prosty sposób – należy ustalić zbiór idei prostych, które składają się na ideę złożoną, będącą przedmiotem kontrowersji. Pomysł ten nie wydaje się szczególnie zadziwiający, ponieważ wymienienie idei składających się na daną ideę złożoną jest po prostu definiowaniem terminu. Trudności w porozumieniu mamy zatem rozwiązywać, odwołując się do podania definicji terminów, których używamy. Dlaczego miałoby to jednak pomóc? Czy taki postulat nie doprowadzi po prostu do jakiegoś rodzaju błędnego koła w definiowaniu? Rozwiązanie Locke'a nie jest skomplikowane. Idee proste są niedefiniowalne (ponieważ definiowanie polega na wymienieniu idei prostych, składających się na ideę złożoną, stowarzyszoną z definiowanym terminem), nie możemy się również co do nich mylić. Daną ideę prostą albo się ma, albo nie – nie można jej mieć jej w jakiś odmienny niż reszta ludzi sposób. Istnieje oczywiście ryzyko stowarzyszenia niewłaściwej nazwy z daną ideą prostą, ale tego typu trudności łatwo rozwiązać, wywołując odpowiednią percepcję – możemy np. pokazać komuś fioletowy przedmiot, korygując w ten sposób użycie przez tę osobę terminu „fioletowy". Nie będę w tym miejscu rozpatrywał trudności, które rodzi grająca centralną rolę w tej argumentacji kategoria idei prostych. Zauważmy jedynie, że Locke charakteryzuje je w bardzo skąpy sposób. O ile łatwo jest pojąć, co rozumie przez idee proste jednego zmysłu, o tyle trudno powiedzieć, w jaki sposób odróżnia bardziej skomplikowane przypadki idei prostych (takich jak idea ruchu) od jakiegoś rodzaju idei złożonych. Nie bez złośliwości wobec tradycji scholastycznej, Locke wspomina o ogromnych trudnościach ze zdefiniowaniem ruchu, Niemożliwość podania definicji miała być jednak wynikiem tego, że coś jest ideą prostą, a nie

kryterium podziału na idee proste i złożone. To, że nikomu nie udało się podać zadowalającej definicji ruchu (co ma być argumentem za tym, że jest to idea prosta) nie oznacza jeszcze, że nie da się tego zrobić, a warto byłoby wiedzieć, kiedy nie warto w ogóle próbować.

Można zastanawiać się jednak, dlaczego w ogóle występują jakiekolwiek różnice pomiędzy ideami złożonymi u różnych ludzi. Aby to wyjaśnić, należy wprowadzić dwa pojęcia, którymi Locke posługuje się w księdze trzeciej – esencji realnej i nominalnej[5]. Esencja realna to rzeczywista natura rzeczy, która wyznacza jej obserwowalne własności. Na ich podstawie ustalamy i tworzymy esencje nominalne – nasz podział rzeczy na gatunki. To, że esencje nominalne są tworami umysłów i że na podstawie esencji nominalnych klasyfikujemy przedmioty jest powodem różnic pomiędzy ludźmi w tej kwestii. Należy tu zauważyć, że podział na te dwa rodzaje esencji nie dotyczy idei prostych – w ich przypadku esencja realna i nominalna są tożsame. Zrównanie esencji nominalnej i realnej występuje również w przypadku kategorii modi mieszanych, która dotyczy terminów abstrakcyjnych (choć nie w Locke'owskim rozumieniu słowa abstrakcyjny), takich jak np. relacje. Powodem, dla którego przypadek modi mieszanych również nie prowadzi do rozróżniania między esencją realną i nominalną jest ich całkowita zależność od tworzącego je umysłu – są one konstruktami i nie odpowiadają żadnej pozaumysłowej rzeczywistości. Można to zatem ująć jak następuje: w przypadku idei prostych nie istnieje żadna esencja nominalna – z racji ich prostoty umysł przyjmuje je po prostu „takimi, jakie są". Natomiast w przypadku modi mieszanych nie istnieje żadna ich esencja realna

5 Używam wyrażenia „esencja", idąc tu za polskim tłumaczeniem *Rozważań* [Locke 1955]. Należałoby zastanowić się, czy nie lepsze byłoby tu słowo „istota".

– są dokładnie takie, jakie je sobie skonstruujemy. Podział na dwa rodzaje esencji staje się istotny dopiero w przypadku idei substancji. Substancje posiadają swoje, niedostępne nam, esencje realne. Idee złożone, które tworzymy, są oparte na zauważalnych podobieństwach i jako takie stanowią po prostu esencje nominalne substancji. Locke zauważa, że gdyby udało się nam poznać esencje realne rzeczy i sklasyfikować świat na gatunki na podstawie tej wiedzy, wszelkie wątpliwości dotyczące substancji przestałyby istnieć. Nie mielibyśmy też kłopotu z pojawiającymi się często przypadkami podważającymi naszą klasyfikację, takimi jak wybryki natury, których przynależności gatunkowej nie potrafimy rozstrzygać. Gdyby udało nam się podzielić świat na gatunki na podstawie esencji realnych, to nie moglibyśmy znaleźć egzemplarzy danego gatunku, wymykających się tej klasyfikacji, tak jak nie możemy znaleźć kół, które nie spełniają definicji koła. Istnieje jednak jeszcze jedna możliwość, o której autor *Rozważań* wspomina: może być tak, że naturalny podział na gatunki po prostu nie istnieje – istniałoby tylko kontinuum ukrytych struktur przedmiotów, przez co jakikolwiek podział świata na gatunki byłby z konieczności podziałem arbitralnym. Jak rozumieć tę uwagę? Można wyobrazić sobie tę sytuację w następujący sposób: jak wiadomo, relacja podobieństwa nie jest relacją przechodnią. Świat mógłby składać się z szeregu przedmiotów, przy czym każde dwa sąsiadujące ze sobą byłyby do siebie podobne, ale nie byłoby żadnego podobieństwa między przedmiotami, które ze sobą nie sąsiadują. Jedynymi nazwami ogólnymi, które funkcjonowałyby w takim świecie byłyby nazwy odnoszące się do dwóch przedmiotów.

Na koniec prezentacji Locke'owskiej koncepcji znaczenia chciałbym wspomnieć jeszcze o sposobie, w jaki można ją przekształcić, aby dostosować ją do kluczowej z naszego punktu widzenia dystynkcji znaczenie/odniesienie przedmiotowe.

Relacje pomiędzy słowem, ideą i przedmiotem prezentują się u Locke'a następująco. Słowo odnosi się do idei, a ta z kolei reprezentuje w umyśle przedmiot. Słowo odnosi się zatem bezpośrednio do idei, a pośrednio do przedmiotu. Odniesienie bezpośrednie nazwać możemy bez ryzyka wypaczenia koncepcji Locke'a znaczeniem, a odniesienie pośrednie – odniesieniem. Teoria, która wyłania się z analizowanych powyżej rozważań wspiera więc wiele potocznych intuicji, o których wspomniałem we *Wstępie*. Znaczenia są pewnego rodzaju bytami mentalnymi, a ludzie odnoszą się do przedmiotów dzięki posiadaniu przez nie owych znaczeń. Znaczenie wyrażeń złożonych sprowadza się do tego, z jakich powiązanych bezpośrednio z doświadczeniem wyrażeń prostych zostało skonstruowane. Ludzie niekiedy różnią się co do słów, a nie opinii – możemy to weryfikować dzięki sprowadzeniu wyrażeń do ich prostych składników. Użytkownicy różnych języków mogą mieć w swych umysłach dokładnie ten sam zestaw znaczeń-idei. Niektóre ze znaczeń są całkowicie konwencjonalne, a inne zależą po części od tego, jak je skonstruowaliśmy, a po części od tego, z jakiego materiału empirycznego korzystaliśmy.

Rozdział 2

Konotacja i denotacja w teorii Johna Stuarta Milla

John Stuart Mill buduje swoją teorię nazw w jawnie wyrażanej opozycji do teorii Locke'a. Pomysł, że słowa miałyby odnosić się do idei w umysłach mówiących, wydaje mu się absurdalny z prostego powodu – do idei przedmiotu „X" odnosi się wyrażenie „idea przedmiotu X", a nie wyrażenie „X". Gdy mówię, że słońce jest przyczyną dnia, to nie chodzi mi przecież o związek przyczynowy między ideą słońca a ideą dnia. Takiego związku, należącego do praw psychologii, mogę w ogóle nie zauważać. Krytyka ta wydaje się w pełni intuicyjna i trudno wyobrazić sobie, dlaczego Locke w ogóle jej nie antycypował. Pod koniec prezentacji poglądów Milla wrócę jeszcze do tego problemu i postaram się pokazać źródło zachodzącego tu nieporozumienia.

Przejdźmy teraz do przedstawienia poglądów Milla. W odróżnieniu od tekstu Locke'a, mamy tu do czynienia z obszernym wykładem teorii języka. Czytelnik ma okazję do zapoznania się z wieloma podziałami, które często krzyżują się, tworząc sieć kategorii. Nazwy dzielą się odpowiednio na: ogólne i jednostkowe, konkretne i abstrakcyjne oraz konotatywne i niekonotatywne. Ogólność i jednostkowość rozumiana jest tu tradycyjnie – istnieją nazwy odnoszące się do jednego lub do wielu przedmiotów. Abstrakcyjność rozumiana jest tu odmiennie od znaczenia, które temu terminowi nadaje Locke – nie chodzi tu

o ogólność, lecz o bycie nazwą cechy (w odróżnieniu od bycia nazwą konkretu – a więc przedmiotu). Mill słusznie zauważa, że niestandardowe użycie Locke'a (niezgodne ze scholastycznym) wprowadziło zamęt w rozważaniach na temat języka. Jest to o tyle istotne, że niektóre nazwy abstrakcyjne, takie jak „biel", są nazwami jednostkowymi – nazywają jedną cechę, podczas gdy inne, takie jak „kolor", są nazwami wielu cech, są więc nazwami ogólnymi. Ostatni z przytoczonych przeze mnie podziałów – na nazwy konotatywne i niekonotatywne - jest rozróżnieniem, które zazwyczaj kojarzymy z Millem. Rzeczywiście, sam autor również uważa go za podział najistotniejszy, wspomina, że jest to podział „najgłębiej wchodzący w strukturę języka". Różnica między nazwami konotatywnymi i niekonotatywnymi polega na tym, że te pierwsze, nazywając jakiś przedmiot, informują nas dodatkowo o pewnych cechach, które ten przedmiot posiada. Łatwo wyjaśnić to na przykładzie: nazwa „biały" nazywa białe przedmioty, ale tylko ze względu na to, że wszystkie one posiadają pewną cechę, są białe. Konotacja jest więc znaczeniem, a oddzielenie nazywanego przedmiotu (lub zbioru przedmiotów) od domniemanych przez nazwę cech jest odróżnieniem znaczenia od odniesienia.

Mill krytykuje pogląd, zgodnie z którym nazwy ogólne miałyby być po prostu nazwami odpowiednich klas przedmiotów. Twierdzi, że to pojęcie klasy wymaga wyjaśnienia przez odwołanie się do własności – mówiąc, że „biały" jest nazwą pewnej klasy przedmiotów, muszę jeszcze wyjaśnić, w jaki sposób utworzyłem tę klasę (robię to właśnie przez odwołanie się do pewnej własności). Mill zwraca uwagę na to, że odwołanie się do klasy nie pozwoli nam na odnalezienie konotacji wyrażenia. Mógłbym znać wszystkie przedmioty, które należą do klasy, nazywanej przez słowo „biały", ale wcale nie odkryć tej jednej cechy, która jest konotacją tego terminu. Nie znajdziemy, niestety, żadnego uzasadnienia

tego poglądu. Można by zastanawiać się, czy rzeczywiście – znając wszystkie przedmioty należące do danej klasy – nie mógłbym odkryć cechy lub zespołu cech, które są konotacją terminu. Bez względu na to, czy da się tak postawione pytanie rozstrzygnąć, warto zauważyć, że zawsze możemy wziąć pod uwagę szczególną okoliczność, kiedy to jakieś dwie cechy przysługują wszystkim elementom jakiejś klasy i żadnemu przedmiotowi do niej nienależącemu. Byłby to przypadek, w którym dwie różne konotacje miałyby tę samą denotację. W tej sytuacji, rzeczywiście, nie da się wyjaśnić różnicy w konotacji, odwołując się do pojęcia klasy. Kolejnym argumentem przeciw wyjaśnianiu znaczenia terminów ogólnych przez odwołanie się do pojęcia klas jest to, że argumentacja ta prowadzi do wniosku, iż znaczenia ciągle się zmieniają. Liczba elementów klasy przedmiotów białych zmienia się w czasie, cały czas pojawiają się tam nowe elementy, wypadają z niej również stare[6]. Znaczenie miałoby jednak w jakimś sensie pozostawać to samo. Podział na klasy nie został utworzony przez tworzących nasz język przodków w ten sposób, że wyznaczyli oni wszystkie możliwe klasy i opatrzyli je stosownymi nazwami. Nazwy ogólne są nazwami nieograniczonej, nieustalonej nigdzie liczby przedmiotów, które posiadają pewną szczególną własność (lub zbiór własności). To własności decydują o przynależności do klas.

W dalszej części swego wykładu teorii nazw Mill podaje jeszcze wiele innych podziałów nazw, nie są one jednak dla naszych potrzeb istotne. W tabeli 2.1 przedstawiam krzyżowanie się ze sobą przedstawionych podziałów.

6 Mill w ten właśnie sposób pojmuje wykorzystanie klas jako zakresu. Współcześnie omija się problem, o którym mowa, zakładając, że do klasy, np. przedmiotów białych, należą wszystkie istniejące przedmioty o danej cesze – przeszłe, teraźniejsze i przyszłe.

Tabela 2.1. Podział nazw u J. S. Milla

Rodzaj nazwy	Konkretne			Abstrakcyjne		
	Jednostkowe		Ogólne	Jednostkowe	Ogólne	
	nazwy własne	deskrypcje jednostkowe				
Konotacja	×	atrybut	atrybut	×	własności atrybutów	×*
Denotacja	przedmiot	przedmiot	klasa przedmiotów	atrybut	klasa atrybutów	

Objaśnienia: znak x oznacza brak; * – nie wszystkie abstrakcyjne nazwy ogólne posiadają konotację.

Kryterium, które wysuwa Mill, nie wiąże się jednak z przedstawioną przez niego klasyfikacją. Jako przykład konotatywnej abstrakcyjnej nazwy ogólnej podaje on nazwę „wada" – odnosi się ona do klasy atrybutów dzięki ich wspólnej własności.

Zaprezentowany podział pozwala na sformułowanie dwóch istotnych wyników badań Milla. Po pierwsze, wszystkie konkretne nazwy ogólne posiadają konotację. Po drugie, żadne nazwy własne nie posiadają konotacji. Pierwsza z tez uzasadniona jest w sposób, o którym już wspomniałem. Nazwa ogólna, będąc nazwą pewnej klasy przedmiotów, jest o elementach tej klasy orzekana z jakiegoś powodu, a powodem tym jest posiadanie wspólnych atrybutów – atrybuty te są zaś właśnie jej konotacją. Mill zdaje sobie sprawę z tego, że konotacja jest dla nas często dość mglista – nie jesteśmy pewni, które atrybuty konotowane są przez daną nazwę. Uznaje to jednak za problem czysto techniczny – odpowiednie ustalenia w tej sprawie doprowadzą w końcu do jednomyślności w tej kwestii. Takie wyjaśnienie pojęcia znaczenia pozwala z łatwością odpowiedzieć na pytanie, kiedy dwa terminy mają tę samą konotację – jest tak, gdy konotują ten sam zbiór atrybutów.

Warto jednak zastanowić się, czy nazwy własne rzeczywiście nie posiadają konotacji. Wiemy przecież, że imiona własne mają swoją etymologię i często możemy odkryć powody, które skłoniły naszych przodków do nadania tej, a nie innej nazwy. Mill podejmuje to zagadnienie na przykładzie nazwy *Darthmouth*. Jest ona nazwą miasta, które znajduje się u ujścia rzeki *Darth*. Wydaje się, zatem, że istnieje tu jakaś konotacja – czy nie jest to po prostu deskrypcja jednostkowa: „miasto, które leży u ujścia rzeki *Darth*"? Mill uważa, że nie – jest tak dlatego, że położenie miasta *Darthmouth* jest już zupełnie niezależne od jego nazwy. Jakakolwiek zmiana okoliczności, np. wyschnięcie rzeki, nie przyczynią się do tego, że nazwa miasta zostanie zmieniona. Raz nadana nazwa (nawet, jeśli istniały jakieś szczególne, powiązane z atrybutami danego przedmiotu powody jej nadania) pozostaje nazwą danego przedmiotu niezależnie od tego, czy jakieś atrybuty traci i zyskuje w czasie swojego istnienia. Nie jest tak w przypadku deskrypcji, nazwa „aktualny mistrz świata w biegu na 400 metrów" przestaje danemu człowiekowi przysługiwać z chwilą, gdy ktoś pobije jego rekord. Aby lepiej oddać charakterystykę nazw własnych, Mill posługuje się następującym przykładem: wyobraźmy sobie złodzieja, zaznaczającego kredą dom, który ma zamiar później splądrować. Znak służy jedynie wyróżnieniu tego jednego domu spośród wielu podobnych. Jeżeli ktoś zaznaczy w ten sam sposób wszystkie domy, złodziej nie będzie w stanie odnaleźć właściwego. Chodziłoby tu zatem, o coś w rodzaju numerycznego wyróżnienia, bez podania cech, które wyróżnienie to motywują. Różnica stanie się łatwiejsza do zauważenia, gdy tylko zmodyfikujemy przykład Milla – załóżmy, że złodziej zachorował i chce wyjaśnić swojemu wspólnikowi, który dom ma okraść. Gdyby posłużył się nazwą własną, którą nadał mówiąc, że należy okraść dom zaznaczony białą kredą, to plan nie powiódłby się, ponieważ nie dowiedzieliśmy się niczego

o atrybutach tego domu. Wiemy tylko tyle, że jest zaznaczony kredą, co jest odpowiednikiem wiedzy, jaką uzyskujemy, poznając imię i nazwisko przedstawianego nam człowieka – dowiadujemy się, że nazywa się tak a tak. Ale gdyby nasz chory złodziej posłużył się jakąś deskrypcją, np. wymieniając cechy, które skłoniły go do zaznaczenia tego, a nie innego domu, wspominając, że właściciela nie ma, dom znajduje się po ciemnej stronie ulicy, a do okna łatwo się zakraść, to istniałaby przynajmniej szansa udanego rabunku.

Kończąc charakterystykę różnego rodzaju nazw, warto przyjrzeć się temu, co Mill ma do powiedzenia na temat zdań. Jak łatwo się domyślić, część rozważań poświęconych zdaniom odnosi się do rozróżnień poczynionych w związku z nazwami. Zdanie zależy od rodzaju jego składników. Podstawowa struktura zdania zawiera dwa elementy – coś jest zawsze o czymś orzekane, zdanie zawiera podmiot i orzecznik. W tej sytuacji możemy rozpatrzyć trzy narzucające się przypadki: gdy podmiot i orzecznik są nazwami własnymi, gdy podmiot jest nazwą własną, a orzecznik ogólną oraz gdy zarówno podmiot, jak i orzecznik są nazwami ogólnymi. Przy omawianiu pierwszego wariantu Mill odwołuje się do Hobbesa, który rozumiał zdanie jako przypisanie dwóch nazw temu samemu przedmiotowi – zdanie informuje nas po prostu, że dwie nazwy odnoszą się do tego samego. Mill zauważa, że choć taka teoria dowolnych zdań jest, po prostu, nie do przyjęcia, to jako teoria zdań, w których występują dwie nazwy własne jest trafna. Jak się już dowiedzieliśmy, nazwy własne nie posiadają żadnej konotacji, utworzone za ich pomocą zdanie również żadnej konotacji nie ma. Przejdźmy teraz do drugiego z wymienionych przypadków — orzekania terminu konotatywnego o niekonotatywnym, czyli sytuacji, gdy podmiotem jest nazwa własna, a orzeczeniem nazwa ogólna. Mill opisuje taki przypadek w następujący sposób – przypisuje się tu atry-

buty konotowane przez orzecznik przedmiotowi denotowanemu przez podmiot. Jak widać, autor *Systemu logiki dedukcyjnej i indukcyjnej* [Mill 1956] nie widzi żadnego problemu w tym, że konotacja zdania ustalana jest w tym szczególnym przypadku z jednej strony przez konotację jednego z wyrażeń, z drugiej zaś przez denotację drugiego z nich. Nie ma tu, rzecz jasna, żadnej innej możliwości – stojąca w miejscu podmiotu nazwa własna nie ma przecież konotacji, a rozwiązanie, w którym konotacja zdania byłaby ustalana tylko dzięki konotacji orzeczenia również wydaje się nie do przyjęcia (rozmaite zdania z tym samym orzeczeniem miałyby wtedy tę samą konotację). Trzecim przypadkiem jest sytuacja, w której zarówno podmiot, jak i orzeczenie zdania są nazwami konotatywnymi. Tutaj w pełni wykorzystać możemy odróżnienie konotacji od denotacji. Konotację zdania wyznaczają konotacje składników, a jego denotację – denotacje składników. Czym jest więc konotacja zdania? Jest to stwierdzenie, że pewnym atrybutom (lub jednemu atrybutowi) towarzyszą (zawsze, niekiedy albo nigdy – zależnie od formy zdania) inne atrybuty. Denotacją jest zaś relacja między klasami przedmiotów – denotacjami terminów. Dzięki denotacji ustalamy wartość logiczną zdania.

Na początku tego rozdziału wspomniałem, że wyraźnie akcentowana przez autora *Systemu logiki* różnica między nim a Lockiem jest rezultatem pewnego nieporozumienia. Na pierwszy rzut oka rzeczywiście wydaje się, że zaprezentowana tu koncepcja znaczenia mocno różni się od tego, co sądził na ten sam temat Locke. Znaczenia zostały wyprowadzone z umysłu i umieszczone w przedmiotach – dowiadujemy się, że chodzi tu o atrybuty przedmiotów, a więc o coś pozaumysłowego. Jest jednak inaczej. Z księgi poświęconej klasyfikacji przedmiotów dowiadujemy się, że cały ten realistyczny obraz jest jedynie pewnym, nie najszczęśliwszym, sposobem mówienia. Podstawową kategorią ontologiczną przyjmowaną przez

Milla są „wrażenia" (w oryg. *feelings*). Dowiadujemy się, że do tej kategorii należy w zasadzie cała „zawartość" naszych umysłów. Dalsze analizy pokazują, że w rzeczywistości wszelkie inne kategorie dają się do niej sprowadzić. Substancje są nam dane jako pewne wiązki wrażeń, ich atrybuty są po prostu mniejszymi wiązkami albo pojedynczymi wrażeniami. W tej sytuacji powiedzenie, że coś odnosi się do przedmiotu (substancji) lub do atrybutu jest po prostu niezręcznym sposobem wyrażania się. O samych przedmiotach czy atrybutach nie możemy nic wiedzieć – cała nasza wiedza sprowadza się do wrażeń. Mill wspomina, że atrybuty możemy rozumieć jako przysługujące przedmiotom „moce" do wytwarzania w nas odpowiednich wrażeń. Zastrzega jednak, że to również jest tylko pewien obrazowy sposób mówienia, którego poważną usterką jest odwołanie się do niezwykle mglistego pojęcia „mocy". W rzeczywistości atrybuty również nie są niczym innym jak wrażeniami lub wiązkami wrażeń. Ten ostatni opis, uważany przez Milla za właściwy, zaciera jednak różnice między przedmiotami a atrybutami. W tym miejscu warto wskazać trudność, którą rodzi taki punkt widzenia. Jak widzieliśmy, sensowność rozróżnienia między konotacją a denotacją opiera się w koncepcji Milla właśnie na rozróżnieniu między przedmiotem a jego atrybutami. Co więcej – trudno ustalić, jaki sens ma w takiej sytuacji podział nazw na abstrakcyjne i konkretne.

Widać tu wyraźnie, że cała krytyka teorii idei Locke'a daje się z łatwością zastosować do teorii Milla. Jeżeli mówiąc o tym, że słońce jest przyczyną dnia, nie mam na myśli tego, że jedna z idei w moim umyśle jest przyczyną innej, to z pewnością nie jest też tak, że mam na myśli to, że jedna z wiązek wrażeń wywołuje drugą. Nietrudno dostrzec tu oczywistą niekonsekwencję. Trudniej jest jednak ustalić, dlaczego Mill nie zauważył możliwości postawienia takiego zarzutu i dlaczego Locke

nie antycypował takiego kierunku krytyki. Pierwszym powodem nieporozumienia jest różnica dotycząca posługiwania się słowem „idea". Mill przypisuje Locke'owi znaczenie znacznie węższe niż to, które znajdujemy w *Rozważaniach*. W rzeczywistości jest tak, że pojęcie idei u Locke'a jest rozumiane niemalże identycznie jak pojęcie wrażenia u Milla.

Drugim powodem jest brak rozróżnienia dwóch porządków – ustaleń co do języka i ustaleń co do ontologii. Badając język, chcemy odpowiedzieć sobie na pytanie, w jaki sposób posługują się nim jego użytkownicy. Praktyki te informują nas o tym, jakie rozróżnienia ontologiczne dokonane są w danym języku (odkrywamy np., że rozróżnia się tu od siebie substancję, atrybut i relację). Możemy jednak zacząć zastanawiać się nad zasadnością tej klasyfikacji – stawiamy wtedy pytanie o to, co w rzeczywistości pozajęzykowej odpowiada obecnym w języku kategoriom ontologicznym. Gdy dokonamy odpowiednich korelacji (np. odkryjemy, że przedmiot to nic więcej, jak tylko wiązka wrażeń albo idee w umyśle), możemy albo postulować zmianę praktyk językowych, albo też zadowolić się wyznaczeniem pewnych reguł przekładu z języka mówiącego o substancjach na język mówiący o wiązkach wrażeń bądź ideach. Mając to rozróżnienie na uwadze, szybko dostrzeżemy, że Locke mówi o języku w świetle wcześniej przyjętych ustaleń ontologicznych. Możemy mówić, że słowa odnoszą się bezpośrednio do idei, ponieważ dowiedzieliśmy się uprzednio, że o przedmiotach wiemy tylko tyle, że są one postulowanymi (jak byśmy dziś powiedzieli) odpowiednikami naszych idei. Kolejność rozważań Milla jest jednak inna. Najpierw rozważa on sposób, w jaki posługujemy się nazwami, a potem dopiero pokazuje status ontologiczny tego, do czego, jak nam się wydaje, odnosimy się.

Należy jednak zauważyć, że dokonana powyżej interpretacja poglądów Milla dość mocno różni się od tego, jak zostały

one odczytane przez jego następców. Silnie nacechowane psychologizmem analizy Milla nie wszystkim łatwo było przyjąć. Warto zatem pamiętać o możliwości realistycznego odczytania teorii konotacji – ignorując uwagi natury epistemologicznej (niemożność poznania przedmiotów inaczej niż dzięki wrażeniom zmysłowym, które posiadamy) i przyjmując, że denotacją są po prostu zbiory przedmiotów, do których dana nazwa się odnosi, a konotacją pewne zbiory własności. Możemy oczywiście również uznać, że zagadnienie natury owych bytów („przedmiotów" i „własności") jest nierozstrzygalne albo też rozstrzygalne w sposób trywialny, nie wpływający w żaden sposób na kształt rozważań semantycznych – to ostatnie rozwiązanie znajdziemy u Carnapa.

Na pewne wypaczenie teorii Milla zwraca uwagę Gilbert Ryle w artykule *Teoria znaczenia*. Zauważa on, że niechęć wobec psychologicznych analiz Milla przeniosła się na samo pojęcie konotacji, które utożsamiono z pojęciem denotacji [Ryle 1957: 490]. Jak zobaczymy, dalsze wyniki badań nad teorią znaczenia doprowadziły do tego, że niektórzy zaczęli uważać je za pojęcie całkowicie tajemnicze.

Choć rozważania Milla okazały się w wielu punktach zbieżne z poglądami Locke'a, to najistotniejszą różnicą między nimi jest to, że Mill wyraźnie rozróżnia znaczenie od odniesienia. Przyjmując większość intuicji, które wspierała propozycja Locke'a, Mill odrzuca realistyczne wtręty tej teorii – nie ma tu już mowy o ukrytych cechach przedmiotów, które mogłyby w jakikolwiek sposób wpływać na naszą praktykę językową.

Rozdział 3

Gottlob Frege i podział na „sens" i „nominat"

Przechodząc do koncepcji Gottloba Fregego, opuszczamy teren klasycznych, historycznych teorii i natrafiamy na pewnego rodzaju koncepcję przejściową. Jak zobaczymy, Frege zapoczątkował nowy nurt dociekań, ponieważ krytyka jego teorii stała się punktem wyjścia dla kolejnych koncepcji. W tym sensie możemy go włączyć do korpusu teorii współczesnych. Choć jest to koncepcja bardzo dobrze znana i skomentowana w obszernej literaturze, nadal zawiera wiele niejasności. Dlatego też przedstawienie poglądów Fregego przebiegać będzie w dwóch etapach. Najpierw opowiem o tym, co Frege pisze wprost (interpretacja nie stanowi więc tu problemu), następnie skupię się na tym, co wymaga już jakiegoś rodzaju rekonstrukcji. Zanim jednak do tego przejdę, chciałbym ustalić pewną konwencję terminologiczną. Przez „znaczenie" będę rozumiał to, co u Fregego kryje się pod terminem *Sinn*, przez „nominat" zaś to, co Frege określał jako *Bedeutung*. Jest to jedynie kwestia terminologiczna, ponieważ nie ma raczej wątpliwości[7], że to, co Frege określa jako *Sinn*, w dzisiejszym słowniku filozofii jest odpowiednikiem słowa „znaczenie" lub „sens", a to, co u niego

7 Choć zamęt terminologiczny, obecny w pracach poświęconych Fregemu, w szczególności w literaturze anglojęzycznej, jest naprawdę zaskakujący. Patrz np. [Burge 1979].

figuruje jako *Bedeutung*, oddajemy dziś przez wyrażenia, takie jak „nominat" lub „odniesienie".

Zobaczmy zatem, co Frege ma na ten temat do powiedzenia. Najpierw chciałbym przedstawić dwa istotne założenia teorii Fregego, zgodnie z którymi będę później rekonstruował jej brakujące elementy. Pierwszym założeniem Fregego jest to, że choć nie każde wyrażenie posiada nominat (istnieją przecież nazwy puste), każde wyrażenie posiada znaczenie. Drugie założenie, nazywane najczęściej zasadą składalności, głosi że znaczenia elementów danej całości wyznaczają znaczenie tejże całości, a nominaty elementów wyznaczają odpowiednio nominat całości. Trzecie założenie, nazywane zasadą podstawialności wyraża przekonanie, że jeśli za dany termin podstawimy jakikolwiek inny, o tym samym znaczeniu, to znaczenie całości nie zmieni się. Analogicznie – jeśli pod jakikolwiek termin podstawimy inny o tym samym odniesieniu, to odniesienie całości również się nie zmieni. Nietrudno zauważyć, że reguły te stanowią wyraz przedstawionych przeze mnie we *Wstępie* intuicji 3., 4. i 5. Przyjęcie zasady składalności może wydawać się nieco kontrowersyjne. W wielu miejscach spotkać można pogląd, że jednym z największych wkładów Fregego w filozofię języka jest sformułowanie zasady kontekstowości – słowo ma znaczenie tylko w kontekście zdania, w którym występuje. Pogląd taki przypisuje Fregemu np. Donald Davidson. Rzeczywiście we wstępie do *Grundlagen* znajdujemy następującą wypowiedź: „O znaczenie słowa trzeba pytać w kontekście zdania, nie z osobna" [Frege 1977a: 10].

Należy jednak pamiętać, że na tej samej stronie znajduje się uzasadnienie wypowiedzianego tu poglądu (nazywanego w nim „zasadą drugą"). Oto ono:

> Nie przestrzegając zasady drugiej, jest się wręcz zmuszonym uznawać za znaczenia słów jakieś obrazy albo akty wewnętrzne [...] [Frege 1977a: 10].

W napisanym osiem lat później przełomowym artykule *Sens i nominat* [Frege 1967] jego autor znalazł sposób uniknięcia psychologizmu bez odwoływania się do zasady kontekstowości. Rozwiązaniem tym jest postulowanie sensów wyrażeń, które nie są tożsame z obrazami czy aktami wewnętrznymi umysłu, ale nie zależą od zdań, które tworzą (a przynajmniej nie w takim sensie, jak to sobie zwolennicy zasady kontekstowości wyobrażają).

Analiza artykułów *O sensie i znaczeniu* oraz *Funkcja i pojęcie* [Frege 1977b] pozwala na sformułowanie następującej teorii znaczenia. Jak już wspomniałem, każde wyrażenie ma swoje znaczenie, swój sens. Frege rozpoczyna prezentację teorii znaczenia i odniesienia od rozważań dotyczących nazw własnych. Na słynnym przykładzie nazw: „Gwiazda Wieczorna" i „Gwiazda Poranna" unaocznia, że wspólne odniesienie (w tym przypadku planeta Wenus) nie musi wcale pociągać tożsamości znaczenia. Wręcz przeciwnie, ktoś mógłby wiedzieć, że Gwiazda Wieczorna to Wenus, ale nie wiedzieć, że Gwiazda Poranna to również Wenus. Warto zwrócić uwagę na to, że do ustalenia tej różnicy Frege posługuje się wyrażeniem „wiedzieć, że...", a więc kontekstem nieekstensjonalnym, który rozpoznaliśmy we *Wstępie* jako semantycznie problematyczny. Frege zauważa, że obie nazwy różnią się od siebie pod względem „sposobu, w jaki dany jest przedmiot". Wenus, w przypadku obu nazw, została ukazana w różnym świetle (można powiedzieć, że nawet dosłownie). Jest to opis, który w równym stopniu stosuje się do nazw własnych i deskrypcji jednostkowych. W rzeczywistości jest nawet tak, że deskrypcje mają tu swego rodzaju priorytet. W przypisie Frege zauważa, że sens związany z nazwą „Arystoteles" to np. „nauczyciel Aleksandra" – jest to, jak widać, deskrypcja. Różne osoby mogą łączyć z nazwą „Arystoteles" różne deskrypcje, ale jest to, zdaniem autora, jedynie usuwalna niedoskonałość języka potocznego.

Wiemy więc, że wszystkie deskrypcje jednostkowe i nazwy własne mają pewien sens, czasem również nominat – przedmiot, który nazywa. Frege zdaje sobie oczywiście sprawę z tego, że takie wyjaśnienie jest niewystarczające – obawia się przede wszystkim tego, że czytelnik mógłby utożsamić znaczenie z wyobrażeniem czy przedstawieniem przedmiotu (a więc z czymś w rodzaju Locke'owskiej idei). Są to jednak zupełnie różne rzeczy. Aby lepiej wyjaśnić to rozróżnienie, autor artykułu *Sens i nominat* posługuje się następującym przykładem. Załóżmy, że patrzymy na księżyc przez lunetę. Księżyc jest przedmiotem, obraz na mojej siatkówce jest moim przedstawieniem. Różnica wydaje się oczywista, przedmiot jest czymś wobec mnie zewnętrznym, przedstawienie zaś – czymś subiektywnym, wewnętrznym. W przykładzie tym znajduje się jeszcze coś, co nie jest wprawdzie przedmiotem, ale nie jest w żaden sposób subiektywne, wewnętrzne. Jest to obraz na soczewkach lunety – stanowi on odpowiednik znaczenia. Nie jest łatwo zinterpretować ten przykład, skonstruowany głównie po to, aby uzmysłowić czytelnikowi różnicę między znaczeniem a przedstawieniem. To się z pewnością udaje. O wiele mniej jasna jest jednak różnica między znaczeniem a przedmiotem. Czym są znaczenia? Rozważę tę kwestię, gdy uporamy się ze znaczeniami i odniesieniami zdań.

Rozważając kwestię zdań, Frege odwołuje się do zasady podstawiania, o której wspomniałem na początku. Zauważa, że zdaniu towarzyszy myśl przez nie wyrażana. Czy myśl ta jest znaczeniem, czy nominatem zdania? Właśnie w tym miejscu zasada podstawiania przychodzi nam z pomocą. Załóżmy, że myśl jest nominatem zdania. Oznacza to, że jeśli wymienimy jakiś składnik zdania na inny o tym samym nominacie, to odniesienie, czyli myśl, nie powinno się zmienić. Zwróćmy uwagę na to, że gdyby Frege uznawał zasadę kontekstowości w takim zakresie, w jakim mu się to niekiedy przypisuje, a więc uwa-

żał, że nie można mówić o sensach słów abstrahując od zdań, w których występują, to opisana powyżej procedura nie byłaby możliwa. W jaki sposób miałbym uzyskać „inne znaczenie składnika", skoro wstawiam go w to samo zdanie, a znaczenie składnika miałoby właśnie od tego zdania zależeć? Wróćmy jednak do sprawdzenia, czym jest myśl – znaczeniem czy odniesieniem. Rozważmy zdanie: „Gwiazda Poranna to Wenus". Wymieniamy sobie teraz jego składnik, wyrażenie „Gwiazda Poranna", na inny, o tym samym odniesieniu – „Gwiazda Wieczorna". Jak powiedziałem, zabieg taki nie może przynieść zmiany nominatu przekształconego zdania, nie zmieniliśmy wszak nominatu składnika. Co się jednak dzieje? Okazuje się, że otrzymujemy zdanie: „Gwiazda Wieczorna to Wenus" – zdanie to wyraża jednak inną myśl. Jak możemy to sprawdzić? Frege znów odwołuje się tu do nieekstensjonalnego kontekstu – ktoś mógłby wiedzieć, że Gwiazda Poranna to Wenus, ale nie wiedzieć, że również Gwiazda Wieczorna to Wenus. Myśl zatem nie może być nominatem zdania, ponieważ zmienia się mimo braku zmian w nominatach składników. Frege wyciąga z tego wniosek, że myśl jest sensem zdania. Co zatem jest nominatem? Być może zdanie w ogóle nie posiada nominatu? Frege rozważa przez chwilę taką możliwość i dochodzi do wniosku, że, rzeczywiście, część zdań nominatów nie posiada. Nie oznacza to jednak, że jest tak ze wszystkimi zdaniami. W tym miejscu następuje argumentacja, która doprowadza Fregego do - uważanego powszechnie za mało intuicyjny - wniosku, że nominatem zdania jest jego wartość logiczna. Trzeba zauważyć, że rozwiązanie zostało przyjęte w wyniku braku lepszego, a nie argumentacji podobnej do tej, która towarzyszy rozważaniom nad statusem myśli. „Co by to miało być innego?" - pyta Frege. W ten sposób zdania stają się pewnego rodzaju szczególnymi nazwami własnymi – nazwami własnymi dwóch specjalnych przedmiotów: Prawdy

i Fałszu. Tak przedstawiona koncepcja znaczenia i nominatów zdań wystawia się na oczywistą krytykę: a co z kontekstami nieekstensjonalnymi, w szczególności zdaniami podrzędnie złożonymi, takimi jak wykorzystany już przez Fregego kontekst „wiem, że"? Łatwo zauważyć, że wymienienie wyrażenia „Gwiazda Poranna" na „Gwiazda Wieczorna" w zdaniu: „Marek wie, że Gwiazda Poranna to Wenus" może zmienić wartość logiczną zdania, a więc jego nominat. A przecież ustaliliśmy, że oba te wyrażenia mają ten sam nominat. Dlaczego wymiana jednego ze składników na inny o tym samym nominacie zmienia tu nominat całości? Frege nie tylko zauważa tę trudność, lecz także przedstawia pewne jej rozwiązanie. W tego typu kontekstach to, co w kontekstach normalnych jest znaczeniem wyrażenia, staje się jego nominatem. Jest to tzw. nominat zależny. Dlatego właśnie wydaje nam się, że wstawiając wyrażenie o innym sensie uzyskujemy zmianę nominatu. W rzeczywistości wstawiliśmy wyrażenie o innym nominacie (zależnym). Sens wyrażeń jest ich nominatem zależnym. Dlatego też zdanie w mowie zależnej zmienia swój nominat przy zmianie sensów składników (dlatego, że wtedy sensy są nominatami). Jest to ciekawy przypadek, kiedy zasada kontekstowości (ale rozumiana niezwykle skromnie) ratuje zasadę podstawiania – dzięki temu, że rodzaj zdania determinuje to, który nominat wchodzi w danym momencie w grę (zależny czy zwykły). Nie musimy martwić się sytuacją, kiedy nominat całości zmienia się mimo zachowania nominatów części. Właśnie ta specyfika kontekstów nieekstensjonalnych pozwala Fregemu używać takiego kontekstu w roli narzędzia do odnajdywania zmiany sensów wyrażeń. Przypominam, że Frege użył tego właśnie kontekstu, w postaci zdania typu „X wie, że...", do odkrycia, że istnieje różnica między sensami wyrażeń „Gwiazda Poranna" i „Gwiazda Wieczorna", jak również do ustalenia, że myśl jest sensem, a nie nominatem zdania. Warto

w tym miejscu wspomnieć o zarzucie, który często w stosunku do teorii Fregego się formułuje, a którego podstawy powinny być już w tym miejscu widoczne. Sensy i myśli są przedmiotami dość tajemniczymi. O myślach dowiadujemy się, że są one przedmiotami idealnymi i nie należy ich mylić z psychologicznym aktem myślenia. Dwie osoby mające różne akty myślenia mogą ujmować tę samą myśl, ponieważ jest ona czymś wobec umysłu zewnętrznym (oczywiście to również jest metafora, tyle że mocno się już do niej w filozofii przyzwyczailiśmy). Sensy nazw są zaś opisane tylko jako aspekt przedmiotu, sposób, w jaki jest on dany. Nie jest to oczywiście jasne, co więcej, trudno orzec, jaki jest właściwie ich status ontologiczny. W jaki sposób różnią się od myśli? Nie jestem w stanie rozstrzygnąć tych wątpliwości, ale wszystkie one sprowadzają się do tego, że nie mamy kryteriów tożsamości dla sensów (tak nazw, jak i zdań). Tak sformułowany zarzut można jednak spróbować odeprzeć za pomocą tego, na co wskazałem przy okazji omawiania kontekstów nieekstensjonalnych. Być może dałoby się sformułować takie kryterium tożsamości: dwa wyrażenia mają ten sam sens, gdy użyte w kontekście mowy zależnej nie zmieniają jego denotacji. Frege tak właśnie wydaje się postępować. W jaki sposób stwierdza, że zdania: „Gwiazda Poranna to Wenus" i „Gwiazda Wieczorna to Wenus" wyrażają różne myśli? Wstawia je w odpowiedni kontekst, tworząc parę zdań w rodzaju: „Piotr wie, że Gwiazda Poranna to Wenus" i „Piotr wie, że Gwiazda Wieczorna to Wenus". Okazuje się, że jedno z nich może być prawdziwe, a drugie fałszywe. To zaś znaczy, że nominaty całych zdań zależnych mogą być różne. Jeśli nominaty całości są różne, to musi być tak, że nominaty części są różne. A co jest nominatami zdań składowych? Są nimi ich zwykłe sensy. Wniosek z tego taki, że zwykłe sensy zdań składowych są różne. Można więc uznać, że konteksty tego typu zapewniają nam jakieś kryterium tożsamości dla sensów.

Powiedzieliśmy już dość dużo o nazwach i zdaniach (które, jak się okazuje, też są pewnego rodzaju nazwami, mianowicie nazwami Prawdy bądź Fałszu). A co z predykatami? Również tu Frege daje pewne odpowiedzi, ale jego analiza predykatów nie jest tak jasna, jak analizy dotyczące nazw własnych. Dowiadujemy się, że nominatem predykatów są pojęcia. Czym zatem są pojęcia? Tym razem Frege nie poprzestaje na metaforach. Pojęcia to funkcje, których argumentami są przedmioty, a wartościami Prawda bądź Fałsz. Są to funkcje, które odwzorowują zbiór przedmiotów w dwuelementowy zbiór, składający się z Prawdy i Fałszu. Na pierwszy rzut oka wyjaśnienie to wygląda dość dziwnie, ale w rzeczywistości jest stosunkowo intuicyjne. Weźmy pod uwagę np. predykat „śpiewa". W koncepcji Fregego, jest to funkcja określana formułą „x śpiewa". Gdy za „x" podstawimy nazwy różnych przedmiotów, uzyskamy zdania, które są albo prawdziwe, albo fałszywe. Funkcjami są również nominaty funktorów, takich jak np. „stolica x". Gdy za „x" wstawimy rozmaite nazwy państw, uzyskamy deskrypcję jednostkową przedmiotu, np. „stolica Polski". Te funkcje nie są już pojęciami, ponieważ pojęciami są tylko te funkcje, które jako wartość przyjmują Prawdę lub Fałsz. W ten sam sposób, odwołując się do pojęcia funkcji, zdefiniować można np. funktory zdaniowe. Są to funkcje, których zarówno argumentami, jak i wartościami są wartości logiczne Prawda i Fałsz. Jak widać, wyrażenia daje się podzielić na kategorie syntaktyczne w zależności od kategorii argumentów i wartości funkcji, do których wyrażenia te się odnoszą. W tym miejscu warto jednak zauważyć pewną trudność – jak na razie, przy opisie predykatów mówiłem tylko i wyłącznie o nominatach. A co z sensami predykatów? Czyżby predykaty ich nie miały? Byłoby to w niezgodzie z tezą, że każde wyrażenie ma sens. Co więcej, Frege wyraźnie opowiada się za tym, że predykaty sens mają, problem w tym, że nigdzie nie mówi wprost, co nim

jest. Należałoby to zrekonstruować. Narzucającym się rozwiązaniem jest przyjęcie analogicznego do wypowiedzianego opisu sensów przy okazji omawiania nazw własnych – sensem predykatu jest sposób, w jaki dana jest funkcja. Jest to jednak rozwiązanie mało zadowalające. Dlaczego? O ile posłużenie się tego typu metaforą w odniesieniu do przedmiotu budzi jakieś intuicje, o tyle w przypadku funkcji jest z tym poważny kłopot. Czym miałby być „sposób, w jaki dana jest funkcja"? Lepszym rozwiązaniem wydaje się potraktowanie sensów predykatów również jako funkcji – takich, które sensowi argumentu przypisują sens powstałego w ten sposób zdania – czyli odpowiednią myśl. Rozwiązanie to zachowuje zasadę podstawiania – rozpatrzmy klasyczny przykład dwóch predykatów, co do których intuicyjnie powiedzielibyśmy, że mają ten sam nominat, choć zupełnie różne znaczenia – „posiadać serce" i „posiadać nerki". Nominatem obu tych predykatów jest ta sama funkcja – dokładnie te same przedmioty są posiadaczami serc i nerek. Ale myśl, która wyrażana jest przez zdanie: „Azor posiada serce" jest inna niż myśl: „Azor posiada nerki". Łatwo to sprawdzić, podstawiając oba zdania w kontekst zależny – ktoś może znać jeden ze szczegółów anatomicznych Azora, nie wiedząc o drugim. Wydaje się, że choćby dzieci w pewnym wieku wiedzą już wiele o bijących serduszkach, ale nie wiedzą jeszcze niczego o filtrujących nereczkach.

Na koniec warto zwrócić uwagę na krytykę, jakiej Carnap poddaje koncepcję Fregego. Poza, niewątpliwie słusznym, wytknięciem Fregemu pewnej niejasności i tajemniczości używanych sformułowań (choćby określenia sensu jako „sposobu, w jaki dany jest przedmiot"), Carnap zwraca uwagę na trzy poważne problemy, które koncepcja Fregego rodzi. Po pierwsze, założenie Fregego, iż każde wyrażenie ma sens, a także przyjęte *implicite* założenie, że sens zawsze różni się od nominatu prowadzi do „rozmnożenia" sensów, tak, iż w efek-

cie uzyskujemy nieskończoną ich liczbę. Jeśli weźmiemy pod uwagę dowolne wyrażenie i oznaczmy je przez „a", to analiza semantyczna w duchu Fregego prowadzi do nowego wyrażenia – „sens a". Nominatem tego drugiego wyrażenia jest sens wyrażenia pierwszego, a zgodnie z przyjętymi założeniami jego sens nie może być tożsamy z nominatem, a więc musi być jakimś nowym sensem – sensem wyrażenia „sens a". Nietrudno dostrzec, że rzeczywiście prowadzi to do nieskończonej liczby sensów. Co gorsza, w podobny sposób możemy rozmnożyć również nominaty. Zgodnie z Fregem, użycie wyrażenia w kontekście nieekstensjonalnym wprowadza nominat zależny (jest nim zwykły sens tego wyrażenia), jeśli dokonamy teraz złożenia takich kontekstów nieekstensjonalnych (np. w zdaniu: „Nie jest konieczne, że Jan wierzy, że jest możliwe, że Paweł jest człowiekiem"), to uzyskujemy odpowiedni ciąg coraz to nowych nominatów zależnych. Warto zauważyć, że drugi z zarzutów Carnapa sprowadza się jednak do zarzutu pierwszego. Przedmiotami, które się nam „rozmnożyły" są w obu przypadkach sensy – różnica polega na tym, że w kontekstach nieekstensjonalnych stają się one nominatami wyrażeń. Nie jest to zatem dodatkowe obciążenie naszej „pączkującej" ontologii. Istotniejsze od liczby przedmiotów (przekładającej się na liczbę nazw, które musimy mieć w języku) jest jednak to, że te dodatkowe sensy odznaczają się jeszcze mniejszą jasnością niż sensy wyjściowe. Nawet, jeśli zaakceptujemy określenie sensu jednostkowego wyrażenia „Gwiazda Poranna" jako „sposobu, w jaki dany jest przedmiot", to nie bardzo wiadomo, co mamy rozumieć przez sens wyrażenia „Gwiazda Poranna" – czy ma to być sposób dania sposobu dania przedmiotu? Trzecią trudnością, na którą Carnap zwraca uwagę, jest to, że dane wyrażenie, np. „a", może w obrębie jednego zdania posiadać różne nominaty i sensy – jest tak np. w zdaniu, które stanowi koniunkcję zdań: „Jan sądzi, że a" i „nieprawda, że a". Na pierw-

szy rzut oka trudność ta rzeczywiście robi wrażenie poważnego defektu teorii. Wydaje się jednak, że można potraktować funkcję zdaniową „wierzy, że" tak jak cudzysłów, albo takie wyrażenia funkcyjne, jak: „słowo..." czy „wyrażenie..."– nie widzimy przecież problemu w tym, że np. w zdaniu : „Słowo króliki nazywa króliki" ten sam ciąg liter k-r-ó-l-i-k-i odnosi się do dwóch różnych rzeczy. Wydaje się zatem, że najistotniejszym zarzutem Carnapa jest wspomniane mnożenie sensów. Słusznie zauważa on, że jego własna semantyka unika tego problemu dzięki wyraźnemu rozgraniczeniu między językiem przedmiotowym a metajęzykiem. W rozdziale poświęconym tej teorii zwrócę jednak uwagę na cenę, jaką teoria ta płaci za takie właśnie rozwiązanie tego problemu.

Wypada również zauważyć, że – zdaniem niektórych – nie tylko wymienialność w kontekstach nieekstensjonalnych wzbudza wątpliwości. Jennifer M. Saul [Saul 1997] podaje kilka przykładów, które, jej zdaniem, stanowią przypadki zdań ekstensjonalnych, w których również nie możemy dokonać podstawienia wyrażenia o tej samej denotacji z zachowaniem wartości logicznej. Wśród przykładów, które podaje, istotne wydają mi się dwa następujące:

(1) *Clark Kent wszedł do budki telefonicznej, a wyszedł z niej Superman.*

(1') *Clark Kent wszedł do budki telefonicznej, a wyszedł z niej Clark Kent.*

oraz

(2) *Nigdy nie byłam w Leningradzie, ale w zeszłym tygodniu odwiedziłam Sankt Petersburg.*

(2') *Nigdy nie byłam w Leningradzie, ale w zeszłym tygodniu odwiedziłam Leningrad.*

Jeżeli Saul ma rację, to analiza zdań w stylu Fregowskiego odróżniania sensu od nominatu nie daje zadowalających efektów, ponieważ ani zdanie (1) ani (2) nie są kontekstami, w których nominatami są sensy. Tymczasem, prawdziwość (1) nie pociąga za sobą prawdziwości (1') i to samo zachodzi dla drugiej pary zdań. Wydaje się jednak, że nie powinniśmy się tymi (i podobnymi) przykładami aż tak bardzo przejmować. Rozwiązanie problemu dla zdań (2) i (2') podaje w zasadzie sama ich autorka. Jest nim przyjęcie, że nazwy „Leningrad" i „Sankt Petersburg" odnoszą się, po prostu, do faz czasowych pewnego miasta. W ten sposób problem wymienialności nie powstaje, ponieważ mamy do czynienia z różnymi nominatami. Saul nie przyjmuje tego rozwiązania, ponieważ nie pasuje ono wystarczająco dobrze do przykładów takich jak (1) i (1'). Ale dlaczego mielibyśmy koniecznie szukać wyjaśnienia uniwersalnego? Wydaje się, że przykład pierwszy również można rozwiązać, choć inaczej. Przede wszystkim należy zauważyć, że zacytowany przeze mnie przykład stanowi tylko jeden z wielu, które znaleźć można w omawianym artykule. Jest jednak tak, że wszystkie zamieszczone tam przykłady (poza wymienionym przeze mnie przykładem drugim) są wariacjami na temat pierwszego. Prawie wszystkie dotyczą postaci Supermana (jeden dotyczy Batmana) i nie jest to przypadek. Mamy tu bowiem do czynienia z sytuacją dość szczególną. Po pierwsze – nazwy „Clark Kent" i „Superman" to nazwy przedmiotów fikcyjnych. Po drugie, większość bohaterów komiksów, z których pochodzą *nie wie*, że Clark Kent to Superman, podczas gdy *wie* o tym każdy czytelnik. Dlatego też, mimo pomysłowości przykładu, można podejrzewać, że przemyca się tu kontekst intensjonalny. Można uznać, że jeśli zdanie (1) jest prawdziwe, to (1') też. Dla czytelnika będzie to oczywiste (z budki wyszedł Clark Kent, ale bez okularów i ubrany w strój Supermana), a dla przeciętnego mieszkańca Metropolis (1') może uchodzić

za fałszywe, choć będzie się on w swoim przekonaniu mylił. Angażujemy tu jednakże w sposób nieunikniony konteksty związane z przekonaniami użytkownika języka.

Rozważanie przykładu fikcyjnych postaci pozwala nam przejść do jeszcze jednej niedogodności, która wiąże się z propozycją Fregego. Jest nią rola, jaką w zdaniach odgrywają wyrażenia pozbawione denotacji[8]. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że zaproponowane przez niego rozwiązanie radzi sobie z tą sytuacją bez problemów. Wszak wyrażenie, które nie posiada denotacji, posiada sens, a zatem może w jakiś sposób oddziaływać na sens zdania, którego jest składnikiem. Problem polega jednak na tym, że nawet jeśli przyjmiemy metaforyczne objaśnienie sensu jako „sposobu, w jaki prezentuje się przedmiot", to określenie to okazuje się właśnie zawodzić w przypadku przedmiotów pozbawionych denotacji. Trudno bowiem zrozumieć, na czym miałby polegać „sposób prezentacji" w przypadku przedmiotu, który nie istnieje[9]. Według Fregego, imię własne „Odys" ma sens, chociaż nie ma denotacji (nominatu). Może ono występować w zdaniach, które mają sens, natomiast nie mają wartości logicznej. Wpływ sensu takich słów na sens zdania pozostaje jednakże dość zagadkowy.

Problem nazw pozbawionych denotacji podjął, w opozycji do Fregego, Bertrand Russell. Przyjrzymy się temu w następnym rozdziale.

8 A ściślej – wyrażenia, których denotacją jest zbiór pusty.

9 Możemy wprawdzie powiedzieć, że niebyt prezentuje się na nieskończoną mnogość sposobów, ale obawiam się, że nie uzyskamy w ten sposób niczego poza pozorem mistycznej głębi.

Rozdział 4
Teoria deskrypcji Bertranda Russella

Oprócz niechęci do sztuczności zaproponowanego przez Fregego rozwiązania dla nazw pozbawionych denotacji Russellem kierowało również coś, co on sam nazywa „poczuciem rzeczywistości", a co sprowadza się do tego, co Quine zręcznie określał jako „zamiłowanie do krajobrazu pustynnego" [Quine 1948: 13]. Proponowane przez niektórych rozwiązanie opierające się na tym, że denotacją nazw takich jak „Odys" bądź „Pegaz" są przedmioty, które wprawdzie nie istnieją w normalnym sensie, ale istnieją w jakimś specjalnym, słabszym sensie (np. subzystują, ale nie egzystują), uznaje Russell za nie do przyjęcia. Rozwiązanie Fregego uważa za sztuczne, ale niechęć do rozbudowanej ontologii prowadzi go również do odrzucenia świata sensów. W tym miejscu warto zwrócić uwagę na pewne trudności, związane z niejasnością co do tego, jak Russell odczytuje rozróżnienie Fregego między *Sinn* i *Bedeutung*. Poświęcony tylko temu zagadnieniu artykuł Petera Geacha [1959] niewiele wyjaśnia. Co gorsza, jak zauważył Alonzo Church[10] [1943], co najmniej w jednym miejscu mamy do czynienia z poważnym pomieszaniem pojęć. Aby nie duplikować tych niejasności, spróbujmy wyjaśnić sobie tę sprawę. W propozycji Russella występują jedynie denotacje,

10 Chodzi o pomieszanie użycia z przytoczeniem. Niezwykle szczegółową analizę niejasnych fragmentów, w których Russell krytykuje podział na sens i denotację znajdzie czytelnik w: Salmon [2005].

co wprost jest stwierdzone przez autora: „[...] w teorii, której bronię, nie istnieje żadne *znaczenie*, tylko niekiedy – *denotacja* [wyróżnienia – P.G.]" [Russell 1905: 260].

Jak zobaczymy później, pewien aspekt teorii Russella można zinterpretować jako znaczenie, ale jest to interpretacja, której sam Russell nie przyjmował. Spróbujmy przyjrzeć się więc teorii, której autor powyższego cytatu broni – jego teorii denotacji. Przede wszystkim zauważyć należy, że (w odróżnieniu od propozycji Fregego) teoria denotacji zakrojona jest dość skromnie – Russell rozpoczyna od analizy zwrotów denotujących, tzw. deskrypcji, dzieląc je na dwie klasy: poprzedzonych w języku angielskim przedimkiem określonym i tych, które poprzedzone są przedimkiem nieokreślonym, przy czym te pierwsze okazują się po prostu bardziej skomplikowanym przypadkiem tych drugich. Odkrycie rzeczywistej struktury logicznej zdań zawierających deskrypcje pozwala zatem uniknąć poważnego kłopotu, przed którym staje każdy, kto przyjmie, że wyrażenia takie nie mają znaczenia. Kłopotem tym jest, jak wspomniałem wcześniej, niemożność wyjaśnienia sensowności zdań zawierających te wyrażenia. Tymczasem przyjęcie, że zdanie: „Obecny król Francji jest łysy" jest pozbawione sensu wydaje się łamać nasze językowe intuicje. Nie chcielibyśmy, aby zdanie to stawało się nonsensem tylko dlatego, że obecny król Francji nie istnieje. Co więcej, chcielibyśmy móc sensownie powiedzieć, że obecny król Francji nie istnieje, co przy założeniu, że zdania zawierające deskrypcje pozbawione denotacji są nonsensowne, staje się niemożliwe. Analiza, jaką proponuje Russell polega na wyeliminowaniu deskrypcji na rzecz odpowiedniego wyrażenia kwantyfikującego, a różnica między rodzajnikiem określonym i nieokreślonym sprowadza się do dodatkowego warunku jedyności w przypadku wystąpienia tego pierwszego. W ten sposób potraktowane

zdanie: „Obecny król Francji jest łysy" zostaje więc zanalizowane jako

$$\exists x\,[\mathrm{L}x \wedge \forall y\,(\mathrm{L}y \rightarrow x{=}y) \wedge \mathrm{Ł}x],$$

gdzie: Lx – x jest obecnym królem Francji; Łx – x jest łysy.

Efektem takiej analizy jest fałszywość wyjściowego zdania, a nie jego nonsensowność. Okazuje się ono bowiem egzystencjalną generalizacją koniunkcji, której pierwszy człon jest fałszywy, dlatego też nie musimy się już martwić pozostałymi jej członami. Teoria Russella zawiera jednakże jeszcze jeden istotny element. Pamiętając o ontologicznych motywacjach wprowadzenia teorii deskrypcji, stajemy natychmiast przed problemem nazw własnych, które również bywają pozbawione denotacji, co ponownie stawia nas przed problemem sensowności zdań je zawierających. Musimy przyjąć, że wszystkie takie zdania albo są nonsensami, albo (oprócz denotacji nazwy) posiadają jeszcze coś dodatkowego (znaczenie, czy jak kto woli – sens), albo zdania te wymagają dodatkowej analizy, która wykaże ich rzeczywistą strukturę. Jak łatwo się domyślić, tę właśnie drogę obrał Russell. Jego analiza opiera się na przyjęciu, że nazwy własne, takie jak „Apollo", są po prostu skrótami pewnych deskrypcji. W przypadku nazwy „Apollo" jest to, zdaniem Russella, po prostu definicja, którą znaleźć można w odpowiednim słowniku klasycznym [Russell 1905: 271]. W ten sposób każdą nazwę rzekomego, nieistniejącego (w rzeczywistości) obiektu zamienić możemy na odpowiednią deskrypcję, a tę wyeliminować w taki sam sposób, w jaki zrobiliśmy to z deskrypcją „obecny król Francji". Nasuwa się jednak teraz pewne oczywiste pytanie. Czy tylko nazwy pozbawione denotacji są skrótami deskrypcji, czy też dotyczy to wszystkich nazw własnych? Russell nie przyjmuje takiego połowicznego rozwiązania (choć wydaje się, że w zasadzie mógłby). Uznanie

nazw takich jak „Platon" czy „Arystoteles" za nazwy własne nazywa on „bardzo niebacznym założeniem" [Russell 1919: 287]. Praktycznie wszystkie nazwy, które potocznie określamy mianem „własnych" okazują się skrótami deskrypcji. Przykładami rzeczywistych nazw własnych, które Russell wskazuje, są wyrażenia „ten" i „ów". Okazjonalność tych zwrotów nie jest tu przypadkiem. Russell optował za tym, by odniesienie było prostą (w znaczeniu: nieanalizowalną) relacją. Prostotę tę miało jej zapewnić powiązanie z ostensją. Ukrytymi deskrypcjami okazują się też nazwy ogólne, takie jak „jednorożec". Różnica polega jednak na tym, że deskrypcja, której skrótem jest ta nazwa okaże się zwrotem z użyciem przedimka nieokreślonego, a więc nie będzie w niej założonego warunku jedyności.

Łatwo przewidzieć, że tego rodzaju pogląd na nazwy własne nietrudno jest zinterpretować w taki sposób, by deskrypcje uznać po prostu za wyjaśniające znaczenie owych nazw. W niektórych miejscach sam Russell wyraża się w sposób silnie to sugerujący, pisze na przykład, że nazwy takie jak „jednorożec" są w wyniku odpowiedniej analizy eliminowalne na rzecz odpowiednich „pojęć" [Russell 1919: 279]. Pojęciami tymi okazują się, rzecz jasna, odpowiednie deskrypcje. Interpretując teorię deskrypcji w taki sposób, uzyskujemy teorię, opartą na Fregowskim dualizmie – sens/nominat. Jednakże tak sformułowana propozycja z łatwością może się stać źródłem poważnego nieporozumienia. Czy chodzi tu o to, że człowiek posługujący się jakąś nazwą własną, np. mówiąc coś o Arystotelesie, uświadamia sobie tym samym natychmiast jakąś deskrypcję, powiedzmy, „autor *Metafizyki*"? Można by oczywiście taki pogląd głosić, ale byłoby to wystawione na oczywisty zarzut, że większość ludzi niczego takiego nie robi. Zapytani o ową deskrypcję, mają niekiedy poważne trudności z jej wskazaniem. Dlatego też nie należy mylić tego, że jakaś nazwa okazuje się w trakcie analizy deskrypcją, z opisem natury psychologicznej. W odpowiedzi na

krytyczny artykuł Petera Strawsona [1950], choć odpierając nieco inny zarzut, Russell wyraźnie zauważa [1957: 388], że teoria deskrypcji nie jest analizą stanu umysłu mówiącego.

Oba omawiane aspekty propozycji Russella nie są od siebie zależne. Można uważać, że deskrypcje mają w rzeczywistości formę logiczną zwrotów kwantyfikujących, ale sprzeciwiać się temu, że większość nazw jest skrótami deskrypcji lub odwrotnie – uznawać, że nazwy są skrótami deskrypcji, ale nie uznawać kwantyfikatorowej analizy tych ostatnich. Aspekty te wzbudziły też wiele kontrowersji. Zagadnieniem deskrypcji jako rozwinięć nazw własnych zajmiemy się przy okazji omawiania przyczynowej teorii oznaczania (rozdział 12). W tym miejscu chciałbym jednak powiedzieć kilka słów na temat analizy deskrypcji jako zwrotów kwantyfikujących.

Jak zauważa Strawson [1950], będąca rezultatem przyjęcia kwantyfikatorowej interpretacji deskrypcji fałszywość zdania: „Obecny król Francji jest łysy”[11] nie zgadza się z intuicjami języka potocznego. W rzeczywistości jest tak, że ktoś zapytany o to, czy „obecny król Francji jest łysy”, byłby raczej zdezorientowany, a nie pewny odpowiedzi negatywnej[12]. Wydaje się, że zarzut Strawsona jest słuszny, ale zwolennicy teorii Russella zwrócili uwagę na to, że istnieją konteksty, w których intuicyjne wydaje się raczej zaprzeczenie – nie mamy wątpliwości, że ktoś mówiący: „Obecny król Francji sprząta mi basen”[13] wypowiada po prostu fałsz. Można podejrzewać, że różnice

11 Strawson posługuje się przykładem: „Obecny król Francji jest mądry”.

12 Zależy to, oczywiście, od roku, w którym zadano by to pytanie. Argumentacja Strawsona w wielu punktach opiera się na okazjonalności zdania, które jest przykładem Russella, co ten ostatni słusznie mu wypomina, zauważając, że zarzuty w większości przestałyby być aktualne, gdyby tylko wziąć pod uwagę zdanie: „Król Francji w 1905 r.”, a problem deskrypcji nadal pozostałby nierozwiązany.

13 Przykład ten pochodzi od Neala.

w naszych potocznych intuicjach są w dużej mierze wynikiem jakichś zależności psychologicznych. Drugą istotną trudnością jest brak rozróżnienia między atrybutywnym i referencyjnym użyciem deskrypcji. Donnelan [1972] zwrócił uwagę na to, że teoria Russella pasuje jedynie do pierwszego z tych użyć. Różnica między nimi polega na tym, że używając deskrypcji atrybutywnie, odnoszę się do dowolnych obiektów, które spełniają daną deskrypcję. Użycie referencjalne polegałoby zaś na tym, że odnoszę się do pewnego konkretnego obiektu (lub zbioru obiektów) zakładając, że deskrypcja ta wyróżnia ów przedmiot, ale odnosiłbym się do niego nawet wówczas, gdyby tak się złożyło, że przedmiot ten deskrypcji nie spełnia. Przykład ten ilustrują następujące dwie sytuacje:

1. „Zabójca Smitha jest szalony" – mówi detektyw, przyglądając się zmasakrowanym zwłokom ofiary. Używa on tu deskrypcji „zabójca Smitha" w sposób atrybutywny - ktokolwiek, kto zabił Smitha jest szalony. Charakterystyczne dla tego użycia jest to, że deskrypcja występuje tu w sposób istotny - detektyw nie posłużyłby się dowolną inną deskrypcją, równoważną pod względem denotacji.

2. „Zabójca Smitha jest szalony" – mówi detektyw, obserwując zachowanie oskarżonego na sali (załóżmy, że ma on np. jakieś tiki albo cichutko podśpiewuje). W tym przypadku detektyw odnosi się do pewnej konkretnej osoby i będzie mówił „o niej" nawet wtedy, gdy w wyniku dalszego postępowania sądowego okaże się ona niewinna. Równie dobrze mógłby posłużyć się jakąkolwiek deskrypcją o tej samej denotacji.

Zauważmy jednak, że owo dość subtelne rozróżnienie można kwestionować, twierdząc, że występująca w przykładzie (2) deskrypcja „zabójca Smitha" to w rzeczywistości skrót deskrypcji „domniemany zabójca Smitha", albo też, „człowiek, o którym jestem przekonany, że jest zabójcą Smitha", przez co użycie referencyjne redukuje się do specjalnego wariantu

użycia atrybutywnego. Kripke [1977] zwrócił uwagę na to, że prawdopodobnie mamy tu do czynienia z jakimś aspektem pragmatyki, a nie semantyki języka. Podobne rozróżnienie może bowiem być potrzebne również w przypadkach użycia nazw własnych. Człowiek, który na widok kogoś grabiącego liście mówi: „Smith ciężko pracuje", mylnie identyfikując grabiącego liście Johnesa jako Smitha i mówi o kimś, kto grabi liście, a nie o człowieku nazwiskiem Smith, który może akurat w danej chwili wylegiwać się przed telewizorem. Innym przypadkiem jest opisywana przez Nunberga [2004] sytuacja, w której niezbyt biegły w rozróżnianiu wizerunków gwiazd popkultury ojciec mówi: „Wszystkie obecne tu dziewczynki z wpiętym zdjęciem Christiny Aguilery będą na przyjęciu mojej córki". Tymczasem mogło się zdarzyć, że wszystkie dziewczynki miały wpięte zdjęcie Britney Spears. Nie oznacza to jednak, że nikt nie przyjdzie na przyjęcie. W przytoczonym przykładzie mamy do czynienia ze zwrotem kwantyfikującym, a więc z tym, co powstaje w wyniku analizy atrybutywnego użycia deskrypcji, a mimo to nadal możemy mówić o użyciu referencyjnym. Niezwykle prawdopodobne wydaje się więc to, że nie deskrypcje są podstawą omawianego podziału. Kontrprzykłady Kripkego i Nunberga wskazują również trudności z przeprowadzeniem ostrej granicy między semantyką a pragmatyką. Zwróćmy uwagę na jeszcze inny przykład:

> „To zostało zakupione przez Rupperta Murdocha za 500 milionów dolarów" – mówi ktoś, wskazując na egzemplarz porannej gazety [Nunberg 2004].

Jest jasne, że osoba, która słyszy to zdanie, nie dochodzi do wniosku, że ktoś kupił egzemplarz gazety za pół miliarda dolarów (a na dodatek, że egzemplarz ten leży na stole jego rozmówcy). Zauważmy jednak, że skrótem oczywistej dla każdego

deskrypcji „gazeta, której egzemplarz leży tu na stole" jest wyrażenie okazjonalne „to", a więc coś, czemu Russell przyznałby elitarny status rzeczywistej nazwy własnej. Jak wspomniałem, do tematu nazw i ich ewentualnych rozwinięć w postaci deskrypcji wrócimy jeszcze przy okazji omawiania przyczynowej teorii oznaczania (rozdział 13).

Część II
EKSPLIKACJA

Rozdział 5

Rudolf Carnap – teoria syntaktyczna

Jak zauważyliśmy w rozdziale pierwszym, Locke sądził, że nasze przekonanie o odnoszeniu się do przedmiotów świata zewnętrznego należy rozumieć tylko jako niezręczny sposób mówienia, w rzeczywistości odnosimy się do idei. Mill prezentował podobny pogląd – znów mieliśmy niezręczny sposób mówienia i rzeczywiste, odkryte przez autora, odniesienie wyrażeń – tym razem były to nasze wrażenia. Podobne rozróżnienie pojawia się również u Rudolfa Carnapa. Dzieli on zdania na trzy kategorie: zdania o języku, zdania o przedmiotach (rzetelne zdania przedmiotowe) oraz zdania, które swą formą sugerują przedmiotowość, w rzeczywistości będąc zamaskowanymi zdaniami o języku. Tę ich mylącą, niezręczną formę nazywa „trybem materialnym" i postuluje przekład na formę precyzyjną, nie sugerującą odniesienia do jakiejkolwiek pozajęzykowej rzeczywistości. Tę pożądaną, precyzyjną formę nazywa „trybem formalnym". Carnap nie postuluje zarzucenia trybu materialnego – uważa, że jest on wygodny i rozpowszechniony (nie zastanawia się dłużej nad źródłami tej wygody). Zauważa jednak, że posługiwanie się trybem formalnym niesie ze sobą wiele korzyści – nie wikłamy się wówczas w pseudoproblemy, ponieważ wszystkie nasze wypowiedzi muszą być zrelatywizowane do konkretnego języka (są to bowiem wypowiedzi o pewnych formach językowych). Relatywizacja ta pozwala nam rozpatry-

wać dane zagadnienie w świetle teorii języka, o wyrażeniach którego mówimy. Teoria ta – to składnia tego języka.

Dlaczego właśnie składnia? Pragnienie uczynienia filozofii naukową sprowadzało się przede wszystkim do postulatu odrzucenia wszystkiego, co metafizyczne. Nie jest to, oczywiście, postulat nowy – filozofia wielokrotnie miała się odrodzić na nowo i stać się dyscypliną prawdziwie naukową. W jaki sposób metafizyka obecna jest jednak w badaniach nad językiem? Przy okazji rozważań na temat teorii Locke'a, Milla i Fregego mogliśmy zobaczyć jedno z tych zagrożeń. Mówiąc o języku, autorzy ci[14] w naturalny sposób przechodzili do rozważań z dziedziny epistemologii i ontologii. Frege postulował świat sensów, Mill opowiadał o tym, czym są przedmioty, do których odnoszą się słowa, a Locke przedstawił wizję esencji realnych i nominalnych. Powodem tych wycieczek było, oczywiście, pojęcie odniesienia, które stanowi pomost pomiędzy językiem i światem. Pojęcie odniesienia wiąże się ściśle z pojęciem prawdy – ono również okazało się zagrożeniem dla naukowości. Pojęcie to rodzi antynomie (będzie o tym mowa w rozdziale poświęconym teorii prawdy Tarskiego). Wszystko to sprawiło, że semantyka stała się na jakiś czas wyklęta i eksplikacji pojęcia znaczenia próbowano dokonać bez odwoływania się do pojęć semantycznych. Drugą, oprócz składni, dopuszczalną dziedziną była pragmatyka – Carnap uznał jednak, że aby zachować walor naukowości, należałoby odwołać się do osiągnięć psychologii behawioralnej, a na zadowalające wyniki tej ostatniej trzeba będzie jeszcze poczekać.

Dokonana przez Carnapa próba zdefiniowania pojęcia znaczenia na gruncie składni (w ramach znacznie szerszego projektu składni logicznej) jest z pewnością jednym z najbardziej

14 Dotyczy to w większym stopniu Milla i Fregego. Locke, jak widzieliśmy, wyrażał swe poglądy o języku na marginesie teorii idei.

ambitnych projektów filozoficznych w historii tej dyscypliny. Wszak wydaje się, że projekt zdefiniowania tego terminu bez odwołania się do pojęć semantycznych skazany jest na niepowodzenie. Jak zobaczymy, Carnap poszedł w swojej koncepcji jeszcze dalej – nie przekraczając ram składni języka, był w stanie powiedzieć coś również o odniesieniu, co na pierwszy rzut oka wydaje się już zadaniem zgoła niemożliwym. Aby przedstawić rzeczoną koncepcję, musimy jednak najpierw zrozumieć, co Carnap pojmuje przez składnię języka. Jest to bowiem pojęcie zdefiniowane szerzej, niż to się zwykło robić. Przez składnię rozumie się tu formalną teorię języka, która nie odwołuje się do znaczeń – w odróżnieniu od tradycyjnej gramatyki, która posiłkuje się niekiedy odwołaniami do znaczenia bądź odniesienia przedmiotowego. Przykładem takiej niekonsekwencji gramatyki tradycyjnej (o ile można tu mówić o niekonsekwencji, wszak gramatycy nie twierdzą, że dążą do teorii czysto formalnej) jest choćby jedna z reguł gramatyki łacińskiej, która stwierdza, że słowa odnoszące się do gór, rzek i państw są zawsze rodzaju żeńskiego. Tego typu odwołań do rzeczywistości pozajęzykowej (a także znaczeń) pragnie Carnap uniknąć. W celu przedstawienia swojej propozycji projektuje dwa języki formalne, a następnie buduje składnię każdego z nich. Natychmiast nasuwa się, oczywiście, wątpliwość, czy tego typu konstrukcja jest w jakimkolwiek sensie przydatna do analizy pojęcia znaczenia w językach naturalnych. Wydaje się, że wątpliwość tę można jednak oddalić – pojęcie znaczenia, przedstawione dla języków formalnych, przydaje się również do opisu języka naturalnego. Carnap rozwiewa wprawdzie od razu nadzieje na zbudowanie składni języka naturalnego – zauważa, że podanie reguł formacji i transformacji dla zdań takiego języka jest prawdopodobnie niemożliwe, wspomina jednak, że składnia języków formalnych może być pomocna do analizowania języków naturalnych [Carnap 1937: 19]. W po-

przednim zdaniu pojawiły się już dwa terminy techniczne: reguły formacji i transformacji. Przejdę teraz do wyjaśnienia kilku podstawowych pojęć wprowadzonych przez Carnapa i zależności między nimi, co pozwoli nam rozszyfrować Carnapowskie pojęcie znaczenia.

Konstrukcja, jaką jest składnia logiczna, opiera się na dwóch pojęciach pierwotnych – pojęciu „zdania" i pojęciu „konsekwencji". Obu tym pojęciom odpowiadają dwa specjalne typy reguł języka – reguły formacji i transformacji. Reguły formacji pozwalają na budowanie sensownych ciągów symboli – zdań. Przez sens rozumie się tu jednak tylko to, że są to ciągi dopuszczane przez te reguły. Reguły formacji pozwalają rozstrzygnąć, czy dany ciąg symboli jest zdaniem języka wyznaczanego przez te właśnie reguły, czy też nie. Drugi rodzaj reguł – reguły transformacji – pozwalają na przekształcanie zdań w inne, sensowne zdania. Reguły te są podstawą pojęcia konsekwencji (a ściślej, pojęcia konsekwencji bezpośredniej). Dzięki obecności obu typów reguł mamy więc możliwość konstruowania zdań i wykonywania na tych zdaniach pewnych operacji, prowadzących nas do innych, sensownych zdań. W tym miejscu może pojawić się pewna wątpliwość – a co z sensownością wyrażeń, które nie są zdaniami? Czy nie ma jakichś reguł dotyczących sensowności nazw? Carnap uważa, że wystarczy podanie kryteriów sensowności zdania, można się do tego ograniczyć, ponieważ sensowność wyrażeń jest pochodną sensowności zdań. Sensownymi są wyrażenia, za pomocą których możemy budować sensowne zdania [Carnap 1937: 143]. Wróćmy zatem do naszych reguł. Reguły transformacji podlegają innemu jeszcze podziałowi, jak się okaże, ważnemu dla pojęcia znaczenia. Jest nim podział na F-reguły i L-reguły. L-reguły są regułami logicznymi lub matematycznymi, F-reguły to wszystkie reguły, które nie są L-regułami. Wyróżnione miejsce wśród F-reguł zajmują prawa nauk em-

pirycznych (w szczególności fizyki, co sugeruje nazwa). Jak wspomniałem wcześniej, reguły transformacji pozwalają na wyprowadzanie jednych zdań z drugich. Jeśli transformacja dokonała się przy użyciu jedynie L-reguł, mamy do czynienia z L-konsekwencją, jeśli użyto w niej również F-reguł, otrzymujemy w efekcie F-konsekwencję. Należy zauważyć, że pojęcie konsekwencji pozwala na wyodrębnienie dwóch szczególnych rodzajów zdań: takich, które są konsekwencjami każdego zdania (zdania analityczne) i takich, których konsekwencjami są dowolne zdania (zdania kontradyktoryczne). Wyposażeni w ten aparat pojęciowy, jesteśmy w stanie poznać definicję treści (znaczenia) zdania: znaczeniem zdania jest zbiór wszystkich jego nieanalitycznych konsekwencji [Carnap 1937: 240]. Dlaczego wszystkich nieanalitycznych? Ponieważ zdania analityczne zdefiniowane są jako konsekwencje dowolnego zdania, nie mogą one zatem stanowić o treści jednego z nich. Oznacza to, że zdania analityczne nie mają żadnej treści (nie mają bowiem żadnych nieanalitycznych konsekwencji). Można zatem powiedzieć, że wszystkie zdania analityczne mają to samo znaczenie – pusty zbiór nieanalitycznych konsekwencji. Wbrew pozorom, może się to wydawać rozwiązaniem paradoksalnym, mamy przecież silne poczucie, że zdania takie jak „2 + 2 = 4" i „nie ma góry wyższej od najwyższej" mają jednak znaczenia odmienne. Jest to z pewnością jedna z wad koncepcji Carnapa, wynikająca zapewne z inspiracji, jaką był dlań *Traktat logiczno-filozoficzny* Wittgensteina. Jak przeczytamy w dalszych rozdziałach, nie będzie to jedyna teza Wittgensteina, która zainspirowała Carnapa.

Wróćmy do uzyskanego pojęcia treści zdania. Wśród nieanalitycznych konsekwencji zdania znajdują się oczywiście L-konsekwencje i F-konsekwencje. Ważne jest, abyśmy o tym rozróżnieniu nadal pamiętali, bowiem przyda się ono za chwilę. W tym momencie możemy z łatwością określić, na czym

polega relacja równoznaczności zdań – dwa zdania mają to samo znaczenie, gdy mają ten sam zbiór konsekwencji, co jest równoważne stwierdzeniu, że zdania te są nawzajem swoimi własnymi konsekwencjami. Dlaczego tak jest?

Załóżmy, że dwa zdania – X i Y – mają ten sam zbiór konsekwencji. Wiemy, że X jest konsekwencją X, a Y jest konsekwencją Y – każde zdanie jest swoją własną konsekwencją. Jeżeli X i Y mają te same konsekwencje, to X musi znajdować się wśród konsekwencji Y (bo należy do zbioru konsekwencji X, który jest tożsamy ze zbiorem konsekwencji Y) i odwrotnie. Teraz rozważmy implikację w drugą stronę: załóżmy, że dwa zdania, X i Y, są wzajemnie swoimi konsekwencjami. Czy mogłoby być tak, że mimo to ich zbiory konsekwencji byłyby różne? Oznaczałoby to, że istnieje jakieś zdanie Z, które jest konsekwencją X, ale nie jest konsekwencją Y (albo odwrotnie). Ale w zbiorze konsekwencji X jest Y (takie jest założenie), a więc są tam też wszystkie konsekwencje Y – nie może być zatem takiej konsekwencji Y, która nie jest zarazem konsekwencją X. Posiadanie tego samego zbioru konsekwencji i bycie wzajemnie swoimi własnymi konsekwencjami jest więc równoważne.

A czy moglibyśmy w jakiś sposób określić pojęcie znaczenia nie tyko zdań, lecz także innych wyrażeń? Niezupełnie, ale pojęcie to nie jest dla nas aż takie istotne – najważniejsze jest posiadanie jakichś kryteriów, pozwalających na odpowiedź na dwa pytania: „kiedy wyrażenie ma sens?" i „kiedy dwa wyrażenia mają to samo znaczenie?". Spróbujmy teraz na nie odpowiedzieć. Najpierw zajmijmy się drugim z przedstawionych pytań, ponieważ odpowiedź na nie jest ściśle związana z poprzednim akapitem. Dwa wyrażenia mają to samo znaczenie, czyli są synonimiczne, gdy można je wzajemnie zastępować w zdaniu, otrzymując zawsze w wyniku tego zdanie równoznaczne z wyjściowym. A czy da się za pomocą przedstawionej aparatury pojęciowej wyrazić różnicę między zna-

czeniem a odniesieniem? Co ze szczególnymi przypadkami, gdy odniesienie jest to samo, a znaczenie różne? Odpowiedź na to pytanie pada jedynie pośrednio – w tabelach przedstawiających przekład na tryb formalny, pojawia się następująca para zdań: „Wyrażenie zwierciadło i lustro mają to samo znaczenie" oraz „Gwiazda Poranna i Gwiazda Wieczorna mają różne znaczenie, lecz oznaczają ten sam przedmiot". Jaki przekład na tryb formalny proponuje Carnap dla tych zdań? Jest to odpowiednio: „Zwierciadło i lustro są L-synonimiczne" i „*Gwiazda Wieczorna* i *Gwiazda Poranna* nie są L-synonimiczne, lecz są F-synonimiczne" [Carnap 1937: 384]. W jaki sposób należy to rozumieć? Przecież mówiliśmy dotąd tylko o synonimiczności zdań. Synonimiczność ta jest oparta na pojęciu konsekwencji, a konsekwencje dzielą się na dwa rodzaje w zależności od tego, czy użyto w nich F-reguł, czy też nie. To, że jakieś wyrażenie nie jest L-synonimiczne, ale jest F-synonimiczne oznacza po prostu, że uzyskane w wyniku podstawienia pary zdań są wzajemnie swoimi F-konsekwencjami, ale nie L-konsekwencjami, bo to, że Gwiazda Wieczorna i Gwiazda Poranna są nazwami tego samego przedmiotu, wiemy dzięki pewnej F-regule, sformułowanej na podstawie obserwacji astronomicznych. Rozważmy następujący przykład:

(1) *Marek obserwuje Gwiazdę Poranną.*

Po zastąpieniu wyrażenia „Gwiazda Poranna" wyrażeniem „Gwiazda Wieczorna" otrzymujemy zdanie:

(1') *Marek obserwuje Gwiazdę Wieczorną.*

Czy zdania te są równoznaczne? Czy są wzajemnie swoimi własnymi konsekwencjami? Tylko pod warunkiem, że wśród reguł transformacji mamy gdzieś regułę, która ustala, że

Gwiazda Wieczorna i Gwiazda Poranna to ten sam przedmiot. Ale nie będzie to L-reguła, jest to typowy przykład F-reguły. Zdania (1) i (1') nie są zatem wzajemnie L-konsekwencjami, są jedynie F-konsekwencjami. Okazuje się więc, że aparatura formalna Carnapa jest w stanie wysłowić nawet różnicę pomiędzy znaczeniem i odniesieniem, i to w sposób, który odpowiada pewnym intuicjom towarzyszącym tym pojęciom — w szczególności intuicji, że znaczenie wyrażeń zależy od języka, ale ich odniesienie ma już jakiś związek z tym, jaki jest świat.

A co z naszym pierwszym pytaniem? Kiedy o danym wyrażeniu możemy powiedzieć, że ma sens? Wyrażenie ma sens wtedy, gdy można za jego pomocą zbudować sensowne zdanie (a o tym rozstrzygają, jak zauważyliśmy wcześniej, reguły formacji). Nasuwa się tu jednak pewna trudność. Rozważmy zdanie: „2 jest smutna". Czy jest to zdanie sensowne? Czy to w ogóle jest zdanie? Wydaje się, że mogłoby być, jeśli reguły formacji naszego języka to dopuszczają. A w jaki sposób mogłyby nas przed zdaniami tego typu powstrzymać – czy nie ma tu ryzyka przemycenia semantyki? Czy nie wygląda na to, że w którymś miejscu będziemy musieli powiedzieć coś o wyrażeniach, które odnoszą się do liczb i zabronić używania ich w połączeniu z innymi wyrażeniami – np. takimi, które odnoszą się do emocji? Carnap rozwiązuje tę trudność, wprowadzając pojęcie typów wyrażeń. Reguły formacji mogą wyróżnić kategorie wyrażeń eliminując niepożądane zdania. „2" należy na przykład do typu wyrażeń liczbowych i jako takie nie może stanowić składnika dowolnych zdań. Typów wyrażeń nie należy jednak traktować jako podziału, którego podstawą są różnice ontologiczne – to język ustala typy wyrażeń i znajomość odniesienia nie jest tu potrzebna. Jest to zresztą zjawisko, obecne w jakimś stopniu w językach naturalnych. Ucząc się języka, możemy bez trudu rozpoznać w zdaniu typy wyrażeń, nie znając ich odniesienia – jest to w niektórych językach (szczególnie w tych, w których

występują prefiksy) konieczny warunek efektywnego korzystania ze słownika. Wydaje się jednak, że nie widać powodów, dla których reguły języka nie miałyby dopuszczać dowolnych kombinacji wyrażeń. Możemy zbudować taki język, jaki nam się żywnie podoba. Dlatego też sensowność zdań (a co za tym idzie – wyrażeń) podlega w koncepcji Carnapa dodatkowym obostrzeniom, które wraz z lepszą propozycją odpowiedzi na pytanie: „Kiedy wyrażenie ma sens?" poznamy jednak dopiero w rozdziale dziewiątym.

Rozdział 6

Kazimierz Ajdukiewicz – dyrektywalna teoria znaczenia

Przejdziemy teraz do drugiej teorii znaczenia, która starała się obejść bez pojęć semantycznych. W odróżnieniu od propozycji Carnapa będzie to jednak teoria, odwołująca się nie tylko do składni, lecz także do pragmatyki języka. Zaproponowana przez Kazimierza Ajdukiewicza definicja znaczenia, chociaż nie wpłynęła w znaczący sposób na dalsze losy projektu eksplikacji tego pojęcia (została zarzucona nawet przez jej twórcę), wydaje się warta omówienia i to z kilku powodów. Po pierwsze, jest ona pierwszą historycznie definicją znaczenia, podaną w sposób ścisły. Ajdukiewicz nie zadowala się przekazaniem jedynie pewnych intuicji czy przenośni mających odpowiednie intuicje obudzić (choć stara się również wskazać intuicje, które za definicją ścisłą stoją). Temu dążeniu do ścisłości towarzyszy zresztą przekonanie o wyższości tego podejścia nad stylem filozoficznych poprzedników, którym Ajdukiewicz zarzuca ogólnikowość i posługiwanie się głównie metaforami. Cena filozoficznej ścisłości okazała się jednak dość wysoka – dyrektywalna koncepcja znaczenia prowadziła do konsekwencji, której nie chciał zaakceptować sam jej twórca. Trudności, do jakich omawiana definicja prowadzi, przedstawię pod koniec tego rozdziału.

Proponowana definicja znaczenia wyłożona jest w dwóch artykułach: *O znaczeniu wyrażeń* [Ajdukiewicz 1931] oraz

Język i znaczenie [Ajdukiewicz 1934]. Pierwszy z nich można potraktować jako wstęp do drugiego, wyjawiający pewne intuicje związane z potocznym pojęciem znaczenia. W artykule drugim definicja znaczenia zostaje sformułowana w sposób ścisły.

Ajdukiewicz rozpoczyna swoje rozważania od krytyki asocjacyjnej teorii znaczenia, starając się nadać tej teorii możliwie jasne sformułowanie. Podstawowym założeniem tej koncepcji jest to, że użyciu danego wyrażenia musi towarzyszyć pewna myśl. Ów stan psychiczny jest jego znaczeniem, o ile stanowi warunek konieczny i wystarczający jego właściwego użycia. Nie ulega wątpliwości, że asocjacjonista mówi tu coś o pewnym typie przeżycia, a nie o przeżyciu konkretnym – w innym przypadku żadne dwie różne osoby nie mogłyby wiązać z wyrażeniem tych samych znaczeń. Co więcej, nawet jedna i ta sama osoba nie mogłaby dwa razy użyć tego samego wyrażenia w tym samym znaczeniu. Posługując się przykładami, Ajdukiewicz stara się wykazać, że przeżywanie takiej myśli pewnego wyróżnionego typu nie jest warunkiem koniecznym ani wystarczającym w kontekście znajomości znaczenia jakiegoś wyrażenia. Nie ulega wątpliwości, że mimo deklarowanego rozróżnienia pomiędzy myślami a wyobrażeniami krytyka Ajdukiewicza skupia się na tych drugich. Wszystkie podane przykłady dotyczą wyobrażeń. Utożsamienie myśli z wyobrażeniami widoczne jest choćby w następującym fragmencie:

> Zwróćmy uwagę na to, co się dzieje w naszej świadomości, gdy czytamy lub słuchamy zwrotu „Karol Wielki żył w IX wieku" jako wyrażenia języka polskiego. Niewątpliwie odczytanie tego zwrotu wywołuje dzięki asocjacji różne myśli. Komuś może nasunie się obraz korony Karola Wielkiego, ktoś inny wyobrazi sobie jakąś majestatyczną postać w stroju średniowiecznym; piszącemu te słowa plącze się w świadomości brzmienie „Pepin Mały", wyobraża sobie mapę Francji itd. [Ajdukiewicz 1931: 114–115]

Problem dziwnej „obrazkowej" interpretacji, jaką krytycy mentalistycznych teorii znaczenia często tym koncepcjom nadają jest sam w sobie ciekawy i zapewne godny podjęcia. Nie będę tu jednak zgłębiał tego zagadnienia, ograniczając się do uwagi, że teorie utożsamiające znaczenia wyrażeń z wyobrażeniami spotkać można częściej w tekstach krytyków propozycji mentalistycznych niż w tekstach samych asocjacjonistów. W szczególności, teoria Locke'a, której koncepcje mentalistyczne wiele zawdzięczają, nie postuluje, jak zauważyliśmy, wyobrażeń jako znaczeń.

Mimo krytyki asocjacjonizmu propozycja Ajdukiewicza ma zdecydowanie psychologistyczny wydźwięk, choć autor wyraźnie zastrzega, że nie interesuje go definicja znaczenia zrelatywizowana do użytkownika języka, a jedynie do samego języka. Mimo to Ajdukiewicz wprost stwierdza, że użycie pewnego wyrażenia ciągle w ten sam sposób wymusza istnienie pewnego typu myśli w świadomości użytkownika wyrażenia [Ajdukiewicz 1934: 150]. W części przedstawiającej intuicje związane z pojęciem znaczenia bez trudu dostrzec można wpływ Husserla[15]. Wydaje się jednak, że wszystkie te analizy psychologiczne nie mają większego wpływu na ostateczny kształt teorii znaczenia. Dowodem tej niezależności może być choćby fakt, że teorię Ajdukiewicza można przedstawić w postaci teorii behawioralnej [Grabarczyk 2013a].

Ajdukiewicz wychodzi od rozważenia pewnych specjalnych przypadków nieporozumień między ludźmi mówiącymi tym samym językiem. Jak każdemu użytkownikowi języka wiadomo, oprócz sytuacji, w których różnicę zdań przypisujemy po prostu różnicy poglądów lub też niedostatkom wiedzy, istnieją przypadki, w których uznajemy, że nasz rozmówca posługuje

15 Choć Husserlowi z pewnością nie spodobałoby się to, że coś, co jest ewidentnym psychologizmem, miałoby być efektem jego wpływu.

się językiem w odmienny od nas sposób. Uznajemy, że z tymi samymi dźwiękami lub napisami wiąże on inne znaczenia. To spostrzeżenie doprowadziło Ajdukiewicza do przyjęcia, że istnieją w języku pewne wyróżnione zdania, swego rodzaju aksjomaty języka, których użytkownik po prostu nie może odrzucić, nie wyłamując się tym samym ze swej społeczności językowej. Reguły, które zakazują użytkownikowi języka uchylenia się od uznania pewnych wybranych zdań nazywa Ajdukiewicz „dyrektywami znaczeniowymi". Dlatego też, charakteryzując język, nie możemy ograniczyć się do wskazania reguł składni i słownika – przyporządkowanie znaczeń jest trzecim konstytutywnym dla języka czynnikiem, którego nie wolno pominąć. Ale w jaki sposób opisać ten czynnik? Zauważmy, że nie mówi się tutaj o tym, że dane zdania są w danym języku po prostu prawdziwe. Ajdukiewicz stara się takiej kwalifikacji uniknąć w obawie przed paradoksami semantycznymi – tak twierdzi zresztą we wstępie do wyboru *Język i poznanie* [Ajdukiewicz 1985: VI]. Zamiast tego mówi jedynie o uznawaniu zdań. Zachowanie to – uznanie pewnych zdań - musi być czymś powodowane (powody te nazywa Ajdukiewicz „motywami"). Pojęcie to zainspirowane jest, jak zauważa Ajdukiewicz, koncepcją Milla, który pisząc o konotacji zauważył, że określamy jakiś przedmiot daną nazwą „dlatego, że" posiada te lub inne cechy. Owo „dlatego, że" jest, jak pisze Ajdukiewicz, w jakimś stopniu podobne do relacji wynikania [Ajdukiewicz 1931: 121], ale zasadnicza różnica polega na tym, że motywacją dla uznania jakiegoś zdania nie muszą być inne zdania.

Aby to unaocznić, Ajdukiewicz przywołuje dwa przykłady. Jeden z nich ma właśnie dedukcyjny charakter: jeżeli ktoś uznaje zdanie, „jeśli A to B" i uznaje również zdanie „A", to musi uznać zdanie „B". Słowo „musi" rozumiane jest tu w sposób, o którym wspomniałem wcześniej (musi, aby być uznanym za członka społeczności posługującej się językiem

polskim). Można podać również przykład innego typu – jeśli drażnimy czyjś nerw zębowy, a osoba ta nie uznaje jednocześnie zdania: „boli", to zupełnie tak samo jak w przypadku pierwszym, nie zostanie uznana za mówiącego w języku polskim[16]. Oznacza to, że oprócz zdań, które uznaje dany człowiek (jego przekonań), motywami uznania danego zdania mogą być również wrażenia zmysłowe.

Dzięki tym rozróżnieniom wyodrębnić możemy trzy rodzaje dyrektyw językowych, w zależności od tego, co występuje w nich w roli motywu. Po pierwsze – język zawiera dyrektywy dedukcyjne, ich funkcjonowania nie trzeba, jak podejrzewam, wyjaśniać. Szczególnym przypadkiem takiej reguły będzie np. wspomniana reguła *modus ponens*. Drugą kategorią są dyrektywy aksjomatyczne. Tej kategorii również nie trzeba przedstawiać w szczegółach. Wraz z dyrektywami dedukcyjnymi dyrektywy aksjomatyczne stanowią kompletne wyposażenie tzw. języków dyskursywnych. Warto jednak zauważyć, że pewnego rodzaju dyrektywy aksjomatyczne występują również w języku naturalnym. Ajdukiewicz zauważa, że tego typu regułami dyktowane są oczywiste sądy *a priori*, takie jak A = A. Ostatnią grupą dyrektyw, rozpadającą się na dwie dodatkowe podgrupy, są dyrektywy empiryczne. Dyrektywami empirycznymi prostymi nazywa Ajdukiewicz takie reguły, które nakazują mówiącemu danym językiem uznanie zdania w obliczu pewnej danej empirycznej – przeżycia określonego rodzaju. Empirycznymi dyrektywami złożonymi nazywa ta-

16 Ajdukiewicz zdaje sobie, oczywiście, sprawę z tego, że człowiek ten może kłamać. W istocie, jego przykład może być uznany za nieco niefortunny. Wybór bólu podyktowany jest zapewne tym, że jest to sytuacja, w której prawdopodobieństwo kłamstwa jest mniejsze – stąd skuteczność tortur – ale też, z drugiej strony, istnieje wiele pozajęzykowych motywów odrzucenia takiego zdania, chociażby wstyd. Przykład ten nie jest więc aż tak przekonujący, jak być powinien.

kie dyrektywy, które oprócz przeżycia odpowiedniego typu zawierają również pewne niewyartykułowane przekonanie. Ajdukiewicz wspomina o jednym z takich możliwych składników – o przekonaniu, że sytuacja jest „normalna" i dodaje, że ten drugi typ dyrektyw empirycznych dotyczy zdań o „świecie zewnętrznym".

> Wyrazy, które są nazwami przedmiotów zewnętrznych i ich własności zdają się mieć znaczenie złożone, jeśli w ogóle mają jakieś znaczenie empiryczne. Proste znaczenie empiryczne posiadają, jak się zdaje, tylko nazwy obiektów należących do świata psychicznego i ich własności. [Ajdukiewicz 1934: 156–157]

Można zastanawiać się, czy nie pojawia się tutaj pojęcie odniesienia przedmiotowego. W jaki inny sposób mielibyśmy odróżnić dyrektywy empiryczne od reszty, jeśli nie moglibyśmy powiedzieć, że niektóre z dyrektyw zawierają terminy odnoszące się do danych empirycznych, a inne do zdań? Zauważmy, że Ajdukiewicz nie może powołać się na prawdziwość na mocy reguł, a następnie w stylu Carnapa odróżnić jedne od drugich na podstawie tego, jakie reguły nakazują ich uznanie. O żadnych takich dodatkowych regułach nie ma tutaj mowy. Wydaje się jednakże, że odniesienie jest jakoś w przypadku dyrektyw empirycznych *implicite* założone. Z pewnością ma to związek ze składnikiem wrażeniowym, a więc pozajęzykowym. To, w jaki sposób, szczególnie w przypadku dyrektyw złożonych, odniesienie to się ustala, pozostaje jednak w sferze domysłów. Można oczywiście spekulować i zastanawiać się, czy, przynajmniej w przypadku dyrektyw empirycznych prostych nie można by powiedzieć po prostu, że dany termin odnosi się do wrażenia, które jest motywem uznania odpowiedniego zdania. O wiele trudniej byłoby jednak znaleźć

odniesienie dla dyrektyw empirycznych złożonych. Kategoria sądów lub przekonań nieartykułowanych wyjaśnia powody, dla których posiadanie pewnego typu wrażeń nie wystarcza niekiedy do uznania zdań – na wspomniane przekonanie o „normalności" sytuacji składa się pokaźna liczba przekonań co do stanu mojego organizmu (nie mam gorączki, nie jestem pod wpływem halucynogenów itd.), a także moja wiedza na temat świata (moje przekonania na temat tego, co jest prawdopodobne, a co nie jest). Warto odnotować, że stanowisko Ajdukiewicza w sprawie złożonych dyrektyw empirycznych nie jest do końca jednoznaczne. W znacznie późniejszym tekście, stanowiącym odpowiedź na zarzuty A. Schaffa, Ajdukiewicz opisuje dyrektywy złożone tak, jakby element nieartykułowany składał się z obiektywnych danych na temat danej sytuacji (oświetlenie, stan fizyczny mówiącego), a nie przekonań danej osoby. Wydaje się, że jest to jednak rozwiązanie chybione. Łatwo wyobrazić sobie bowiem sytuację, w której ktoś odrzuca np. zdanie: „To jest czerwone" w sytuacji, która jest normalna, a my nie uznalibyśmy go za odstępującego od dyrektyw. Wystarczy wiedzieć, że człowiek ten jest z jakiegoś powodu przekonany o nienormalności sytuacji (np. podaliśmy mu placebo informując go, że w wyniku działania tego środka przedmioty żółte będą wyglądały dla niego jak czerwone, a on wystarczająco nam ufa).

Ajdukiewicz wolał nie posługiwać się pojęciem dyspozycji psychicznych, nazywając je pojęciem „mitologicznym" [Ajdukiewicz 1934: 153]. Ponieważ dyspozycje owe sprowadzają się tylko do uznawania lub odrzucania zdań, powyższe sformułowanie ogólnego schematu dyrektyw zamienić możemy na następujące: *W sytuacji L, jeśli użytkownik P uzna lub odrzuci zdanie Z, to uzna zdanie Z*. Sytuację *L* nazywa Ajdukiewicz dziedziną dyrektywy, uznawane zdanie – jej przeciwdziedziną, a parę uporządkowaną złożoną z obu – zakresem dyrektywy

(w przypadku dyrektyw aksjomatycznych zakresem są same zdania, które dyrektywa nakazuje uznać).

Najwięcej pytań prowokują niewątpliwie dyrektywy empiryczne. W jaki sposób mielibyśmy ustalać typ sytuacji, która weryfikuje znajomość znaczenia danego wyrażenia? Ajdukiewicz ogranicza się tu jedynie do zapewnienia, że dla każdego wyrażenia można coś takiego znaleźć, a w poszukiwaniu konkretnych danych empirycznych musimy już posłużyć się intuicją językową [Ajdukiewicz 1931: 121]. Wspomina również o pokrewieństwie tego poglądu z weryfikacjonizmem, stwierdzając, że jest to coś podobnego do postulowanych przez Wittgensteina kryteriów prawdziwości[17] [Ajdukiewicz 1934: 154]. W ten sposób, wychodząc od analizy sytuacji, w których posługujący się danym językiem skorzy są podejrzewać, że ich rozmówcy nie posługują się słowami w tym samym znaczeniu, dochodzimy do sformułowania hipotezy o istnieniu niepisanych reguł języka – dyrektyw znaczeniowych. W jaki sposób zbliża to nas jednakże do poszukiwanej definicji znaczenia? Zanim do niej przejdziemy, zauważmy jeszcze, że to właśnie pojęcie dyrektywy znaczeniowej jest przyczyną pewnej trudności w ustaleniu, z jakiego rodzaju definicją znaczenia mamy tu do czynienia. Jak zobaczymy później, definicję, którą ostatecznie proponuje Ajdukiewicz bez trudu można nazwać definicją syntaktyczną. Jedynym składnikiem tej definicji wychodzącym poza składnię są właśnie dyrektywy znaczeniowe. Dlatego też, ostatecznie, dyrektywalna definicja znaczenia jest, jak wspomniałem na początku, połączeniem definicji syntaktycznej i pragmatycznej[18].

17 Jest to jednak uwaga całkowicie marginalna i bardzo możliwe, że nie powinniśmy do niej przywiązywać większej wagi.

18 To, że nie nazywamy tej teorii semantyczną jest powodem świadomego unikania przez Ajdukiewicza pojęć: prawdy i odniesienia. Odwołanie do danych zmysłowych sprawia, że można by, po przeróbkach, uznać tę teorię za semantyczną.

Okazuje się, że już w tym momencie jesteśmy w stanie powiedzieć coś o równoznaczności wyrażeń. Dwa wyrażenia są równoznaczne wtedy i tylko wtedy, gdy ich wzajemne zastąpienie w dyrektywach znaczeniowych nie zmieni sumy zakresu tych dyrektyw. To, że mówi się tu o sumie zakresów dyrektyw, a nie o poszczególnych zakresach, jest dość istotne – te ostatnie zmienią się, w wyniku wzajemnego zastąpienia terminów. Sens sformułowanej definicji relacji równoznaczności łatwo uchwycić, gdy tylko wyobrazimy sobie zbiór dyrektyw jako listę, której kolejność nas nie interesuje. Równoznaczność dwóch terminów oznacza po prostu tyle, że zamieniając odpowiednie terminy miejscami, zmienimy jedynie kolejność dyrektyw na liście. Jeżeli na liście znajduje się jakieś zdanie Z_1 zawierające termin A oraz zdanie Z_2 zawierające termin B, to równoznaczność terminów A i B oznacza po prostu to, że ich wzajemne zastąpienie w tych zdaniach przekształci zdanie Z_1 w Z_2 i odwrotnie, zmianie ulegnie więc tylko miejsce wystąpienia danego zdania na liście. Odpowiada to bardziej intuicyjnemu stwierdzeniu, że dwa wyrażenia mają to samo znaczenie, gdy dyrektywy „mówią o nich" to samo. Tak rozumiana relacja równoznaczności jest zwrotna, przechodnia i symetryczna. Pozwala nam to powiedzieć, że znaczeniem danego wyrażenia jest po prostu klasa wszystkich równoważnych z nim wyrażeń. Ale to jeszcze nie koniec drogi. Ajdukiewicz nie zadowala się tym, co zostało dotychczas powiedziane i przechodzi do dalszych ustaleń.

Ostateczny kształt definicji znaczenia wymaga wprowadzenia pewnych pojęć dodatkowych. Wiemy już, czym są dyrektywy znaczeniowe i ich zakresy. W tym momencie wprowadzić możemy pojęcie bezpośredniego związku znaczeniowego. Dwa wyrażenia pozostają ze sobą w bezpośrednim związku znaczeniowym, gdy występują w obrębie tego samego elementu zakresu dyrektywy. Ponieważ pojęcie związku znaczenio-

wego jest w koncepcji Ajdukiewicza niezwykle istotne, warto poświęcić mu chwilę uwagi. Przede wszystkim doprecyzowania wymaga określenie „element zakresu". W przypadku dyrektyw aksjomatycznych jest to jasne – elementem tym jest dany aksjomat. Jak jednak powinniśmy traktować dyrektywy dedukcyjne? Czy elementem zakresu są tylko poszczególne zdania, czy też uporządkowana dwójka złożona ze zdania, które musi być uznane i ze zdań (lub pojedynczego zdania), które są motywami jego uznania? Wydaje się, że przyjąć należy tę drugą opcję.

Nie ulega wątpliwości, że takie pojęcie związku znaczeniowego w znaczny sposób odbiega od intuicyjnego rozumienia tego terminu. Okazuje się bowiem, że dowolne dwa terminy występujące w danym zdaniu, które znajduje się w zakresie jakiejś dyrektywy są bezpośrednio powiązane znaczeniowo. Jeżeli wśród dyrektyw aksjomatycznych znajduje się np. zdanie: „Nie ma góry wyższej od najwyższej", to słowo „góra" okazuje się powiązane znaczeniowo nie tylko ze słowami „wyższa" czy „najwyższa", lecz także z „nie". Nie przesądzając niczego odnotujmy tylko, że pojęcie, na którym zbudowana jest definicja znaczenia Ajdukiewicza, wydaje się zdecydowanie za szerokie, co jest wynikiem próby zdefiniowania terminu semantycznego w ramach składni. Bezpośredni związek znaczeniowy pozwala na zdefiniowanie związku pośredniego – wyrażenia *A* i *C* pozostają ze sobą w pośrednim związku znaczeniowym, gdy nie pozostają ze sobą w związku bezpośrednim, ale istnieje ciąg wyrażeń $B_1 ... B_n$ z których każde pozostaje z sąsiadującym w bezpośrednim związku znaczeniowym oraz A pozostaje w bezpośrednim związku znaczeniowym z B1, a C pozostaje w bezpośrednim związku znaczeniowym z Bn.

Korzystając z pojęcia związku znaczeniowego, Ajdukiewicz może przedstawić pewną klasyfikację języków. Język nazywamy spójnym, gdy nie ma w nim wyrażeń, które nie są bezpo-

średnio powiązane z żadnym z pozostałych wyrażeń danego języka. Przy użyciu niezdefiniowanego jeszcze w sposób ścisły pojęcia przekładu (rozumianego jako równoznaczność dwóch wyrażeń, pochodzących z dwóch różnych języków) wprowadzić możemy kolejny podział języków – na języki zamknięte i otwarte. Załóżmy, że bierzemy pod uwagę dwa spójne języki: S_1 i S_2. Zakładamy, że wszystkie wyrażenia S_1 posiadają przekład w S_2, ale oprócz nich, występuje w S_2 pewne wyrażenie B_2, które nie posiada przekładu w S_1, ale jest bezpośrednio związane znaczeniowo z pewnym wyrażeniem A_2, które posiada przekład w S_1 – jest nim wyrażenie A_1. W takiej sytuacji, możemy do S_1 wprowadzić przekład wyrażenia B_2 – nazwijmy go B_1. Jest jasne, że wprowadzenie tego wyrażenia do S_1 nie zmienia znaczeń terminów, które w S_1 występowały przed tą operacją rozszerzenia języka (którą Ajdukiewicz nazywa „domknięciem"). Jest tak dlatego, że B_2 w S_2 już występowało a pozostałe wyrażenia tego języka mogły nadal być przekładami wyrażeń z S_1. Język nazywamy zamkniętym, gdy nie można już do niego wprowadzić żadnego wyrażenia nie zmieniając znaczeń wyrażeń już w nim obecnych. Operację domknięcia języka otwartego, taką, że przekształca się on w język zamknięty, nazywamy domknięciem całkowitym.

Warto w tym miejscu zastanowić się nad tym, czy dany język otwarty można dopełnić na różne sposoby, tj. przekształcić w dwa różne, nieprzekładalne na siebie, języki zamknięte, czy też przeciwnie – każdy język zawiera już w sobie w „uśpionej" postaci wszystkie możliwe znaczenia, które da się w nim wyrazić. Druga z tych hipotez wydaje się na pierwszy rzut oka dość ekstrawagancka, ale sądzę, że można ją objaśnić w znany sposób. Wystarczy wyobrazić sobie, że wszystkie znaczenia w języku podzielić można na proste i złożone (zupełnie tak, jak chciał tego Locke). Jeżeli przyjmiemy teraz, że nasz język otwarty zawiera już wszystkie znaczenia proste, to rozszerzenie go

do języka zamkniętego polegać może jedynie na utworzeniu wszystkich niesprzecznych z już istniejącymi dyrektywami tego języka nowych kombinacji wyrażeń prostych.

Nie ulega jednakże wątpliwości, że nawet jeśli taka interpretacja jest możliwa, nie była ona rozwiązaniem preferowanym przez Ajdukiewicza. Jak zauważa Jerzy Giedymin w przedmowie do angielskich przekładów prac Ajdukiewicza, teoria znaczenia była dla tego autora przede wszystkim narzędziem potrzebnym do wyrażenia epistemicznej tezy radykalnego konwencjonalizmu. Aby tezę tę wyrazić, Ajdukiewicz musi przyjąć, że możliwe jest istnienie wielu niewspółmiernych, nieprzekładalnych języków. Najprostszym sposobem wyjaśnienia tego zjawiska jest założenie, że języki otwarte (którym odpowiadać mają rozwijające się dopiero teorie) mogą zostać rozwinięte na wiele różnych sposobów[19].

Aby posunąć się dalej i podać wreszcie ostateczną, ścisłą definicję znaczenia wyrażeń proponowaną przez Ajdukiewicza, musimy jeszcze zapoznać się ze sposobem budowania matrycy danego języka. Jest ona skonstruowana w specjalny sposób: składa się z trzech części (odpowiednio dla dyrektyw aksjomatycznych, dedukcyjnych i empirycznych) oraz jest sformułowana w metajęzyku, zawierającym nazwy wszystkich wyrażeń języka, dla którego matrycę budujemy, a ponadto, co jest niezwykle istotne, nazwy danych empirycznych. Każde zdanie należące do zakresu dyrektywy jest w matrycy umieszczone w sposób następujący: w pierwszym rzędzie występuje ono samo, w drugim rzędzie jego główny spójnik (lub predykat, jeśli jest to zdanie atomowe), następnie pierwszy argument tego spójnika (lub argument predykatu) i wreszcie główny spójnik tego argumentu. Przykładowa dyrektywa aksjomatyczna:

19 Teza radykalnego konwencjonalizmu nie jest w tej pracy omawiana. Zainteresowanego czytelnika odsyłam do prac: [Jedynak 2003], [Grobler 1999, 2013].

$(p \vee q) \wedge \neg q \rightarrow p$ zapisana będzie w następujący sposób (znak | oznacza kolejną kolumnę):

$$(p\vee q) \wedge\neg q\rightarrow p \mid \rightarrow \mid (p\vee q) \wedge\neg q \mid \wedge \mid (p\vee q) \mid \vee \mid p \mid q \mid \neg q \mid \neg \mid q \mid p|$$

Jak widać, tak nieskomplikowana formuła jak zasada eliminacji alternatywy prowadzi do dość uciążliwego zapisu. Przykład matrycy, który proponuje w swojej pracy Ajdukiewicz, wydaje się jednak jeszcze bardziej nieczytelny ze względu na brak rozróżnienia kategorii syntaktycznych wyrażeń. Poniżej przedstawiam więc przykład zmodyfikowany w stosunku do tego, co znaleźć można w artykule *Język i znaczenie*, choć bezpośrednio na nim oparty. Dla wygody będę również mówił o tabelach, a nie matrycach. Zbuduję teraz tabelę 1. dla pewnego przykładowego języka, który zawiera: dwa predykaty jednoargumentowe – P i Q; trzy stałe nazwowe – a, b, c; spójnik koniunkcji – $\wedge$; stałą zdaniową – Z (predykat zeroargumentowy); nawiasy.

Wszystkie wyrażenia zamieszczone w tabeli 6.1. traktujemy jak nazwy odpowiednich równokształtnych wyrażeń naszego miniaturowego języka. Oprócz tych wyrażeń znajdują się tam jeszcze trzy nazwy danych wrażeniowych – α, β, γ.

Załóżmy, że język ten zawiera następujące dyrektywy:

1. Dyrektywy aksjomatyczne
   - P(a)
   - $P(a) \wedge Q(b)$
2. Dyrektywy dedukcyjne
   - $P(a) \models Q(b)$
   - $P(a) \wedge Q(b) \models Q(c)$
   - $Q(b) \models Z$
3. Dyrektywy empiryczne
   - α; Z
   - β; Q(b)
   - γ; Z

Tabela rozpisana w sposób, który wyjaśniłem powyżej, przyjmuje określony kształt (tabela 6.1).

Tabela 6.1. Przykładowa tabela dla dyrektyw języka

	I								II		
	1	2	3	4	5	6	7	8	1	2	3
1.1	P(a)	P	a								
1.2	P(a) ∧ Q(b)	∧	P(a)	P	a	Q(b)	Q	b			
2.1	P(a)	P	a						Q(b)	Q	b
2.2	P(a) ∧ Q(b)	∧	P(a)	P	a	Q(b)	Q	b	Q(c)	Q	c
2.3	Q(b)	Q	b						Z		
3.1	α								Z		
3.2	β								Q(b)	Q	b
3.3	γ								Z		

Wiersze opisane są parą liczb *x*. *y*, gdzie *x* oznacza rodzaj dyrektywy (1 – aksjomatyczna, 2 – dedukcyjna, 3 – empiryczna), a *y* numer wiersza w obrębie danego rodzaju dyrektyw. Kolumny opisane są cyframi rzymskimi I, II – oznaczającymi (dla dyrektyw dedukcyjnych i empirycznych) odpowiednio: dziedzinę i przeciwdziedzinę. Kolejne cyfry arabskie oznaczają numer kolumny w obrębie dziedziny/przeciwdziedziny.

W języku tym nie występują dyrektywy empiryczne złożone, jest to język spójny i otwarty, nie ma również żadnych wyrażeń synonimicznych. Te ostatnie z łatwością moglibyśmy tutaj wprowadzić. Zobrazujmy to na przykładzie. Załóżmy, że chcemy wprowadzić do naszego języka stałą nazwową „d", która będzie synonimem stałej „b". Uzyskujemy to za pomocą trywialnej operacji – wystarczy odnaleźć w naszej tabeli wszystkie miejsca, w których występuje wyrażenie „b" i powielić cały wiersz (dodając numerację), wstawiając „d" za „b" (tabela 6.2).

Tabela 6.2. Rozszerzona tabela uzupełniona o synonim wyrażenia „b"

	I								II		
	1	2	3	4	5	6	7	8	1	2	3
1.1	P(a)	P	a								
1.2	P(a) ∧ Q(b)	∧	P(a)	P	a	Q(b)	Q	b			
1.3	P(a) ∧ Q(d)	∧	P(a)	P	a	Q(d)	Q	d			
2.1	P(a)	P	a						Q(b)	Q	b
2.2	P(a) ∧ Q(b)	∧	P(a)	P	a	Q(b)	Q	b	Q(c)	Q	c
2.3	Q(b)	Q	b						Z		
2.4	P(a)	P	a						Q(d)	Q	d
2.5	P(a) ∧ Q(d)	∧	P(a)	P	a	Q(d)	Q	d	Q(c)	Q	c
2.3	Q(d)	Q	d						Z		
3.1	α								Z		
3.2	β								Q(b)	Q	b
3.3	γ								Z		
3.2	β								Q(d)	Q	d

Jak łatwo sprawdzić, jeśli zamienimy wyrażenia „b" i „d" miejscami, uzyskamy jedynie zamianę miejscami niektórych wierszy. Dlatego też kolejność wierszy w tabeli uznajemy za nieistotną – w praktyce nie musimy się nawet martwić o zachowanie podziału na część aksjomatyczną, dedukcyjną i empiryczną. Odpowiednia numeracja wierszy została tu wprowadzona tylko dla wygody w oznaczaniu; w rzeczywistości nie grozi nam jednak sytuacja, w której nie będziemy w stanie ustalić, jakiego typu dyrektywą jest dany wiersz. Wszystkie trzy typy dyrektyw wystarczająco się bowiem różnią – aksjomatyczne są pojedynczym zdaniem, a empiryczne zawierają termin oznaczający wrażenie, którego nie pomylimy z żadnym innym, ponieważ nie należy do języka, którego tabelę przedstawiamy.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to niepotrzebna komplikacja. Jaki jest związek między tymi tabelami a ostatecznym

kształtem definicji znaczenia? Związek ten zapewnić możemy dzięki pojęciu przekładu. Przekład jest funkcją, która wyrażeniom jednego języka przyporządkowuje wyrażenia drugiego, w taki sposób, że tworzą one tabelę o takiej samej strukturze (oczywiście dopuszczamy tu operację dowolnego przestawiania wierszy, tak, aby otrzymać upragniony efekt). Weźmy tabelę 6.1 i dokonajmy pewnego wyróżnienia kolorami, tworząc tabelę 6.3.

Tabela 6.3. Przykładowa tabela języka pozbawiona konkretnych etykiet językowych

	I								II		
	1	2	3	4	5	6	7	8	1	2	3
1.1											
1.2											
2.1											
2.2											
2.3											
3.1	α										
3.2	β										
3.3	γ										

Możemy teraz wypełnić ją dowolnymi wyrażeniami, stosując się do następujących zasad:

– pola 3.1, 3.2, 3.3 w kolumnie I, 1 zawierają nazwy wrażeń zmysłowych – są tu one jedynym stałym elementem, którego nie wolno nam zmieniać;

– pól szarych nie wypełniamy;

– pozostałe pola wypełniamy dowolnymi symbolami, ale jeżeli wstawimy gdzieś jakiś symbol, to musimy go również wstawić w każde pole o tym samym kolorze, co pole, w które go wstawiliśmy i w żadne inne.

Wszystkie utworzone zgodnie z tymi zasadami tabele będą tabelami języków przekładalnych na nasz język wyjściowy. Szczególnym przypadkiem takiego podstawienia będzie takie, w którym użyjemy tych samych symboli, co w oryginale – wstawimy np. „b" za „c" albo „P" za „Q". Jest to przypadek szczególny, ponieważ będą to wtedy dwa przekładalne na siebie języki o tym samym słowniku, różniące się jedynie przyporządkowaniem znaczeń poszczególnym słowom. Słowa, które pozostają w tych językach w relacji przekładalności, są równoznaczne.

W jaki sposób moglibyśmy teraz zdefiniować pojęcie znaczenia wyrażeń? Ajdukiewicz formułuje następującą definicję:

> Znaczenie A w języku S jest to ta własność A w języku S, która przysługuje jakiemuś A' w języku S' wtedy i tylko wtedy gdy A' w S' jest równoznaczne z A z S. [Ajdukiewicz 1934: 170]

Chwilę później dodaje:

> Można by też skłaniać się do powiedzenia, że znaczenie równa się parze: „klasa równościowa, struktura". [Ajdukiewicz 1934: 172]

Przez klasę równościową rozumie tu Ajdukiewicz ogół miejsc, które zajmuje dane słowo w strukturze. Co łączy obie te definicje? Rozważmy klasę wszystkich języków, które są na jakiś język przekładalne. Co takiego jest w tych językach wspólne? Oczywiście struktura, którą zaznaczyłem kolorami w tabeli 6.3. A co wspólnego mają ze sobą wszystkie równoznaczne (a więc będące swoimi przekładami) wyrażenia? To, że zajmują te same miejsca w strukturach swoich języków.

Znaczeniem wyrażenia jest więc para złożona ze zbioru miejsc, w których ono występuje i struktury, w której znajdują

się te miejsca. Ten drugi element jest niezwykle istotny, ponieważ sam zbiór miejsc, które dane wyrażenie zajmuje niczego jeszcze nie przesądza – nie podając miejsc, które zajmują inne wyrażenia, pomijamy bowiem związki znaczeniowe. Przyjrzyjmy się raz jeszcze wyrażeniu „Z" w tabeli 6.1. Bez trudu można utworzyć wiele innych tabel, w których jakieś wyrażenie zajmuje dokładnie te i tylko te miejsca, co „Z" w tabeli 6.1. Ponieważ kolejność wierszy nas tu nie interesuje, przy określeniu „miejsca zajmowanego w tabeli" bierzemy pod uwagę liczbę wystąpień w danej kolumnie. Wprawdzie tak się szczęśliwie składa, że dwa z trzech wierszy, w których „Z" występuje, to dyrektywy empiryczne, które muszą wyglądać w tych innych tabelach tak samo, ale „Z" funkcjonuje również w jednej z dyrektyw dedukcyjnych. W językach o różnej strukturze może ono być konsekwencją zupełnie innych zdań. Intuicyjnie rzecz biorąc przyjęlibyśmy, że to, czy „Z" ma w jakimś języku takie samo znaczenie jak w naszym języku wyjściowym powinno jakoś zależeć od tego, jakiego zdania jest konsekwencją. Temu służy właśnie dodatkowy parametr przy określaniu znaczenia – interesuje nas to samo miejsce w tabeli o tej samej strukturze.

Jakie problemy rodzi taka koncepcja znaczenia? Po pierwsze, musimy pamiętać, że definicja znaczenia podana jest tutaj dla pewnej klasy języków – mają być spójne i zamknięte. Spójność nie stanowi problemu, ponieważ każdy niespójny język podzielić możemy na izolowane fragmenty, dla których podać możemy oddzielnie odpowiednie definicje. Ale to, że język, dla którego konstruujemy definicję znaczenia wyrażeń ma być zamknięty, prowadzi – jak zobaczymy za chwilę – do sporych trudności. Przykładowy język, dla którego Ajdukiewicz buduje matrycę to język otwarty (otwarty jest również język analizowany powyżej). Ajdukiewicz twierdzi, że język otwarty daje się zawsze całkowicie domknąć, czyli uzupełnić wyrażeniami, tak, aby uzyskać w efekcie język zamknięty. Co

więcej, efektem tego domknięcia będą języki o tej samej strukturze. Po latach sam autor określił jednak języki zamknięte jako „papierową fikcję". Najpierw spróbujmy przyjrzeć się jednak niektórym innym trudnościom, które rodzi dyrektywalna teoria znaczenia.

Bardzo krótko po opublikowaniu artykułu *Język i znaczenie* Alfred Tarski zwrócił Ajdukiewiczowi uwagę na pewną wadę zaproponowanej definicji. Jak zauważyłem wcześniej, Ajdukiewicz nie stara się o zapewnienie związku pomiędzy znaczeniem a denotacją, choć w części wstępnej artykułu wspomina o związku tych pojęć, mówiąc, że jednym z powodów, dla których pojęcie znaczenia wydaje się potrzebne jest to, że dwa wyrażenia o tej samej denotacji wydają się mieć różne znaczenie [Ajdukiewicz 1934: 149]. Co więcej, w artykule *O znaczeniu wyrażeń* jawnie posługuje się rozróżnieniem w stylu Fregego, choć nie powołuje się na niego wprost. Pisze o różnych aspektach, w jakich może nam się prezentować jakiś pojedynczy przedmiot. Można powiedzieć, że to zaniedbanie[20] zemściło się na autorze omawianej koncepcji w postaci konsekwencji, którą wytknął mu Tarski. Oto jego argument w relacji Ajdukiewicza:

> Wyobraźmy sobie język, w którym reguły aksjomatyczne nakazują bezwzględne uznawanie aksjomatów rachunku funkcyjnego z identycznością, a nadto dwóch aksjomatów dodatkowych: A≠B i B≠A, gdzie A i B są nowymi stałymi pierwotnymi. Jako reguły dedukcyjne niech obowiązują w tym języku reguły dowodzenia rachunku funkcyjnego z identycznością.

20 Trudno powiedzieć, czy Ajdukiewicz nie widział potrzeby ustalenia relacji między znaczeniem a odniesieniem, czy też uważał to, po prostu, za zadanie niewykonalne. W artykule *Język i znaczenie* wspomina o odniesieniu jedynie przelotnie, twierdząc, że można zbudować odpowiednią definicję przez abstrakcję na bazie relacji równoważności, którą definiuje za pomocą pojęcia prawdy. W sprawie tych trudności patrz: Nowaczyk [2000].

> Łatwo dostrzec, że reguły sensu tego języka są inwariantne wobec przestawienia stałych A i B. Wobec tego przyjęta definicja równoznaczności kazałaby terminy A i B uważać za równoznaczne. Ale wobec aksjomatów A≠B i B≠A terminy te mają różną denotację. Widać więc, że w rozważanym języku miałoby się dwa terminy o tym samym znaczeniu, a o różnej denotacji, co wydaje się konsekwencją nie do przyjęcia. [Ajdukiewicz 1964: 397]

Szczególnie interesujące wydaje się ostatnie zdanie zacytowanego fragmentu. Okazuje się, że przynajmniej w późniejszym okresie, Ajdukiewiczowi zależało na tym, aby znaczenie determinowało odniesienie. Przykład Tarskiego pokazuje, że w przypadku omówionej powyżej definicji tak nie jest. Wydaje się jednak, że tworząc swoją teorię znaczenia, Ajdukiewicz w ogóle kwestii odniesienia nie rozpatrywał. Gdyby to zrobił, czy nie wprowadziłby czwartego rodzaju reguł – reguł odniesienia? Mogłyby one wyglądać bardzo podobnie do reguł empirycznych, które są pewnego rodzaju namiastką odniesienia w tej koncepcji. Gdyby istniały reguły odniesienia, to pożądany związek znaczenia z odniesieniem mielibyśmy zapewniony w sposób trywialny. Jeżeli dwa wyrażenia odnoszą się do różnych przedmiotów, to muszą występować w różnych dyrektywach. Dwa wyrażenia, które występują w różnych dyrektywach nie mają jednak, zgodnie z koncepcją Ajdukiewicza, tego samego znaczenia.

Warto nadmienić, że z dzisiejszego punktu widzenia zarzut Tarskiego nie wydaje się szczególnie kłopotliwy, ponieważ istnieją co najmniej dwa proste sposoby szybkiego uporania się z nim. Jednym jest rezygnacja z kryterium wzajemnej wymienialności synonimicznych wyrażeń w dyrektywach na rzecz zwykłej ich zastępowalności [Nowaczyk 2006; Buszkowski 2010]. Innym obiecującym sposobem obejścia problemu Tar-

skiego jest uznanie teorii Ajdukiewicza za teorię wąskiej treści [Grabarczyk 2013c)[21].

Jakie inne trudności i niejasności rodzi dyrektywalna koncepcja znaczenia? Pewien kłopot związany z dyrektywami aksjomatycznymi i dedukcyjnymi łatwo przedstawić na przykładzie. Załóżmy, że bierzemy pod uwagę dwa języki – dla uproszczenia niech posiadają ten sam słownik, składający się ze stałych „a", „b" i relacji „R", która jest symetryczna. Załóżmy, że języki te mają jednak różne dyrektywy: język S_1 – 1.1. aRb, 1.2. bRa, natomiast język S_2 – 1.1. aRb, 2.1. aRb = bRa.

Wydaje się, że różnica między tymi językami jest zupełnie nieistotna – to, co w S_1 jest aksjomatem, w S_2 jest po prostu tezą języka. W myśl dyrektywalnej definicji znaczenia, są one jednak nieprzekładalne, co wydaje się konsekwencją wysoce nieintuicyjną. Wyjściem z tej sytuacji mogłoby być przyjęcie, że jeśli w jakiejś dyrektywie aksjomatycznej wystąpi zdanie typu aRb z dodatkową informacją, że „R" jest symetryczna, to wśród aksjomatów musi się również pojawić bRa – przyjęlibyśmy, że w ten właśnie sposób zastrzeżenie to odzwierciedla się w zakresie dyrektyw.

To jednak nie koniec kłopotów. Warto zwrócić uwagę na pewną zaskakującą konsekwencję dyrektywalnej definicji znaczenia. Rozważmy prosty przypadek języka, który zawiera tylko dwie dyrektywy aksjomatyczne:

1.1. aRc

1.2. bRc

gdzie „a" i „b" to dowolne stałe, a „R" to jakaś relacja, o której nie musimy nic specjalnego zakładać. Widać od razu, że choć „a" jest w tym języku synonimem „b", to nie są one bezpośrednio związane znaczeniowo. To, że synonimiczność nie pociąga

21 Omówienie związku między pojęciami znaczenia i treści wąskiej znajdzie czytelnik w: Grabarczyk [2016].

za sobą pozostawania w bezpośrednim związku znaczeniowym wydaje się dość nienaturalne. Pojęcia te nie są jednak od siebie zupełnie niezależne. Prawdziwa jest bowiem następująca zależność: Jeżeli „a" jest synonimiczne z „b", to dla każdego *x* (różnego od „a" i „b"), jeśli „a" pozostaje w bezpośrednim związku znaczeniowym z *x*, to również „b" pozostaje w bezpośrednim związku znaczeniowym z *x*. Zależność w drugą stronę, jednak nie zachodzi.

W dalszych rozważaniach przyda nam się również jeszcze jedna konsekwencja definicji dyrektywalnej teorii znaczenia: „a" i „b" są synonimami wtedy i tylko wtedy, gdy dla każdej dyrektywy φ(a) istnieje dyrektywa φ(b). Okazuje się, że najbardziej kłopotliwym aspektem dyrektywalnej teorii znaczenia jest założenie, że języki otwarte, będące – jak to Ajdukiewicz ujmuje – „fragmentami języków", dają się całkowicie domknąć do jednoznacznie wyznaczonej struktury jakiegoś języka zamkniętego. Załóżmy bowiem, że jakiś język S_1 jest otwarty na język S_1'[22]. Oznacza to, że S_1' zawiera przekłady wszystkich wyrażeń S_1 oraz dodatkowo, pewne wyrażenie *b'*, które nie posiada przekładu w S_1, ale jest w S_1' powiązane znaczeniowo z pewnym terminem *a'*, którego przekład w S_1 występuje. Uzupełnienie języka S_1 polega na tym, że wprowadzamy do niego termin *b*, będący przekładem terminu *b'*. Wszystko to wiemy z definicji języka otwartego. Tak rozszerzony język S_1 nazwijmy językiem S_2.

22 Tu i w dalszych rozważaniach posługuję się następującą konwencją: służący pokazaniu otwartości danego języka S język bogatszy nazywam, posługując się znakiem '. Podobnie postępuję z nazwami wyrażeń. Symbol x oznacza zawsze przekład symbolu x' z języka bogatszego. Kolejne języki, powstałe dzięki domknięciu jakiegoś języka na inny nazywam, posługując się indeksami. A więc, S_1' jest językiem bogatszym od S_1, uzupełnienie S_1 o brakujące wyrażenie daje nam język S_2. Jeśli chcielibyśmy teraz rozpatrywać jakiś język bogatszy od S_2, to nazwalibyśmy go S_2'.

Teraz rozważmy język S_2' – budujemy go w taki sposób, że zawiera on w sobie wszystkie wyrażenia S_2, w takich samych związkach znaczeniowych jak w S_2 (kopiujemy po prostu wszystkie dyrektywy). Język ten zawiera jednakże jeszcze dodatkowy termin – *R'*, który jest dwuargumentową relacją antysymetryczną. Chcemy pokazać, że S_2 jest otwarty na S_2'. Aby to uwidocznić, należy wykazać trzy rzeczy: (1) że *R'* pozostaje w związku znaczeniowym z przekładem któregoś z wyrażeń z $S_{2;}$ (2) że *R'* nie ma w S_2 przekładu i (3) że uzupełnienie S_2 o przekład *R'* nie zmieni znaczeń wyrażeń z S_2.

1). W przypadku tego punktu, trudno mówić o wykazywaniu czegokolwiek. To my konstruujemy język S_2', więc możemy wprowadzić termin *R'* za pomocą dyrektywy zawierającej ten termin oraz jeden z przekładów terminów z S_2. Warto jednak zauważyć, że nie moglibyśmy postąpić inaczej, nawet gdybyśmy chcieli, ponieważ *R'* jest dwuargumentową relacją, a wszystkie pozostałe wyrażenia (a więc wszystkie możliwe argumenty tej relacji) z założenia mają w S_2 przekład. Przyjmijmy, że *R'* występuje w języku S_2' w następującej dyrektywie aksjomatycznej: *b'R'a'*[23].

2). Może się wydawać, że wykazanie, iż *R'* nie posiada w S_2 przekładu jest banalne – w końcu sami dobraliśmy taki język, w którym pojawia się nowe wyrażenie, nie występujące w języku S_2. Nie jest to jednak kwestia aż tak trywialna. Może się przecież zdarzyć, że w języku S_2' istnieje już jakiś synonim *R'* – nazwijmy go *P'*. Synonim ten miałby, zgodnie z naszym założeniem, przekład w S_2 (bo wszystkie wyrażenia poza *R'* przekład mają) – nazwijmy ten przekład *P*. Znajdujące się w S_2 wyrażenie *P* byłoby wtedy również przekładem *R'*. Musimy więc

23 W tym miejscu przesądzam o tym, że wyrażenia b' i a' mogą być argumentami relacji. Obostrzenie to stanie się jednak, w toku dalszych rozważań, zupełnie nieistotne.

wykazać, że *R'* nie ma w języku S_2' żadnego synonimu. Jak to zrobić, skoro nic właściwie o pozostałych wyrażeniach języka S_2' nie wiemy? Pewne jest, że aby język S_2' zawierał jakieś będące synonimem *R'* wyrażenie *P'*, musi zawierać dyrektywę *b'P'a'*. Przypomnijmy jednak, że S_2' powstał dzięki rozszerzeniu S_1' o wyrażenie *R'*, język S_1' był zaś całkowicie przekładalny na S_2. W takim razie, w S_2 musi istnieć dyrektywa *bPa*. Ale język S_2 to język S_1 uzupełniony o wyrażenie *b*. Oznacza to, że jeśli w S_2' miałoby znajdować się nasze poszukiwane wyrażenie *P'*, to jego przekład *P* musiałby znajdować się już w S_1. Ale w S_1 nie mogło znajdować się żadne wyrażenie, figurujące w dyrektywie *bPa*, ponieważ język ten nie zawierał terminu *b*. W ten sposób wykazaliśmy, że *R'* nie posiada w S_2' żadnego synonimu.

3). Ostatni z kroków jest stosunkowo prosty. Aby znaczenia terminów istniejących w języku S_2 nie uległy zmianie przez wprowadzenie nowego terminu *R*, nie mogą one utracić swej synonimiczności z żadnym z wyrażeń, z którymi są w S_2 synonimiczne. Termin *R* wprowadzamy za pomocą dyrektywy *bRa*. Jedynymi terminami, o które musimy się martwić, są zatem *a* i *b*. O *a* wiemy niewiele, być może jest w S_2 z czymś synonimiczne, być może nie. Jeżeli nie jest z niczym synonimiczne, to nie może synonimiczności utracić. Jeśli zaś było synonimiczne z jakimś, powiedzmy *x*, to aby nie zmienić znaczenia *a*, wystarczy obok dyrektywy *bRa* wprowadzić dyrektywę *bRx*. Z terminem *b* w ogóle nie będziemy mieli w tej sprawie kłopotu – nie jest on synonimiczny z żadnym wyrażeniem języka S_2, a gdyby był synonimiczny z jakimś wyrażeniem, powiedzmy *y*, to język S_1 nie byłby otwarty na S_1' – przekształcenie go w język S_2 nie wymagałoby wprowadzania nowego terminu *b*, a tylko jakiegoś synonimu wyrażenia *y*. Wiemy więc, że wprowadzenie przekładu *R'* nie zmieni znaczeń w języku S_2.

W ten sposób udało nam się pokazać, że do języka, który był otwarty zawsze można wprowadzić jeszcze pewną antysyme-

tryczną relację *R*, która nie jest synonimem żadnego wyrażenia z tego języka. Efektem tego rozszerzenia jest to, że możemy tak skonstruowany język S_3 (tak nazwiemy S_2 uzupełniony o przekład *R'*) rozszerzać w nieskończoność – nie da się go domknąć całkowicie. W jaki sposób otworzyliśmy tę furtkę? Umożliwia nam to wprowadzona właśnie relacja *R*.

Zbudujemy teraz język S_3', który analogicznie do tego, co robiliśmy poprzednio, jest utworzony z przekładów wszystkich wyrażeń S_3, ale zawiera dodatkowo jedno nowe wyrażenie – nazwijmy je *c'*. Wprowadzamy je do języka S_3' za pomocą następującej dyrektywy: *c'R'b'*. Czy język S_3 jest na S_3' otwarty? Oczywiście tak, *c'* jest wyrażeniem, które pozostaje w związku znaczeniowym z przekładem dwóch wyrażeń z S_3, nie jest ono synonimem żadnego wyrażenia z S_3', ponieważ dowolne takie wyrażenie *x* musiałoby występować w tym języku w dyrektywie *xR'b'*, a żadne wyrażenie w takiej dyrektywie nie występuje. To my jesteśmy autorami wszystkich dyrektyw zawierających termin *R'*, a nic nie zmuszało nas do tego, żeby dyrektywę o takiej postaci napisać. Wprowadzenie przekładu *c'* do S_3 nie zmieni znaczeń tego języka, ponieważ ani wyrażenie *R*, ani wyrażenie *b* nie są synonimami żadnego wyrażenia w tym języku, więc nie mogą utracić syninimiczności. Od tego momentu możemy konstruować coraz to nowe języki, w których wprowadzać będziemy jakiś nowy termin *y* za pomocą dyrektywy *yR'x*, gdzie *R* to znana nam już relacja, a *x* to wyrażenie, które jako ostatnie zostało tą metodą do języka wprowadzone. Oznacza to, że jeśli tylko jakiś język był na inny język otwarty, to już nigdy nie da się go domknąć całkowicie.

Nie eliminuje to jednakże możliwości istnienia samych języków zamkniętych. Wprawdzie okazało się, że nie da się języka zamkniętego utworzyć przez stopniowe uzupełnianie go wyrażeniami, ale być może da się go po prostu zaprojektować w taki sposób, że od razu będzie zamknięty. Okazuje się,

że również i to jest niemożliwe. Rozumowanie to przedstawię w trzech punktach.

1). Rozważmy dowolny język S, o którym zakładamy, że występuje w nim dowolna relacja zwrotna, nazwijmy ją *T*, oraz termin *c*, który jest bezpośrednio związany znaczeniowo tylko z tą relacją w obrębie dyrektywy *cTc* (oraz ewentualnie w dyrektywach o postaci *cXc*, gdzie *X* jest synonimem *T*). Każdy język, który spełnia te dwa warunki jest językiem otwartym, możemy bowiem wprowadzić do niego znaną nam już relację *R*. Zrobimy to za pomocą dyrektywy *cRx*, gdzie w miejsce *x* wstawimy dowolny termin wyjściowego języka inny niż *c*. Jeżeli *x* miał w języku jakieś synonimy, to dublujemy po prostu tę dyrektywę, wstawiając synonim terminu *x* w jego miejsce. Wyrażenie *R* nie jest synonimem żadnego z wyrażeń naszego języka wyjściowego, ponieważ każde wyrażenie *P*, które miałoby być synonimem R_1 musiałoby występować w języku w dyrektywie *cPx*. Jednak takiej dyrektywy nie ma, ponieważ z założenia jest tak, że *c* pojawia się tylko w dyrektywie *cTc*, a założyliśmy już, że $x \neq c$. Tak rozszerzony język można już rozszerzać w nieskończoność, zgodnie ze wzorem wykorzystanym w poprzednich rozważaniach.

Wiemy już, że język, w którym znajduje się dowolna relacja zwrotna, a także termin, który występuje tylko w jednej dyrektywie w bezpośrednim związku znaczeniowym z tą relacją, jest językiem otwartym. Jest to nam potrzebne do pokazania, że nie da się w ogóle zaprojektować języka zamkniętego. Okazuje się bowiem, że do każdego języka można wprowadzić relację zwrotną i termin, który występuje z nią w bezpośrednim związku znaczeniowym w jednej dyrektywie.

2). Załóżmy, że bierzemy pod uwagę język S, w którym istnieje jakaś relacja zwrotna *T*, ale nie ma terminu, który występowałby w jednej tylko dyrektywie w bezpośrednim związku z tą relacją. Język taki jest otwarty, ponieważ zawsze możemy

wprowadzić do niego nowy termin, powiedzmy *d*. Wprowadzimy go, tworząc język S', który zawiera przekład wszystkich wyrażeń z S, ale ponadto termin *d'* dany za pomocą dyrektywy *d'T'd'*. Wtedy *d'* jest terminem, który nie ma w S przekładu, jest powiązany znaczeniowo z przekładem jednego z wyrażeń z S oraz nie zmienia znaczeń w S. Mógłby zagrozić jedynie synonimiczności *T* z jakąś relacją *X*, ale o to zawsze możemy zadbać, dublując dyrektywy. Znajdujemy się teraz w punkcie wyjścia rozważań z punktu 1.

3). Załóżmy teraz, że w języku S nie ma również potrzebnej nam relacji zwrotnej *T*. Okazuje się, że język taki również jest otwarty – możemy wprowadzić do niego właśnie tę relację. Robimy to, budując język S', który zawiera wszystkie przekłady wyrażeń z S oraz zwrotną relację *T'*, którą wprowadzamy za pomocą dyrektywy *x'T'x'* – gdzie *x'* to przekład dowolnego wyrażenia języka S (jeśli *x'* posiada synonimy, dublujemy dyrektywy). Dzięki temu możemy wprowadzić przekład relacji *T'* – nazwijmy go *T* – do języka S. Znajdujemy się teraz w punkcie rozważań z punktu 2.

Okazuje się więc, że każdy język spełniający dwa wymienione warunki jest otwarty i jako otwarty nie daje się całkowicie domknąć. Okazuje się również, że każdy język można tak uzupełnić, aby owe dwa warunki spełniał. Ostatecznym wnioskiem z tych rozważań jest więc to, że języki zamknięte nie istnieją.

Najistotniejsze jest jednak dla nas pytanie: w jakim stopniu fakt ten podważa dyrektywalną teorię znaczenia? Czy to, co zostało ustalone dla języków zamkniętych, można w jakiś sposób wykorzystać w przypadku języków otwartych? Aby wyjaśnić tę kwestię, musimy zrozumieć najpierw, w jakim właściwie celu Ajdukiewicz zdecydował się formułować swą definicję znaczenia jedynie dla języków zamkniętych. Jakie są właściwie konsekwencje tego, że języka nie da się domknąć

całkowicie? Na pierwszy rzut oka wydaje się, że nadal możemy porównywać ze sobą języki otwarte i mówić, że języki o tej samej strukturze są przekładalne. Co więcej, możemy wziąć pod uwagę również dwa języki o różnych strukturach i odkryć, że jeden z nich jest przekładalny na drugi, jeśli tylko uzupełni się go o pewne brakujące wyrażenia. Odpowiednia operacja wyglądałaby następująco: załóżmy, że bierzemy pod uwagę dwa języki S_1 i $S_{1'}$. Mają one różną strukturę (różne tabele), ale może się okazać, że wiersze tabel obu tych języków daje się tak uporządkować, że cała tabela języka S_1 mieści się w tabeli języka S_2 (por. tabela 6.4).

Tabela 6.4. Przykład rozszerzenia języka z zachowaniem porządku tabeli

	I								II		
	1	2	3	4	5	6	7	8	1	2	3
1.1	P(a)	P	a								
1.2	P(a) ∧ Q(b)	∧	P(a)	P	a	Q(b)	Q	b			
1.3	P(d)	P	d								
2.1	P(a)	P	a						Q(b)	Q	b
2.2	P(a) ∧ Q(b)	∧	P(a)	P	a	Q(b)	Q	b	Q(c)	Q	c
2.3	Q(b)	Q	b						Z		
3.1	α								Z		
3.2	β								Q(b)	Q	b
3.3	γ								Z		
3.4	Δ								Q(d)	Q	d

Język przedstawiony w tabeli 6.4 różni się od języka z tabeli 6.1 jedynie dwoma żółtymi wierszami, które tam nie występują. Oznacza to, że wprowadzenie ich do języka z tabeli 6.1 nie zmieni występujących w nim znaczeń – wszystkie miejsca, które były przez dane wyrażenie zajmowane, nadal

są przez nie zajmowane. Kuszącym rozwiązaniem byłoby więc rozszerzenie definicji przekładalności oraz przyjęcie, że S jest przekładalny na T również wtedy, gdy S daje się domknąć do S', który jest przekładalny na T. Okazuje się to jednak niemożliwe. Może się bowiem zdarzyć tak, że S można domknąć do dwóch języków – S' i S'' w taki sposób, że S' będzie przekładalny na jakiś język T, a S'' na jakiś język U, ale T nie będzie przekładalny na U. Okaże się więc, że relacja przekładalności nie jest przechodnia. Dopuszczając języki otwarte nie zbudujemy definicji znaczenia na bazie relacji przekładalności. Możemy jednak pozostać przy definicji znaczenia jako pary: struktura, miejsce w strukturze. Ceną takiego rozwiązania (uwzględniającego języki otwarte) jest jednak to, że wprowadzenie dowolnego wyrażenia do języka – w wyniku domknięcia – zmienia znaczenie wszystkich terminów w tym języku. Jest tak, ponieważ jeden z członów pary stanowiącej znaczenie terminów (struktura) zmienia się zawsze w wyniku domknięcia. Jest to mocno niezgodne z pewną intuicją, którą w związku z pojęciem znaczenia wiążemy. Najłatwiej będzie pokazać to na przykładzie. Załóżmy, że rozpatrujemy minimalny język S, w którym występują tylko cztery terminy: stałe *a* i *b*, relacja = oraz jej negacja, oznaczona jako ≠. Język ten zawiera tylko 2 dyrektywy aksjomatyczne. Załóżmy, że dopełniamy go do dwóch różnych języków S' i S'' (tabela 6.5).

Tabela 6.5. Przykład dwóch alternatywnych rozszerzeń języka

S	S'	S''
1. a=b	a=b	a=b
2. b=a	b=a	b=a
3. a≠d	a≠d	a≠d
	c=c	c≠c

Dyrektywalna teoria znaczenia nie daje nam żadnych środków do tego, by rozróżnić przypadek domknięcia języka S do S' i do S''. Zgodnie z tą teorią, w obu przypadkach znaczenie terminów S (a w szczególności interesuje nas tu znaczenie relacji =) zmieniło się. Nasza intuicja jest jednak inna. Uznalibyśmy, że termin = ma w języku S' to samo znaczenie co w S, ale w S'' tak już nie jest. Albo też, że różnica w znaczeniu symbolu = jest w przypadku dopełnienia S' nieistotna, natomiast istotna w przypadku dopełnienia do S''. Skąd bierze się w nas to przekonanie? Mam wrażenie, że wypływa stąd, że symbol = w języku S jest przekładalny na pewien szczególny język N (język, w którym prowadzimy rozważania) i pozostaje przekładalny na ten język, gdy przekształcimy S w S', ale nie jest już tak w przypadku S''. Nasze potoczne pojęcie znaczenia jest bowiem nierozerwalnie związane z pewnym uprzywilejowanym językiem, który Quine nazywa *mother tongue*. Mamy też naturalną skłonność do traktowania symboli równokształtnych jako równoważnych – jest to założenie pragmatyczne – nikt nie stara się budować języków w złośliwy sposób, tak, aby symbole równokształtne z symbolami języka, w którym prowadzimy rozważania, miały całkowicie inne znaczenie. Ale nie oznacza to, że taka sytuacja nie może zajść. Wygląda zatem na to, że przyjmując teorię Ajdukiewicza powinniśmy się pogodzić z konsekwencjami typowymi dla ekstremalnych odmian holizmu znaczeniowego. Do problemu tego powrócimy jeszcze w rozdziale 12[24].

Dyrektywalna teoria znaczenia w spektakularny niemal sposób pokazuje trudności z eksplikacją pojęcia znaczenia: teorię spełniającą postawiony filozofii wymóg naukowości,

24 Czytelników zainteresowanych problemem holizmu Ajdukiewicza odsyłam do pracy J. Maciaszka [2015].

wolną od wtrętów metafizycznych, okupić trzeba odrzuceniem dwóch niezwykle istotnych intuicji – tego, że znaczenie determinuje odniesienie i tego, że język można rozwijać i wzbogacać o nowe terminy zachowując znaczenia terminów obecnych w nim wcześniej. Na szczęście, już niedługo miała nadejść rewolucja, która sprawiła, że filozofowie łaskawszym okiem spoglądać zaczęli na semantykę.

Rozdział 7

Ludwig Wittgenstein z *Traktatu logiczno-filozoficznego*, czyli obrazkowa teoria znaczenia

Wyłożona w *Traktacie logiczno-filozoficznym* [Wittgenstein 1922] tzw. „obrazkowa teoria znaczenia”[25], choć w wielu miejscach niejasna i wypowiedziana głównie przy użyciu metafor, w znaczny sposób oddziałała na późniejsze losy projektu eksplikacji pojęcia znaczenia wyrażeń. Jak powszechnie wiadomo, pierwsze dzieło Wittgensteina zainspirowało członków Koła Wiedeńskiego, choć sposób, w jaki interpretowali oni ten tekst odbiega w znacznym stopniu od tego, co Wittgenstein miał na myśli, czemu zresztą dawał wyraz. W szczególności, członkowie Koła nie przejmowali się zbytnio napięciem pomiędzy dwoma głównymi motywami, dającymi się w *Traktacie* wyróżnić – częścią pozytywną, w której autor wydaje się przekonany co do niewątpliwej słuszności swoich tez i negatywną, w której wydaje się cały czas mrugać okiem do czytelnika, przewrotnie zapewniając, że wszystko to, o czym mówi z takim zapałem jest „nonsensem”. Dlatego też niektórzy interpretatorzy (np. Conant i Diamond) sugerują, że większość tez w *Traktacie* zawartych powinniśmy odczytywać w duchu późniejszego

25 Nazwa ta przyjęła się w polskiej literaturze, choć trzeba przyznać, że brzmi nieco niezręcznie. Sam Wittgenstein nie określał w ten sposób swojej teorii – używał określenia „teoria odwzorowania logicznego” [Wolniewicz 1968: 29].

Wittgensteina – jako terapię, mającą wyleczyć nas z naiwnego optymizmu co do możliwości analizy języka i poznania rzeczywistości. Nie będę się tą szeroko dyskutowaną kwestią dalej zajmował. Wspomnę jedynie, że napięcie, o którym mowa, daje się w jakimś stopniu zminimalizować, jeśli tylko będziemy pamiętali o tym, że Wittgenstein prawdopodobnie uważał, że większość z tego, co mówi w *Traktacie*, to tautologie, a tautologie – choć prawdziwe w sposób niepowątpiewalny – pozbawione są, jego zdaniem, sensu.

Objaśnienie obrazkowej teorii znaczenia Wittgensteina nie jest zadaniem łatwym, nie tylko przez niejasność w kwestii rzeczywistego statusu *Traktatu* i niepewność co do tego, które z tez powinniśmy traktować dosłownie, a które jako swoistą grę autora z czytelnikiem. Głównym problemem interpretacyjnym jest bowiem lakoniczność autora i metafory, które w olbrzymim stopniu utrudniają jednoznaczne odczytanie. Dodatkowym problemem jest to, że autor *Traktatu* nie wspomaga czytelnika żadnymi przykładami. Jest to zresztą słabość, z której Wittgenstein dobrze zdawał sobie sprawę. „Gdy przyjrzycie się *Traktatowi*, to zauważycie coś bardzo dziwnego – brak przykładów" – powiedział w wykładzie z roku 1933 [Proops 2001: 25]. W przedstawionej poniżej interpretacji staram się dokonać racjonalnej rekonstrukcji obrazkowej teorii znaczenia, wspierając się, niekiedy, późniejszymi wypowiedziami jej autora. Ponieważ główną tezę Wittgensteina stanowi to, że język jest obrazem rzeczywistości, to prezentację teorii znaczenia rozpocząć warto od kilku ustaleń natury ontologicznej.

Ontologię *Traktatu* można wyłożyć dość krótko: najprostszymi elementami rzeczywistości są przedmioty, o których wiemy niewiele więcej poza tym, że są całkowicie proste i istnieją w sposób konieczny. Przedmioty wchodzą ze sobą w rozmaite konfiguracje, tworząc w ten sposób stany rzeczy. Aktualny stan rzeczy nazywany jest faktem pozytywnym, po-

tencjalny (w znaczeniu: możliwy, lecz nie aktualny) stan rzeczy – faktem negatywnym. Jak widać, „przedmioty" z pewnością pojmuje się tu inaczej niż znane nam z codziennego doświadczenia. Te ostatnie są w ontologii Wittgensteina kompleksami (w rzeczywistości są to zbiory faktów, którym nadaliśmy nazwy). W dalszej części tego rozdziału, używając nazwy „przedmiot" będę odnosił się do prostych przedmiotów *Traktatu*. Złożone stany rzeczy nazywane są z kolei sytuacjami. Tyle w zarysie, przyjrzyjmy się teraz poszczególnym piętrom tej hierarchicznej struktury.

Przedmioty są czymś stałym – są one, jak pisze Wittgenstein, „substancją świata". Jak rozumieć powinniśmy tu termin *substancja*? Z pewnością nie jest to substancja Arystotelesowska, ponieważ substancjami w rozumieniu Arystotelesa są raczej obiekty złożone, a nie proste[26]. Ian Proops proponuje tu przyjęcie, że Wittgensteinowi chodzi o modyfikację Kantowskiego pojęcia substancji[27] – tego, co pozostaje niezmienne w zmianach. Jest to zgodne z tym, że przedmioty są u Wittgensteina właśnie czymś niezmiennym i koniecznym – zmienne i przypadkowe są jedynie ich konfiguracje. Proops zauważa, że różnica pomiędzy Kantem a Wittgensteinem polega tu jednak na tym, że mówiąc o niezmienności, Kant miał na myśli trwanie w czasie, podczas gdy Wittgensteinowi chodzi o coś innego – rzecz nie w tym, że przedmioty istnieją w dowolnym momencie czasu, lecz w tym, że istnieją w każdym możliwym świecie [Proops 2004a: 5]. Zgadza się to z dalszą charakterystyką przedmiotów – są one „formą świata", wyznaczają

26 Przedmioty Wittgensteina są raczej odpowiednikiem materii pierwszej Arystotelesa. Ciekawe zestawienie ontologii Arystotelesa i Wittgensteina wraz ze wskazaniem zaskakującego podobieństwa, mimo pozornych różnic, znajdzie czytelnik w: Wolniewicz [1968].

27 Tę samą interpretację przyjmuje Wolniewicz, choć nie idzie w niej tak daleko jak Proops.

ramy przestrzeni logicznej (co należy prawdopodobnie interpretować właśnie w podany sposób – istnieją we wszystkich światach możliwych – światy te różnią się tylko zachodzącymi w nich stanami rzeczy). Na pierwszy rzut oka wydaje się to dość dziwne. Nasze intuicje co do światów możliwych są przecież takie, że różnią się one od siebie m.in. zbiorami istniejących w nich przedmiotów. Mówiąc: „Paweł Grabarczyk mógłby się nie urodzić", mówię właśnie o pewnym możliwym świecie, w którym mnie nie ma. Wydaje się jednak jasne, że Wittgenstein posługuje się dwoma pojęciami istnienia – aktualnym i potencjalnym. Mówiąc o logice (co w tym miejscu *Traktatu* oznacza w zasadzie ontologię) zauważa, że „wszystkie możliwości są jej faktami" [Wittgenstein 1922: 7], czyli, że istnieją one w przestrzeni logicznej. Z drugiej strony, przykładem elementarnego faktu jest po prostu istnienie jakiegoś przedmiotu [Wittgenstein 1922: 34]. Gdyby w obu tych przypadkach słowo *istnieć* miało to samo znaczenie, to nie byłoby sensu mówić o istniejących i nie istniejących stanach rzeczy, ponieważ istniałyby po prostu wszystkie stany rzeczy. Wydaje się zresztą, że używanie określenia „istniejący stan rzeczy" jest tu głównym sprawcą zamieszania. O wiele lepiej byłoby mówić o stanach rzeczy zachodzących i nie zachodzących.

Ponieważ każdy przedmiot zawiera w sobie kompletny zestaw możliwości wchodzenia w stany rzeczy ze wszystkimi innymi przedmiotami, to moglibyśmy je, w praktyce, uważać za swoiste katalogi wszystkich stanów rzeczy. Dlatego też znajomość przedmiotu przesądza o znajomości wszystkich stanów rzeczy, których może on być elementem. Przyrównywanie przedmiotów Wittgensteina do monad Leibniza wydaje się, przynajmniej w tym aspekcie, całkowicie na miejscu. Jak wspomniałem, Wittgenstein nie podaje żadnego przykładu przedmiotów. W pewnym okresie za przykład przedmiotu uznawał plamy kolorów w polu widzenia, szybko się jednak

z tej propozycji wycofał [Proops 2004b]. Zapytany później przez Malcolma o to, czy w czasie pisania *Traktatu* myślał o jakimś przykładzie przedmiotu odpowiedział, że nie, ponieważ w tamtym okresie uważał się za logika, a odkrycie ewentualnych przedmiotów uznawał za badanie natury empirycznej [Proops 2001 27]. Jednakże, nawet jeśli pominiemy problem braku ewentualnych przykładów, stajemy jeszcze przed innym, poważniejszym dylematem interpretacyjnym: czy relacje i własności są przedmiotami? Kwestia ta jest wciąż przedmiotem kontrowersji[28], ale więcej wydaje się przemawiać za odpowiedzią pozytywną niż za negatywną. Aby to zobaczyć, przyjrzyjmy się teraz kolejnemu stopniowi w hierarchii bytów – stanom rzeczy.

Stany rzeczy to konfiguracje przedmiotów. To wydaje się sugerować, że relacje przedmiotami nie są. Relacje byłyby bowiem owym „dodatkiem" do przedmiotów – ową konfiguracją, która tworzy stan rzeczy. Na przeszkodzie tej interpretacji stoi jednak pewne słynne zdanie z *Traktatu*, a mianowicie teza 2.03: „W stanie rzeczy przedmioty splatają się ze sobą jak ogniwa łańcucha". W jaki sposób powinniśmy rozumieć tę metaforę? Na szczęście, sam autor objaśnił ją nieco w rozmowie z angielskim tłumaczem *Traktatu* – Ogdenem: chodzi po prostu o to, że w stanie rzeczy nie ma żadnego dodatkowego przedmiotu, łączącego przedmioty pozostałe [Proops 2004b]. Wydaje się zatem, że powinniśmy traktować relacje i własności jak przedmioty. Wittgenstein wypowiedział się zresztą w tej kwestii wprost. Desmondowi Lee powiedział: „Przedmioty obejmują relacje. Sąd to nie są dwie rzeczy połączone relacją. Rzecz i relacja są na tym samym poziomie" [Proops 2004b].

28 Wolniewicz przyjmuje np., że przedmiotami są tylko indywidua. Podobnie czyni Anscombe. Glock uznaje, że łatwiej utrzymać interpretację realistyczną niż nominalistyczną.

Jest to argument natury historycznej, dlatego też trudno go uznać za konkluzywny w przypadku racjonalnej rekonstrukcji – w części poświęconej językowi postaram się podać dodatkowo filozoficzny argument za tym, że relacje i własności również są przedmiotami.

O stanach rzeczy dowiadujemy się z traktatu trochę więcej niż o przedmiotach. Trudno to jednak nazwać wiedzą wyczerpującą. Poza zagadnieniem ich struktury, o której była mowa wcześniej, istotne jest jeszcze to, że są one od siebie niezależne. Z istnienia żadnego stanu rzeczy nie można wnioskować o istnieniu innego. Jest to teza, którą Wittgenstein uznał później za jeden z większych błędów *Traktatu* – w rozmowie ze Schlickiem zauważył, że nie przyszedł mu wtedy do głowy następujący przykład: z tego, że jakiś człowiek ma 2 metry wzrostu można przecież wywnioskować, że nie ma 3 metrów wzrostu [Proops 2001: 19]. Przykład ten dodatkowo wskazuje na to, że również i później Wittgenstein miał problemy z podaniem zgodnego z tezami traktatu przykładu – „człowiek" nie jest przecież przykładem przedmiotu w sensie traktatu, a „człowiek nie ma 3 metrów wzrostu" nie jest pojedynczym, prostym faktem, ponieważ zawiera negację. Ostatnim składnikiem ontologii *Traktatu* są sytuacje – są one złożonymi stanami rzeczy, więc nie będę ich w tym miejscu szerzej charakteryzował, rozważę jednak kwestię zdań złożonych, przy okazji rozważań dotyczących „obrazu rzeczywistości", czyli języka. Do tego też teraz przejdziemy.

Zacznijmy od pewnego wyjaśnienia – *Traktat* wspomina nie o dwóch poziomach (języku i rzeczywistości) i relacjach pomiędzy nimi, lecz o trzech – trzecim, pośredniczącym między językiem a rzeczywistością jest sfera myśli. Sądzę jednak, że można ten trzeci element pominąć w naszej rekonstrukcji bez ryzyka wypaczenia teorii znaczenia, która nas tutaj interesuje. Jest tak przede wszystkim dlatego, że stosunek myśli do

świata nie różni się od stosunku języka do świata. Jeden i drugi są izomorfizmami. W rzeczywistości, choć Wittgenstein nie posunął się tak daleko, by utożsamiać myślenie z myśleniem w języku, to uznał, że myślenie jest, po prostu, pewnego rodzaju językiem (choć być może innym, niż ten, którego używamy do porozumiewania się z ludźmi) – jest tak, ponieważ język rozumiał właśnie jako opierający się na stosunku obrazowania, a myślenie również jest obrazowaniem, modelowaniem rzeczywistości. W *Traktacie* obecne jest zresztą zrównanie myśli i zdań i to w jednej z wiodących (numeracja jednocyfrowa) jego tez – tezie 4. Umieszczenie tej tezy na tak eksponowanym przez strukturę dzieła miejscu nie może być przypadkiem – niektórzy badacze, jak np. Wolniewicz, uważają ją za jedną z dwóch głównych (obok tezy o izomorfizmie języka i świata) tez traktatu [Wolniewicz 1968: 91].

Ponieważ język jest obrazem rzeczywistości, to tezy, które Wittgenstein wypowiada o języku można łatwo zestawić z odpowiadającymi im tezami ontologicznymi (tabela 7.1)[29].

Każde z pięter w opisywanej hierarchii bytów ma zatem swój językowy odpowiednik: przedmiot – nazwę, kompleks – deskrypcję określoną, stan rzeczy – zdanie elementarne, fakt pozytywny – zdanie prawdziwe, fakt negatywny – zdanie fałszywe, sytuacja – zdanie złożone.

Przyjrzyjmy się teraz głównej dotyczącej języka tezie Wittgensteina: w jaki sposób moglibyśmy objaśnić to, że język jest obrazem rzeczywistości? W cytowanym już wykładzie z roku 1933 Wittgenstein zwierzył się, że w czasie tworzenia *Traktatu* nie uświadamiał sobie, że termin *obraz* jest niejasny (*vague*) [Proops 2001: 20]. Rzeczywiście, jaśniejsza wydaje się metafora modelu. Jest jasne, że model czegoś i to, czego jest on

29 Zamieszczone w tabeli tezy nie są oryginalnymi sformułowaniami z *Traktatu*.

Tabela 7.1. Zestawienie tez dotyczących języka i świata w *Traktacie* Wittgensteina

Język	Świat
Przedmioty są proste	Nazwy są ostatecznym produktem analizy logicznej (są nieanalizowalne)
Stany rzeczy są kombinacjami przedmiotów	Zdania elementarne są kombinacjami nazw
Każdy przedmiot zawiera w sobie wszystkie możliwości występowania w stanach rzeczy	Każda nazwa zawiera w sobie wszystkie możliwości występowania w zdaniach
Stany rzeczy zachodzą (istnieją) albo nie	Zdania są prawdziwe albo fałszywe
Ogół faktów to świat	Ogół zdań to język
Żaden pojedynczy stan rzeczy nie wyznacza żadnego innego stanu rzeczy	Żadne zdanie elementarne nie implikuje żadnego innego zdania elementarnego ani też nie jest z nim sprzeczne
Przedmioty połączone są w stanie rzeczy bezpośrednio (jak ogniwa w łańcuchu)	Zdanie elementarne nie zawiera żadnych stałych logicznych

modelem, muszą pozostawać do siebie w relacji podobieństwa – musi więc istnieć coś wspólnego między językiem a modelowaną rzeczywistością. Co jednak wspólnego ma rzeczywistość o opisanej strukturze z ciągami liter lub dźwięków? Sam pomysł wydaje się dość prosty i intuicyjny – w rzeczywistości pozajęzykowej mamy do czynienia z faktami i tworzymy sobie ich obrazy – obrazy te składają się z takiej samej liczby elementów, co dany fakt [Wittgenstein 1922: 25], a to, jak mają się do siebie elementy obrazu ma swój odpowiednik w tym, jak mają się do siebie elementy faktu. Tym, co jest wspólne zdaniom i faktom, gdy jeden jest obrazem drugiego, jest forma logiczna. Wyjaśnienie to oczywiście niewiele mówi. Jak mielibyśmy formę tę rozumieć? Nie ma raczej wątpliwości co do tego, że związek pomiędzy zdaniami a faktami polega na jakiegoś rodzaju

izomorfizmie. Objaśniając ten związek, Wittgenstein zauważa, że wprawdzie ciąg liter na papierze w żadnym stopniu nie przypomina jakiejś pozajęzykowej rzeczywistości, ale nuty również nie przypominają dźwięków, a rowki w płycie analogowej nie przypominają nut. Istotne jest tutaj to, że istnieją reguły przekładu z jednego na drugie (w przypadku nut i dźwięków raczej jednoznaczne przyporządkowanie).

W tym momencie kluczową rolę zaczyna odgrywać ustalenie tego, czy relacje i własności są przedmiotami. Przyjęcie, że nie są utrudnia bowiem ukazanie tego, na czym polega izomorfizm zdania i faktu.

Przyjrzyjmy się napisowi: **aB**. Nie traktujemy go jako wyrażenia językowego – jest to element rzeczywistości pozajęzykowej, pewna konfiguracja dwóch przedmiotów[30], którą opisywać będziemy teraz w języku. Opisując go, mogę posłużyć się zdaniem:

(1) *„a" jest mniejsze niż „B".*

Wyrażenie *a* jest tu nazwą pierwszego pogrubionego znaku w poprzednim akapicie, a *B* jest nazwą drugiego. Zauważmy, że zdanie (1) zawiera trzy wyrażenia. Trzecim, poza nazwami *a* i *B*, jest wyrażenie *jest mniejsze niż*. Załóżmy teraz, niezgodnie z przyjętą wcześniej interpretacją, że wyrażenie *jest mniejsze niż* to ten element zdania, który pozwala nam opisać, zobrazować to, jak te przedmioty się do siebie mają (czyli, że nie jest to nazwa jakiegoś trzeciego przedmiotu). W tym mo-

30 Nie są to, oczywiście, przedmioty w sensie *Traktatu*. Nie wiem wprawdzie, z czego się one składają (mogą składać się z plamek atramentu, drobinek wypalonego tonera albo być konfiguracją pikseli na ekranie, w zależności od tego, co ma przed oczami czytelnik), ale z pewnością nie są proste. Zakładam jednak, że przykład ten wystarczająco ilustruje problem.

mencie natrafiamy jednak na poważny kłopot. Rozważmy bowiem zdanie:

(2) *„B" jest mniejsze niż „a"*

W zdaniu (2) występują nazwy tych samych przedmiotów, co w zdaniu (1) – (*a* i *B*) oraz, jak właśnie przyjęliśmy, nazwa tej samej ich konfiguracji. Nie mamy więc podstaw do tego, żeby mniemać, że zdanie (2) jest obrazem innego faktu niż zdanie (1). Jest to konsekwencja dość kłopotliwa, ponieważ relacja „*x* jest mniejsze niż *y*" nie jest symetryczna.

Okazuje się, że dopiero przyjęcie, że relacja *jest mniejsze niż* jest po prostu jednym z przedmiotów, który konfigurację tworzy (a nie samą tą konfiguracją) pozwala nam z łatwością pokazać, na czym właściwie polega obrazowanie faktów przez zdania. Nasz fakt składa się z trzech przedmiotów: *a*, *B* i relacji *jest mniejsze niż*. Ich konfiguracja polega zaś na tym, że *a* jest pierwszym argumentem tej relacji, a *B* drugim. Przyjrzyjmy się teraz zdaniu (1) – tu, również mamy do czynienia z trzema elementami, nazwami, a ich konfiguracja polega na tym, że *a* stoi po lewej stronie *jest mniejsze niż*, a *B* po prawej. W tym momencie możemy już mówić o izomorfizmie. Jasne staje się również, dlaczego Wittgenstein twierdzi, że zdania również są faktami. Izomorfizm zapewnia nam „to, że *a* stoi po lewej stronie *jest mniejsze niż*, a *B* po prawej" – a to jest już pewien fakt, niewiele się różniący od tego, że mój skaner stoi po lewej stronie monitora. Gdybyśmy teraz wypowiedzieli zdanie (1), to również moglibyśmy łatwo wskazać na izomorfizm pomiędzy naszym faktem a wypowiedzianym zdaniem (a także na izomorfizm pomiędzy zdaniem wypowiedzianym a napisanym). Nazwami naszych trzech przedmiotów byłyby odpowiednie dźwięki, a obrazowaną konfiguracją ich następstwo czasowe.

Czym jest jednak owa „konfiguracja"? Czy jest relacją (a zatem przedmiotem)? Gdybyśmy to przyjęli, uzyskalibyśmy natychmiast znany paradoks Bradleya. Byłaby ona czwartym przedmiotem i znów potrzebowalibyśmy odwoływania się do tego, jak ma się ona do swych członów – kolejnej konfiguracji, która polegałaby tym razem na tym, że *a* jest pierwszym argumentem w relacji: „*x* jest pierwszym argumentem w relacji *y*". Dlatego też Wittgenstein posługuje się cytowaną już metaforą o ogniwach łańcucha – przedmioty połączone są w stanie rzeczy bez żadnego pośrednictwa (bez pośrednictwa innych przedmiotów). Aby podkreślić jeszcze symetrię pomiędzy rzeczywistością a językiem, moglibyśmy, nieco w duchu autora *Traktatu*, zauważyć, że konfiguracja nie jest kolejnym przedmiotem, tak samo jak szyk słów nie jest kolejnym słowem.

Mówiąc o ontologii *Traktatu*, zwróciłem uwagę na trudności, jakie mieli interpretatorzy, a także sam autor, ze wskazaniem przedmiotów i pojedynczych faktów. Kłopoty te dają o sobie znać również w przypadku rozważań o języku. Jeżeli nie potrafimy podać przykładu przedmiotu, to nie potrafimy też podać przykładu nazwy. Jeżeli nie potrafimy podać przykładu pojedynczego faktu, to nie potrafimy również podać przykładu zdania atomowego. Trudność z *Traktatem* polega między innymi i na tym, że choć początkowo można odnieść wrażenie, iż Wittgenstein mówi w nim o zwykłych zdaniach, którymi posługujemy się na co dzień, to dokładniejsza analiza pokazuje, że to, co mówi on o języku odnosi się w większości do wyrażeń, które odsłonić się mają dopiero w toku analizy logicznej. Zdania złożone są funkcjami swoich zdań składowych, ale tych ostatnich nikt jeszcze nie widział. W swoich notatkach z wykładów Wittgensteina Moore zapisał, że autor *Traktatu* przyznał, że w czasie pisania swego dzieła nie miał pojęcia co do tego, jak będą wyglądać zdania elementarne – on i Russell nie byli nawet pewni, czy zdanie takie jak „pada" okaże się

w wyniku analizy logicznej zdaniem atomowym czy molekularnym, głównie w wyniku tego, że nie wiedzieli, jak taka analiza miałaby wyglądać [Proops 2001: 20]. Skoro tak, to podstawowym pytaniem, jakie powinniśmy sobie teraz zadać jest: czy zdania złożone również są obrazami i czego właściwie są one obrazami? Praktycznie wszystko, o czym normalnie myślimy, słysząc hasło „przedmiot" jest u Wittgensteina kompleksem. Posłużę się analizowanym przez Wolniewicza przykładem miotły – jest ona przykładem kompleksu, a nie przedmiotu, ponieważ opiera się na pewnym fakcie – tym, że szczotka jest wbita na kij. Ze względu na zachodzącą jak dotąd na wszystkich poziomach symetrię pomiędzy językiem a światem, moglibyśmy spodziewać się, że takie zdania jak np.: *Miotła stoi w kącie* będą miały swój bezpośredni odpowiednik po stronie świata. A więc, że pewien fakt (że szczotka jest wbita na kij) oraz pewien drugi fakt (że ściany łączą się pod kątem 90 stopni) tworzą jakiegoś rodzaju przedmioty wyższego rzędu, nazywane tu kompleksami, które pozostają ze sobą w pewnej relacji – pierwszy stoi w drugim, a wszystkie te trzy przedmioty (dwa kompleksy i relacja) tworzą z kolei pewien fakt wyższego rzędu, którego obrazem jest nasze zdanie złożone. Jest to jednak daleko idąca spekulacja, ponieważ niczego takiego na stronach *Traktatu* nie znajdziemy. Co więcej, gdyby przyjąć taki obraz relacji pomiędzy zdaniami złożonymi a światem, to analiza logiczna byłaby wysiłkiem zbędnym. Dlaczego mielibyśmy właściwie rozkładać zdania złożone, poszukując tajemniczych zdań elementarnych, którymi nikt się nie posługuje, skoro jesteśmy w stanie wyjaśnić fenomen języka bez odwoływania się do nich? Odpowiedź kryje się w tym, co powiedziałem przed chwilą o kompleksach – aby znać znaczenie wyrażeń, które odnoszą się do kompleksów, muszę zrozumieć pewne zdania, które są obrazami faktów tworzących te kompleksy. Wittgenstein przejmuje tu częściowo teorię deskrypcji Russella – on

również poszukiwał rzeczywistych nazw własnych. Aby wiedzieć, czy miotła stoi w kącie czy nie, muszę wiedzieć, czy kij i szczotka jest w kącie i czy to drugie jest wbite na pierwsze. Ale aby wiedzieć, czy szczotka jest w kącie, muszę jeszcze wiedzieć, czy gałązki związane są w odpowiedni sposób sznurkiem itd. Oczywiście można próbować wybrnąć z tej sytuacji, powołując się na definicję ostensywną – tak, aby posługiwać się nazwą „miotła", która nie będzie nam objaśniona za pomocą zdań. Rozwiązanie to jednak nas nie ratuje. Wiadomo, przecież, że definicja ostensywna nie pozwala rozróżnić takich dwóch kompleksów, jak miotła i zbiór elementów miotły. Dlatego też analiza logiczna jest tu konieczna – tym, co pozostaje z rzeczywistością skorelowane są zdania elementarne. Korelacja zdań złożonych zapośredniczona jest przez analizę logiczną (autor *Traktatu* nie wie jeszcze, jak miałaby wyglądać). W praktyce, w analizie logicznej wyróżnić można dwa składniki: analizę syntaktyczną i semantyczną. Pierwsza opiera się na tabelkowej interpretacji spójników logicznych – ten składnik jest w *Traktacie* objaśniony. Druga, co uświadomiła nam stojąca w kącie miotła, nadal pozostaje zagadką.

Przyjrzyjmy się teraz dokładniej temu, co Wittgenstein ma do powiedzenia na temat znaczenia i odniesienia. Nazwy (właściwe) posiadają jedynie odniesienie. Nie jest do końca jasne, w jaki sposób odniesienie to się ustala – Wittgenstein uważał tę kwestię za domenę psychologii [Glock 1996: 220]. Jest to, w gruncie rzeczy, pogląd dość zaskakujący – byłby on czymś naturalnym u myśliciela, który analizuje konkretny język naturalny. Wtedy można by uznawać, że zagadnienie odniesienia nazw własnych jest kwestią empiryczną – psychologiczno-historyczną. Wittgenstein mówi jednak o języku w najogólniejszym możliwym sensie – jest to abstrakt, symbolizm jako taki [Wolniewicz 1968: 92]. Wydaje się zatem, że dokładniejsze opisanie relacji odniesienia powinno być dokonane przez twórcę

teorii znaczenia, a nie psychologów. Z pewnością zakłada się tu jednak, że każdy przedmiot nazwę posiada, Wittgenstein uznał to zresztą później za jeden z większych błędów *Traktatu* – przyznał, że w czasie jego pisania uważał, że wszystkie przedmioty da się ponumerować, a zatem można również wymienić wszystkie zdania elementarne [Proops 2001: 27]. Być może tego dotyczy też tajemnicza uwaga z 1929 r., kiedy stwierdził, że odkrył, iż zdania elementarne muszą zawierać liczby rzeczywiste [Glock 1996: 47]. Jak zobaczymy w rozdziale dziewiątym, Carnap, który posłużył się ideą przestrzeni logicznej, wyczerpującej wszystkie kombinacje zdań w języku, również zakładał, że wszystkie przedmioty da się ponazywać. Wittgenstein krytykował jednak propozycję Carnapa, twierdził, że już w czasie pisania *Traktatu* wiedział, że nie da się tego (analizy logicznej) zrobić w sposób, w jaki zrobił to Carnap [Proops 2001 16–17]. Niezadowolenie Wittgensteina wynikało z tego, że – jak uważał – zdania atomowe powinny odsłonić się nam w wyniku analizy języka, a nie zostać po prostu wygenerowane przy użyciu arbitralnie przyjętych reguł. Uznanie, że nazwy nie mają znaczeń jest jednak głównie konsekwencją przyjętych założeń ontologicznych, ponieważ gdyby znaczenie posiadały, to objaśnialibyśmy je za pomocą zdań, co znaczyłoby, że nie są to nazwy przedmiotów prostych (bo zdania są obrazami faktów).

Przejdźmy teraz do zagadnienia znaczenia zdań. To, że mamy w przypadku zdania do czynienia z jakiegoś rodzaju obrazem, można, zdaniem Wittgensteina, wykryć np. w tym, że potrafimy rozumieć zdania, których nikt nam wcześniej nie objaśniał. Oczywiście nie będziemy wiedzieć jeszcze, czy zdanie to jest prawdziwe czy nie (to wymaga już porównania z rzeczywistością). Rozumienie zdania wiąże się jednak z pojęciem prawdy – rozumiem zdanie, gdy wiem, jaki stan rzeczy zachodzi, gdy jest ono prawdziwe [Wittgenstein 1922: 24]. Widać tu wyraźnie wpływ, jaki obrazkowa teoria znaczenia

wywarła na pozytywistów Koła Wiedeńskiego. Rozumienie zdań sprowadza się do znajomości warunków ich prawdziwości. W notatniku Wittgenstein zapisał: „Jeżeli zdanie «Książka jest na stole» ma sens, to muszę być w stanie powiedzieć, czy to prawda, czy fałsz" [Proops 2004a]. Zależność między wartością logiczną a znaczeniem zdania (jeśli tak można interpretować termin „rozumienie") nie zostaje jednak w *Traktacie* dalej rozwinięta. Wittgenstein utrzymuje, że zdania elementarne posiadają znaczenie, ale nie posiadają odniesienia. To również okazuje się efektem przyjętych założeń ontologicznych – relacja odniesienia zarezerwowana jest dla przedmiotów, a fakty nimi nie są. Ponieważ zdanie jest korelatem faktu, to korelacja ta musi być relacją innego rodzaju niż denotacja – jest to, jak już wiemy, „obrazowanie" czy „modelowanie". Uznanie faktów za znaczenia (czy sensy, bo tego określenia używa – za Fregem – Wittgenstein) nie było zresztą dla autora *Traktatu* czymś oczywistym – początkowo uważał fakty za odniesienie zdań elementarnych [Glock 1996: 101]. Można zresztą debatować nad tym, czy zmiana zdania była tu decyzją słuszną – jest ona podyktowana względami przyjętej ontologii i pomijając ryzyko uznania faktów za przedmioty, trudno stwierdzić, czemu mielibyśmy właściwie uważać późniejsze rozwiązanie za lepsze. Na pierwszy rzut oka uzasadniającym to powodem jest stary problem niebytu – jeżeli zdanie miałoby się odnosić do faktów, to zdania fałszywe do niczego by się nie odnosiły. Ale problem ten doskwierałby nam w jeszcze większym stopniu przy założeniu, że odpowiednie fakty są sensami zdań. Wtedy, dowolne fałszywe zdanie staje się bezsensowne. Wittgenstein nie kłopotał się tym, ponieważ, jak wspomniałem wcześniej, zdania opisują stany rzeczy w przestrzeni logicznej (czyli, jak moglibyśmy dziś powiedzieć, w możliwych światach), a ich prawdziwość zależy od tego, czy te stany rzeczy zachodzą, czy też nie (czyli czy zachodzą w świecie aktualnym). Wydaje się

więc, że nic nie przymusza nas do przyjęcia, że fakty są sensami, a nie denotacjami zdań elementarnych. Zresztą, nie bez powodu późniejsze rozwinięcia teorii traktatu – takie jak ontologia sytuacji Romana Suszki – uznają fakty za denotacje, a nie za znaczenia zdań.

Okazuje się zatem, że jedynie nazwy kompleksów, a także zdania złożone, zawierające nazwy kompleksów posiadają zarówno znaczenie, jak i odniesienie. Zauważmy jednak, że teorią znaczenia dla kompleksów i zdań zawierających nazwy kompleksów nie jest teoria obrazkowa, ale analiza logiczna, o której niczego się właściwie nie dowiadujemy. W związku z tym, przyjmując wypowiedziane zastrzeżenia o odniesieniu zdań, moglibyśmy nazwać obrazkową teorię znaczenia raczej „obrazkową teorią odniesienia".

Ponieważ założenia i rozstrzygnięcia natury ontologicznej wpływają, jak widzieliśmy, na teorię języka Wittgensteina, to możemy jeszcze zadać sobie pytanie: jak dalece wyłożona w *Traktacie* ontologia jest koniecznym składnikiem wyłożonej tam teorii języka? Czy moglibyśmy przyjąć jakąś inną ontologię, albo też w ogóle zrezygnować z roztrząsania zagadnień ontologicznych? Wydaje się, że przynajmniej do pewnego stopnia tak. Teoria obrazkowa wymaga od nas tylko jednego. Ponieważ sedno tej teorii stanowi postulowanie korelacji między językiem a czymś pozajęzykowym, to nie wolno nam rezygnować z założenia o jej istnieniu. Szczegóły tego związku i charakter owego pozajęzykowego składnika nie są już przez teorię obrazkową wyznaczone. Moglibyśmy np. równie dobrze utrzymywać, że zdania są obrazami kombinacji danych zmysłowych i oprzeć teorię języka na podbudowie epistemologii zamiast ontologii. Prawdopodobnie właśnie dzięki tej (niezamierzonej przez autora) elastyczności teoria obrazkowa mogła oddziaływać również na myślicieli o inklinacjach antymetafizycznych. W szczególności, co zauważy-

łem już wcześniej, koncepcja Carnapa nosi znamiona inspiracji teorią obrazkową. Innym istotnym wkładem Wittgensteina w projekt eksplikacji pojęcia znaczenia było rygorystyczne odróżnianie zagadnienia znaczenia zdań i znaczenia nazw, a także wskazanie konieczności wypracowania odrębnych składników teorii do objaśnienia jednego i drugiego. Rozróżnienie to zostało wcześniej w dużej mierze zniwelowane przez Fregego i dopiero Wittgenstein[31] (otwarcie Fregego w tej kwestii krytykując) ponownie zwrócił uwagę na jego istotność. Atrakcyjność i siła oddziaływania teorii obrazkowej nie powinna zresztą dziwić – jak wspomniałem, sam pomysł wydaje się niezwykle intuicyjny i prosty. Niestety, wbrew tonowi przedmowy do *Traktatu*, która daje czytelnikowi nadzieję, że większość spraw została na dalszych stronach definitywnie rozwiązana, mamy do czynienia raczej z przyczynkiem do teorii niż gotową teorią. Mówiąc po latach o *Traktacie,* Wittgenstein przyznawał, że był w czasie pisania pełen optymizmu co do powodzenia projektu analizy logicznej, która odkryje przed nami zdania elementarne i przedmioty. Wynika z tego, że nie uważał *Traktatu* za efekt zakończonych już badań. Optymizm dzieła podziałał jednak zapładniająco na innych, a efektem jego niejasności było to, że powstałe teorie (takie jak np. semantyka Carnapa czy weryfikacjonizm) są raczej wariacjami na temat pewnych wyjętych z *Traktatu* fragmentów lub ogólnej idei teorii obrazkowej, a nie rozwinięciem doktryny w nim przedstawionej.

31 Zwraca na to uwagę Ryle w artykule *Teoria znaczenia* [1957: 490].

Rozdział 8
Alfred Tarski i rehabilitacja semantyki

Ponieważ zaproponowana przez Alfreda Tarskiego definicja prawdy nie jest wprost powiązana z żadną teorią znaczenia czy odniesienia wyrażeń, pozwolę sobie na początku powtórzyć i szerzej przedstawić powody, dla których jej omówienie ma swoje uzasadnione miejsce w tej pracy. Po pierwsze, jak zobaczymy w następnym rozdziale, poświęconym semantyce Carnapa, propozycja Tarskiego przywróciła semantyce miejsce w naukowej filozofii (w tym sensie, w jakim rozumieli ją członkowie i sympatycy Koła Wiedeńskiego). Po drugie, jak okaże się w rozdziale dwunastym, propozycja Donalda Davidsona nie tylko czerpie z definicji Tarskiego inspirację, lecz także przekształca ją w teorię znaczenia. Po trzecie okazuje się, że pojęcie znaczenia jest w semantyczną definicję prawdy uwikłane w stopniu większym, niż by się początkowo wydawało, co pozwoli rzucić trochę światła na relacje między kilkoma pojęciami, które ciągle pojawiają się w kontekście różnych teorii znaczenia (przekład, znaczenie, odniesienie, prawda).

Zaletą propozycji Tarskiego jest przede wszystkim jej jasność (kontrowersje budzi jej doniosłość filozoficzna, sama definicja nie przedstawia nieprzezwyciężalnych trudności interpretacyjnych), ale i wprost wyrażone zamiary autora. Tarski chce podać definicję prawdy „merytorycznie trafną" i „formalnie poprawną". Formalna poprawność obejmuje tutaj

takie wymogi, jak brak błędnego koła, zabezpieczenie przed antynomiami czy związek z klasyczną, Arystotelesowską teorią prawdy. Merytoryczna trafność dotyczy pewnych intuicji, które wiążemy z terminem „prawdziwy", a które wyrażone są, zdaniem Tarskiego, w klasycznym Arystotelesowskim określeniu prawdziwości:

> Jest fałszem powiedzieć o tym, co jest, że nie jest, lub o tym, co nie jest, że jest; jest prawdą powiedzieć o tym, co jest, że jest, lub o tym, co nie jest, że nie jest [Tarski 1944: 232].

W oryginalnej ekspozycji definicji prawdy, pochodzącej z roku 1933, znajdujemy takie oto uwspółcześnione przez Tadeusza Kotarbińskiego sformułowanie definicji klasycznej:

> Zdanie prawdziwe jest to zdanie, które wyraża, że tak a tak rzeczy się mają, i rzeczy mają się tak właśnie [Tarski 1933: 18].

Prowadzi to Tarskiego do sformułowania ogólnego schematu:

> *x* jest zdaniem prawdziwym wtedy i tylko wtedy, gdy *p*

gdzie „p" jest dowolnym zdaniem, a „x" nazwą tego zdania. Posłużmy się tu oryginalnym przykładem Tarskiego, który stał się niejako hasłem wywoławczym dla jego definicji prawdy:

> **„Śnieg jest biały" jest zdaniem prawdziwym wtedy i tylko wtedy, gdy śnieg jest biały**.

Tarskiego interesuje zatem prawda w jej korespondencyjnym wydaniu. Warunek formalnej poprawności uzupełniony o merytoryczną trafność wskazuje na to, że Tarskiemu zależy

po prostu na eksplikacji. W pewnym bowiem sensie pojęcie prawdy definiowania nie wymaga, wręcz przeciwnie, Tarski sądzi, że jego sens jest całkiem dobrze określony. Kłopot nie w tym, że nie wiemy do końca, co kryje się za przymiotnikiem „prawdziwy" – problemem jest to, że wszelkie dokładniejsze wyjaśnienia, które mogłyby zadowolić filozofów, prowadzą do poważnych komplikacji. Jedną z takich komplikacji jest znana antynomia kłamcy, którą zaprezentować można choćby za pomocą przykładu:

(1) *Zdanie, które właśnie czytasz, jest fałszywe.*

Jest jasne, że jeśli zdanie to rzeczywiście jest fałszywe, to nie jest tak, jak ono głosi, a więc nie jest fałszywe, a więc jest prawdziwe. Jeśli założymy, że jest ono prawdziwe, to jest tak, jak ono głosi, a więc jest fałszywe. Co rodzi tę antynomię? Jaka własność naszego języka prowadzi do takich paradoksalnych konsekwencji? Tarski zauważa, że antynomia ta wynika z „semantycznej uniwersalności" języka potocznego. Język ten zawiera w sobie swój własny metajęzyk – mówimy w nim nie tylko o rzeczywistości pozajęzykowej, ale i o nim samym. Tarski nie uważa jednak, że obserwacja ta obnaża niedoskonałość języka potocznego. Jest to jego nieodłączna własność, ponieważ potrzebujemy języka, w którym mówić można o wszystkim. Jako remedium dla zaistniałej sytuacji nie proponuje więc reformy języka potocznego i wyrzucenia z niego wszelkich autoodniesień, rozwiązaniem jest rezygnacja z prób podania definicji prawdy dla języków semantycznie uniwersalnych. Definicję podać możemy jednak dla języków, które owej własności nie posiadają. Tarski bierze pod uwagę języki formalne (języki nauk dedukcyjnych, jak to jest ujęte w oryginalnym sformułowaniu tytułu polskiej edycji jego monografii). Warto jednak pamiętać o tym, że powodzenie

definiowania prawdy zapewnia nam to, że język nie jest semantycznie uniwersalny, a nie to, że jest formalny. Tarski traktował antynomie w rodzaju tej, o której wspomniałem, bardzo poważnie, choć zauważał, że niektórzy myśliciele uznają za wystarczające po prostu ignorowanie ich. Zdaniem Tarskiego, nie możemy antynomii lekceważyć, ponieważ są one czymś w rodzaju „symptomów choroby". Lekarstwem na ujawnione schorzenie mogłoby być odrzucenie schematu T-równoważności, czyli równoważności o formie wyróżnionego pogrubionym drukiem zdania na poprzedniej stronie – wydaje się to jednak pomysłem złym ze względu na ich zgodność z potocznymi intuicjami dotyczącymi słowa „prawdziwy". Drugim rozwiązaniem jest modyfikacja zasad logiki, tak, aby pojawiająca się sprzeczność przestała być dla nas czymś wysoce niepożądanym – to również wydaje się rozwiązaniem nie najlepszym, choćby przez to, że płacimy niezwykle wysoką cenę za uniknięcie niechcianych konsekwencji definicji jakiegoś terminu. Trzecie możliwe rozwiązanie bazuje na różnicy pomiędzy, jak to określa Woleński [Woleński 2005: 190], cytowaniem a użyciem jakiegoś zdania. Zdanie „śnieg jest biały" jest po lewej stronie równoważności zacytowane, a po prawej użyte. Być może, prawdziwość zdania jest po prostu usunięciem z niego cudzysłowu? Może należałoby po prostu wyeliminować określenie „jest prawdą" z języka, używając za każdym razem zdania, które zostało zacytowane i opatrzone metką „prawdziwe"? Tarski zwraca uwagę na to, że taka (określona przez Kotarbińskiego jako „nihilistyczna") definicja prawdy posiada pewną bardzo niekorzystną konsekwencję – nie jesteśmy w stanie wyeliminować wyrażenia „jest prawdą" ze wszystkich kontekstów. Nie możemy tego zrobić w przypadku zdania: „Pierwsze zdanie napisane przez Platona jest prawdziwe" [Tarski 1933, 264]. Drugim przykładem problematycznego kontekstu jest sy-

tuacja, w której historyk nauki, badający traktaty jakiegoś matematyka stwierdza, że wszystkie zdania wypowiedziane w tych traktatach są prawdziwe i pragnie postawić hipotezę, że podobnie jest w przypadku innych, nie odkrytych jeszcze dzieł tego samego autora [Tarski 1933, 310]. Wypada dodać, że poza tymi teoretycznymi przypadkami istnieje jeszcze pewien aspekt natury pragmatycznej – nie sposób cytować wszystko, o czym chcemy powiedzieć, że jest prawdziwe. Rozwiązaniem, które Tarski aprobuje jest więc eliminacja zdań takich jak (1) dzięki wyraźnemu rozgraniczeniu pomiędzy językiem przedmiotowym a jego metajęzykiem. Określenie „jest prawdą" należy do metajęzyka i jest orzekane o zdaniach z języka przedmiotowego. Przyjrzyjmy się raz jeszcze cytowanej powyżej T-równoważności – łatwo spostrzec, że jest ona sformułowana w metajęzyku, a termin „zdanie prawdziwe" orzekany jest o zdaniu, które zostało w niej zacytowane dzięki utworzonej za pomocą cudzysłowu nazwy tegoż zdania. Oznacza to jednak, że podana w metajęzyku definicja prawdy jest prawdą zrelatywizowaną do języka – języka przedmiotowego. W rzeczywistości definiujemy tu zatem zwrot: „prawdziwy w *J*", gdzie *J* jest nazwą języka przedmiotowego.

Istotne jest również uczynione przez Tarskiego zastrzeżenie, że interesują go języki zinterpretowane – w przypadku języka bez interpretacji problem prawdziwości w ogóle nie istnieje. Wyrażenia języka przedmiotowego mają swój jednoznaczny przekład na metajęzyk, w innym przypadku nie moglibyśmy sformułować T-równoważności (ponieważ nie byłoby wiadomo, które zdania ze sobą skorelować po obu stronach odpowiedniej równoważności). Ta ostatnia uwaga prowadzi do pewnych trudności, wspomnę o nich pod koniec tego rozdziału. W tym miejscu warto jednak zauważyć, że cała, będąca podstawą interpretacji nihilistycznej, trywialność T-równoważności znika, gdy tylko język przedmiotowy nie będzie częś-

cią metajęzyka, tak jak w zdaniu: „«Snow is white» jest zdaniem prawdziwym wtedy i tylko wtedy, gdy śnieg jest biały" [Woleński 2005: 90].

Mamy więc T-równoważności, które oddają intuicje związane ze słowem „prawdziwy". Ale co z definicją? Czy same te równoważności stanowią definicję? Tak i nie. Każda z takich równoważności jest cząstkową definicją prawdy – jest definicją dla zdania, którego nazwa pojawia się po lewej stronie. Wszystkie te równoważności wzięte łącznie nie są definicjami wyrażenia: „jest zdaniem prawdziwym" dla danego języka, ponieważ zdań jest w nim nieskończenie wiele, a definicja powinna być pojedynczym zdaniem. W jaki sposób wybrnąć z tej sytuacji? Nie da się tutaj po prostu dokonać kwantyfikacji, ponieważ po lewej stronie mamy nazwę pewnego zdania, a po prawej samo to zdanie. Tarski zauważa, że należy po prostu podać definicję, która generowałaby odpowiednie T-równoważności. Naturalnym podejściem wydaje się tu więc definicja indukcyjna – będzie ona w stanie „okiełznać" nieskończoną liczbę zdań. W tym miejscu napotykamy jednakże poważny problem. Definicję indukcyjną rozpoczynamy od formuł atomowych, podając później odpowiednie reguły dla formuł złożonych z formuł atomowych. Problemem jest to, że formuły atomowe zawierają zmienne wolne. Jeżeli w naszym języku przedmiotowym istnieje np. formuła atomowa B(x) i ustaliliśmy w metajęzyku, że przekładem B(x) jest „x jest białe" to fakt, że „x" jest tu zmienną wolną nie pozwala nam na przypisanie jakiejkolwiek wartości logicznej formule B(x). Nie ma sensu pytać o to, czy „x jest białe" jest zdaniem prawdziwym, ponieważ nie jest to w ogóle zdanie, lecz schemat zdania. Aby rozwiązać ten problem, Tarski wprowadza dodatkowo pojęcie spełniania. Formuły ze zmiennymi wolnymi nie mogą być prawdziwe czy fałszywe, ale mogą być spełniane przez pewne przedmioty. Czy wprowadzenie dodatkowego, semantycznego,

jak by na to nie patrzeć, pojęcia spełniania nie stoi w niezgodzie z warunkiem formalnej poprawności? Nie, ponieważ pojęcie to zdefiniowane jest indukcyjnie, bez użycia innych terminów semantycznych. U Tarskiego jest to pojęcie ogólniejsze od pojęcia zdania prawdziwego. Prawdziwość jest po prostu szczególnym przypadkiem spełniania – odnosi się do formuł z zerową liczbą zmiennych wolnych, czyli do zdań.

Definicja prawdy Tarskiego, której nie będę tu przytaczał, wywołała i nadal wywołuje wiele kontrowersji. Ze względu na temat, który nas tu głównie interesuje, ograniczę się do jednej z kłopotliwych kwestii z nią związanych. A. Nowaczyk w artykule *Czy Tarski zdefiniował pojęcie prawdy?* [Nowaczyk 1998] zwraca uwagę na rzecz następującą. Jak wiemy, definicja prawdy zrelatywizowana jest do języka przedmiotowego. Wiemy również, że język ów musi być zinterpretowany w sposób jednoznaczny, co Tarski *explicite* zakłada. Wydaje się zatem, że definicja prawdy Tarskiego milcząco zakłada pojęcie znaczenia. Wątpliwość ta była Tarskiemu znana – pytanie o rolę pojęcia znaczenia w definicji prawdy zadała mu Kokoszyńska, proponując relatywizację pojęcia zdania prawdziwego do znaczenia. Tarski odpowiedział, że woli relatywizację do języka, ponieważ uważa pojęcie języka za jaśniejsze niż pojęcie znaczenia. Jednakże, jak zauważa Nowaczyk, relatywizacja do języka wymaga założenia jego jednoznaczności. Definicja prawdy może być sformułowana w metajęzyku, w którym dysponujemy przekładami wszelkich wyrażeń języka przedmiotowego. Chodzi tu oczywiście o przekład adekwatny, czyli zachowujący znaczenie albo, co w przypadku języka ekstensjonalnego (a tylko takimi Tarski się zajmuje) na to samo wychodzi – odniesienie przedmiotowe. Do problemu, czy zakładane przez Tarskiego pojęcie znaczenia jest pierwotne względem pojęcia prawdy powrócimy w rozdziale dwunastym, dotyczącym propozycji Davidsona. Jest bowiem jasne,

że teoria, która chciałaby wykorzystać dokonania Tarskiego w celu skonstruowania teorii znaczenia musi się w jakiś sposób z tym problemem uporać.

Hilary Putnam w artykule *Do true assertions correspond to reality?* [Putnam 1975c] formułuje wobec definicji Tarskiego trzy zarzuty, które – jak się okaże – dość łatwo odeprzeć, ale o których warto wspomnieć ze względu na to, że narzucają się one w sposób naturalny, a oddalenie jednego z nich wyjaśnia rolę, jaką w tej definicji prawdy odgrywa pojęcie znaczenia. Rozważmy zatem zarzuty Putnama.

Po pierwsze – Tarski nie musiał uznawać, że języki semantycznie zamknięte są językami sprzecznymi. Gdybyśmy zaakceptowali to, że dane zdania nie są ani fałszywe ani prawdziwe, to moglibyśmy sprzeczności uniknąć bez uciekania się wprowadzania podziału na język i metajęzyk. Po drugie, powiedzenie, że język naturalny jest sprzeczny (jako język semantycznie zamknięty) jest nieścisłe – język nie jest teorią, która coś stwierdza, a to teorie, a nie języki bywają sprzeczne. Po trzecie, definicja Tarskiego nie może zapewnić poprawności T-równoważności bez zakładania jakiegoś niezdefiniowanego pojęcia prawdy. Moglibyśmy bowiem dokonać korelacji zupełnie niepoprawnych[32] i nie zdołalibyśmy w żaden sposób odrzucić ich jako niewłaściwych, ponieważ musielibyśmy powiedzieć, że te niepożądane równoważności są *fałszywe*. Dodatkowym problemem jest, zdaniem Putnama, sam spójnik równoważności – czy przy jego definiowaniu nie musimy aby posłużyć się pojęciem prawdy? [Putnam 1975a: 70–73].

32 Putnam nie podaje przykładu, można założyć, że chodzi tu nie tylko o przykłady w rodzaju tego podawanego przez Davidsona: „Zdanie «Śnieg jest biały» jest prawdziwe wtedy i tylko wtedy, gdy trawa jest zielona", ale i o równoważności takie jak: „Zdanie «Śnieg jest biały» jest prawdziwe wtedy i tylko wtedy, gdy śnieg jest czarny".

Pierwszy z zarzutów wydaje się nietrafny choćby z tego powodu, że sam Tarski zauważa, że zmiana pewnych zasad logiki mogłaby nas przed antynomiami uchronić. Fakt, iż nie obiera on tej drogi, wynika z wysoce niewygodnych konsekwencji takiego posunięcia [Tarski 1944: 243]. Drugi z zarzutów również nie wydaje się szczególnie poważny – zamiast mówić, że język jest sprzeczny można przecież powiedzieć, że język dopuszcza sprzeczność i problem znika. Putnam ma jednak rację zwracając uwagę na to, że Tarski nie odróżnia wyraźnie pojęć języka i teorii (metajęzyk, w którym formułowana jest definicja z powodzeniem można nazwać teorią tego języka). Niewyraźna granica pomiędzy pojęciami języka i teorii jest zresztą zauważalna nie tylko u Tarskiego. Zarzut dotyczący spójnika równoważności sam Tarski rozważa [Tarski 1944: 258–259] i oddala mówiąc, że definiowanie spójników logicznych za pomocą tabel prawdziwościowych jest raczej zabiegiem dydaktycznym niż definicją. Równoważność może być zdefiniowana przy użyciu innych spójników, które przyjęte zostaną jako pojęcia pierwotne. Nie będziemy musieli korzystać więc z pojęcia *prawdy*. Pozostała zatem tylko kwestia eliminacji *fałszywych* równoważności. I tu z pomocą przychodzi nam uwikłane w definicję prawdy Tarskiego pojęcie znaczenia. Jeżeli bowiem zgodzimy się na to, że metajęzyk zawiera w sobie język przedmiotowy (czyli istnieje odpowiedni przekład zachowujący znaczenie), a ponadto nazwy zdań z języka przedmiotowego, to nie wydaje się, że przypadki takie jak te, które wymieniłem w przypisie mogłyby nam zagrozić. Problem ten pojawi się jednak z całą mocą w przypadku teorii znaczenia Davidsona.

Z innym jeszcze zarzutem wobec semantycznej definicji prawdy wystąpił Black. Zaznacza on, że poddaje krytyce jedynie filozoficzną doniosłość definicji Tarskiego, utożsamiając ową doniosłość z możliwością zastosowania definicji seman-

tycznej do języka naturalnego [Black 1948: 329]. Wydaje się, że tak sprecyzowany punkt wyjścia z góry przesądza o wyniku dociekań Blacka – Tarski uznał przecież, że jego definicja nie ma w przypadku języków naturalnych istotnego zastosowania. W rzeczywistości jednak daje on pewne nadzieje co do tego przedsięwzięcia zauważając, że dla pewnego fragmentu języka naturalnego można definicję semantyczną zastosować przez utworzenie odpowiedniej listy T-równoważności [Tarski 1933: 31]. Wydaje się, że w tę właśnie możliwość uderzają zarzuty Blacka. Zauważa on, że nawet gdyby udało się podać definicję prawdy dla wszystkich wyrażeń jakiegoś języka naturalnego, to wprowadzenie dowolnego nowego wyrażenia natychmiast czyniłoby tę definicję nieaktualną [Black 1948, 31]. Co gorsza, nie jest to tylko problem techniczny, wymuszający na nas ciągłą gotowość do poszerzania definicji. Okazuje się bowiem, że nie otrzymujemy żadnych wskazówek co do tego, jak mielibyśmy poszerzyć istniejącą już definicję. Wynika to z tego, że w przypadku języka naturalnego odmówiono nam możliwości korzystania z jakiegoś ogólnego schematu, który generowałby po prostu kolejne T-równoważności.

Jak z niektórymi odziedziczonymi po teorii prawdy Tarskiego problemami radzi sobie adaptujący ją na potrzeby teorii znaczenia Donald Davidson, zobaczymy w rozdziale trzynastym. Wpierw jednakże zajmiemy się semantyką Carnapa, w której autor ośmielony rehabilitacją pojęcia prawdy zaprzągł formalną maszynerię Tarskiego do ujarzmienia niejasnych, lecz inspirujących idei Wittgensteina.

Rozdział 9

Ekstensja, intensja i weryfikacja w późnej teorii Rudolfa Carnapa

Jak zauważyliśmy w rozdziale piątym, Carnapowi udało się powiedzieć zaskakująco wiele na temat znaczenia wyrażeń bez opuszczania terenu składni logicznej. Przypomnijmy, że powodem, dla którego stronił on od semantyki było przekonanie, że jest to najbezpieczniejszy sposób uniknięcia metafizycznego zaangażowania, którego tak bardzo obawiali się członkowie Koła Wiedeńskiego i obrony przed antynomią w rodzaju omawianej w poprzednim rozdziale antynomii kłamcy. „Odczarowanie" semantyki z pewnością należy przypisać Tarskiemu, którego wpływ na późniejsze propozycje Carnapa jest nad wyraz widoczny i często przez ich autora podkreślany [Carnap 1946: V]. Zwraca to uwagę szczególnie w *Introduction to Semantics* [Carnap 1946], ale w niniejszym omówieniu skupię się głównie na koncepcji wyłożonej w *Meaning and Necessity* [Carnap 1956]. Różnice między systemami wyłożonymi w obu tych pozycjach dotyczą głównie punktu wyjścia. W *Introduction* Carnap zaczyna od pojęcia prawdy i dochodzi do pojęć opisu stanu i zasięgu zdania, wspominając, że można by w analizie wyjść właśnie od nich. Tę możliwość rozwija w drugim przywołanym tekście.

Na początek chciałbym jednak zrobić pewną uwagę, która uchroni nas od pochopnego zarzucania Carnapowi całkowitego odejścia od idei empiryzmu logicznego. W *Meaning and*

Necessity chce on, że się tak wyrażę, upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Po pierwsze, zależy mu na przedstawieniu ścisłej teorii semantycznej, po drugie, chciałby pokazać, jak jego analizy sytuują się w filozoficznej tradycji badań nad znaczeniem wyrażeń. Drugi z tych celów jest dla niego w widoczny sposób mniej istotny, choć wiele fragmentów służy właśnie nawiązaniu do tradycji. Pojęcia zdefiniowane przez Carnapa w sposób ścisły mają stać się eksplikacją pewnych pojęć tradycyjnych. Dlatego też wyróżnić można w *Meaning and Necessity* trzy poziomy wyjaśnień. Po pierwsze mamy tu ścisłe definicje, które odwołują się jedynie do znanych nam już pojęć równoważności i L-równoważności. Po drugie, wprowadzone są, również ścisłe, ale jak się wydaje nie do końca, zdaniem Carnapa, bezpieczne pojęcia *intensji* i *ekstensji* (to, że Carnap traktuje je z pewnymi zastrzeżeniami, widać np. w wywodzie na stronie 49, gdzie zastrzega się, że terminy te są użyte jedynie w wyjaśnieniu, a nie w samej definicji, co wydaje się nieco paradoksalne w świetle tego, że cała analiza semantyczna z *Meaning and Necessity* określana jest jako metoda intensji i ekstensji). Trzeci poziom wyjaśnień stanowi odwołanie się do pewnych klasycznych pojęć filozoficznych, takich jak *własność* czy *sąd*. Ta chęć powiązania własnych analiz z tradycją filozoficzną może stać się, w oczywisty sposób, „kulą u nogi" filozofa, który badania swoje przeprowadza, powodowany m.in. pragnieniem rozjaśnienia zamętu, jaki pojęcia te wprowadziły. Dlatego też Carnap jest zdecydowany na ewentualną rezygnację z drugiego z tych celów na rzecz pierwszego, gdyby to było konieczne [Carnap 1956: 32]. Warto zatem pamiętać, że odwołanie się do pojęcia sądu czy własności nie powinno być odczytywane jako zdrada wobec antymetafizycznego obozu i ideałów z czasów *Logicznej składni języka*. Przejdźmy zatem do prezentacji koncepcji zarysowanej w *Meaning and Necessity*.

W swoich analizach semantycznych Carnap posługuje się tą samą metodą, co w analizach składni logicznej – bada pewien, utworzony dla potrzeb teorii, niezwykle prosty język symboliczny. Język ten zawiera wszystkie podstawowe stałe logiczne rachunku predykatów. Znamy reguły jego formacji (reguły transformacji należą nadal do składni) z analiz składni. W tym miejscu wkracza jednak semantyka w postaci dwóch rodzajów dodatkowych reguł – desygnacji i prawdziwości. W rzeczywistości oba te typy są ściśle ze sobą powiązane. Reguły prawdziwości ustalają warunki prawdziwości dla zdań analizowanego języka, ale – poza przypadkiem tabelek prawdziwościowych dla spójników – reguły te, by pełnić swą funkcję, wymagają odwołania się do reguł desygnacji. Należało się tego spodziewać, wszak warunkiem prawdziwości koniunkcji Hs∧Bs jest to, że oba jej człony są prawdziwe, ale o tym, że oba jej człony są prawdziwe nie mogę się już dowiedzieć z żadnej tabelki. W tym miejscu muszę już odwołać się do reguł desygnacji, które informują mnie, że H oznacza np. „bycie człowiekiem", B oznacza „bycie dwunogiem", a s – Waltera Scotta. Dzięki temu, mogę ustalić, czy prawdą jest, że „Walter Scott jest człowiekiem" i czy prawdą jest, że „Walter Scott jest dwunogiem". Wszystkie reguły prawdziwości wraz z regułami desygnacji stanowią indukcyjną definicję terminu „prawdziwy w S". Mamy tu więc zastosowanie wyników Tarskiego, z tą różnicą, że zamiast spełniania pojawia się desygnacja. Opisując reguły desygnacji posłużyłem się tu słowem „oznacza", co jest zgodne z nazwą, jaką Carnap nadaje temu typowi reguł. W rzeczywistości jednak Carnap posługuje się terminem „przekład" („s" is a symbolic translation of „Walter Scott" [Carnap 1956: 4]). Jest to dość istotna różnica. Wszystkie reguły semantyczne sformułowane są w metajęzyku, którym w tym przypadku jest język angielski (w moim przykładzie, oczywiście, polski). Na stronie 28 *Introduction to Semantics*, mówiąc o definicji praw-

dy Tarskiego, Carnap zauważa, że w przypadku, gdy metajęzyk różni się od języka przedmiotowego, musimy dodatkowo dysponować pojęciem przekładu. *Meaning and Necessity* nie zawiera już podobnej uwagi, choć metajęzyk, którego Carnap używa, jest w sposób oczywisty odmienny od języka przedmiotowego, który bada. Różnica ta mogłaby nie być taka oczywista, ponieważ warunki tożsamości dla języków nie są do końca jasne. Zapewne w niektórych przypadkach powinniśmy traktować metajęzyk jako odpowiednie rozszerzenie języka przedmiotowego, ale w przypadku języka symbolicznego jego odmienność od metajęzyka jest raczej ewidentna. Okazuje się, że co najmniej cztery pojęcia (znaczenie, interpretacja, przekład i warunki prawdziwości) są tu ze sobą silnie sprzężone. Związki tych pojęć nie wydają się jednak tak jasne, jak można by się było spodziewać po autorze przywiązującym tak dużą wagę do precyzji. Dowiadujemy się, że reguły prawdziwości ustalają warunki prawdziwości dla zdań, a więc ich interpretację [Carnap 1948: 22; Carnap 1956: 5]. Zdanie metajęzyka „Bs jest prawdziwe" ma to samo znaczenie co przekład Bs na metajęzyk [Carnap 1956: 6]. Wydaje się, że pojęcie przekładu lub interpretacji gra w semantyce Carnapa niezwykle istotną rolę, ale samo nie jest doprecyzowane w dostateczny sposób, co jest prawdopodobnie schedą po teorii Tarskiego. Można to zauważyć, zastanawiając się nad następującą kwestią. Załóżmy, że mamy dany za pomocą reguł formacji i transformacji język symboliczny S. Mogę wówczas, korzystając z zasobów mojego metajęzyka wypisać wiele różnych reguł desygnacji (w praktyce mógłbym to też zrobić z regułami prawdziwości, interpretując spójniki logiczne, jak mi się żywnie podoba, ale pominę tu tę kwestię). Oczywiście nie ma sensu mówić o tym, że jedna z nich jest lepsza od innej. Jakie są zatem w tej sytuacji warunki prawdziwości jakiegoś zdania S? Być może nie ma sensu mówić tu o dwóch przekładach czy interpretacjach

jednego języka. Być może są to po prostu dwa języki. W jaki sposób mielibyśmy to rozstrzygnąć? Sądzę, że rozwiązanie jest dość proste. Carnap posługuje się przykładem [Carnap 1956: 101], w którym dwaj logicy odmiennie pojmują przekład zdania języka niemieckiego na angielski. Robi to w celu bliższego określenia relacji między pojęciem własności a pojęciem zbioru, ale my możemy ten przykład wykorzystać w innym celu. Gdybym chciał dokonać semantycznej analizy jakiegoś niewielkiego fragmentu języka niemieckiego, posługując się językiem angielskim w roli metajęzyka, to dowolność w interpretacji natychmiast przestałaby istnieć. Dlaczego? Nie chodzi tu tylko o różnicę między językiem naturalnym a sztucznym. Najistotniejsza jest różnica między analizą semantyczną języka istniejącego, funkcjonującego a analizą języka, który sam tworzę. W tym drugim przypadku reguły desygnacji są częścią konstrukcji języka, w pierwszym są one opisem, który ma za zadanie jak najwierniej odwzorować język przedmiotowy. Owa wymagana wierność odwzorowania natychmiast zaczyna rodzić problemy – czy chodzi tu o przekład z zachowaniem znaczenia, odniesienia, czy może jeszcze czegoś innego. A skąd miałbym wiedzieć, że znaczenie zostało zachowane? Czy nie potrzebuję do tego analizy semantycznej mojego metajęzyka? Wrócę jeszcze później do tej kwestii; w tym miejscu warto jedynie odnotować, że propozycja Carnapa dotyczy języka tworzonego, a nie zastanego i że podanie reguł desygnacji powinno być potraktowane jako jeden z etapów konstrukcji.

Mamy więc zestaw reguł, które dostarczają nam interpretacji pewnego języka symbolicznego. Aby posunąć się dalej, potrzebujemy teraz dwóch istotnych pojęć – opisu stanu i zasięgu. *Opisem stanu* nazywa Carnap zbiór, który dla każdego zdania atomowego języka S zawiera albo to zdanie, albo jego negację i nic poza tym. Carnap uznaje pojęcie opisu stanu za eksplikat pojęcia „świat możliwy" Leibniza. Formułuje reguły,

które o dowolnym zdaniu języka S ustalają, czy zdanie to *zachodzi* w danym opisie stanu. *Zasięgiem* danego zdania jest zaś zbiór tych wszystkich opisów stanów, w których ono zachodzi. Carnap zauważa, że w ten sposób mamy ustaloną interpretację danego zdania, zauważając, że jest to zgodne z intuicją Wittgensteina (znać znaczenie zdania to wiedzieć, w jakich warunkach byłoby ono prawdziwe).

W tym momencie zdefiniować możemy L-prawdziwość zdań. Zwykłą równoważność już mamy – Zdania Hs i Bs są równoważne wtedy i tylko wtedy, gdy prawdą jest, że Hs ↔ Bs (przy czym symbol „↔" jest tu, jak wspomniałem, rozumiany standardowo – tak, że równoważne są zdania o tej samej wartości logicznej). Jak pamiętamy z paragrafu poświęconego składni logicznej, intuicje, które stały za pojęciem L-równoważności były takie, że L-prawdziwe jest zdanie, które jest prawdziwe jedynie na mocy reguł języka. Tym razem Carnap jest w stanie zdefiniować L-prawdziwość bez odwoływania się do pojęcia prawdy. L-prawdziwe jest zdanie, które zachodzi w każdym opisie stanu. Tu znów udaje się zachować zgodność z tradycją filozoficzną – jest to eksplikacja pojęcia prawdy koniecznej, czyli zdania prawdziwego we wszystkich możliwych światach albo też zdania analitycznego. W tym miejscu warto jednak zauważyć, że analityczność została ograniczona do prawd logicznych. Jak zauważył Quine, oprócz prawd logicznych, prawdziwych na mocy swej struktury, takich jak: „Każdy nieżonaty mężczyzna jest nieżonatym mężczyzną" istnieją jeszcze zdania analityczne, nie będące prawdami logicznymi, takie jak: „Każdy kawaler jest nieżonatym mężczyzną". Wydaje się zatem, że propozycja Carnapa jest stanowczo zbyt wąska. Carnap rozwiązał ten problem, wprowadzając jako swoisty suplement do reguł semantycznych „postulaty znaczeniowe", czyli specjalne reguły dodatkowe, ustalające relacje znaczeniowe wyrażeń. W naszym przypadku reguły

te sprawiają, że w każdym opisie stanu, w którym zachodzi zdanie „x jest kawalerem", nie zachodzi zdanie „x jest żonaty" oraz, że nie ma takiego opisu stanu, w którym zachodzi drugie z tych zdań i nie zachodzi pierwsze. Warto zauważyć, że choć pojęcie postulatów znaczeniowych pojawiło się dopiero w wyniku krytyki zbyt wąskiego pojęcia analityczności, to idea za nim stojąca obecna jest już na pierwszych stronach *Meaning and Necessity*. Po wyliczeniu reguł desygnacji Carnap dodaje, że predykaty RA i H (czyli odpowiednio, w przekładzie na metajęzyk – „jest zwierzęciem myślącym" i „jest człowiekiem") mają być „rozumiane" jako mające to samo znaczenie. Co ciekawe, odwołuje się później do tej uwagi tak, jakby była ona jedną z reguł, ponieważ uważa równoważność $\forall x$ (RA$x \leftrightarrow$ Hx) za zdanie L-prawdziwe.

Każde zdanie L-prawdziwe jest oczywiście również prawdziwe, ponieważ jeden z opisów stanów jest – jak to ujmuje Carnap – „prawdziwym opisem stanu", jednakże tego, którego nie możemy wykryć dzięki analizie semantycznej. Konieczne jest odniesienie się do rzeczywistości pozajęzykowej, możliwej dzięki regułom desygnacji.

W tym miejscu Carnap może wprowadzić warunki tożsamości dla *intensji* i *ekstensji*, a więc definicje wyrażeń „ta sama ekstensja" i „ta sama intensja". Zdania mają tę samą ekstensję, gdy są równoważne, tę samą intensję, gdy są L-równoważne. Następnie Carnap pokazuje, jak w łatwy sposób rozciągnąć te pojęcia, tworząc wyrażenia inne niż zdania. Predykaty np. mają tę samą ekstensję, gdy są wymienialne w zdaniach z zachowaniem równoważności oraz tę samą intensję, gdy wymienialność zachowuje L-równoważność. Ale czym są intensje i ekstensje? Czy jesteśmy w stanie coś o nich powiedzieć, czy też ograniczyć się musimy tylko do warunków ich tożsamości (to „tylko" jest tu nieco nie na miejscu, bowiem Carnap uznaje podanie warunków tożsamości za wystarcza-

jące do większości zastosowań analizowanych pojęć). Okazuje się, że naszą ciekawość można jednak zaspokoić.

Carnap przechodzi do wyjaśnień, które wywołały wiele kontrowersji i niesłusznych zarzutów. Wychodząc naprzeciw naszej ciekawości stwierdza, że intensją predykatu jest własność, ekstensją zaś odpowiednia klasa przedmiotów. Ekstensją predykatu H jest klasa wszystkich ludzi, jego intensją – własność bycia człowiekiem. Potraktowanie ekstensji jako klas przedmiotów zgadza się, oczywiście, z podanymi definicjami ścisłymi, ponieważ jeśli dwa predykaty odnoszą się do tej samej klasy przedmiotów, to dowolne zdanie zawierające jeden z nich nie zmieni swej wartości logicznej po wymienieniu na drugi (a więc będzie równoważne ze zdaniem wyjściowym). Jest tak, ponieważ prawdziwość i fałszywość wiąże się tylko z jednym, prawdziwym opisem stanu – interesuje nas więc, dla których stałych zachodzą zdania atomowe zbudowane za pomocą tego predykatu. Własności wydają się dobre jako przykład intensji, ponieważ warunkiem tożsamości dwóch własności jest możliwość wykazania ich równoważności środkami *stricte* logicznymi. Dwie własności są identyczne, gdy są L-równoważne (czyli identyczne z konieczności), dokładnie tak, jak intensje. Użyjmy znanego już przykładu z „sercowcami" i „nerkowcami" – są to predykaty równoważne (bo nazywają ten sam zbiór przedmiotów), ale nie L-równoważne, ponieważ żadna z reguł języka owej równoważności nie ustanawia, istnieją zatem opisy stanów, w których nie wszystkie nerkowce są sercowcami. Jeżeli pamiętać będziemy, że opisy stanów są eksplikatami możliwych światów, to dojdziemy do znanego już argumentu – nie są to te same własności, bo coś mogłoby być nerkowcem, ale nie sercowcem.

W przypadku zdań ekstensją jest wartość logiczna, a intensją sąd, który zdanie wyraża. W przypadku wyrażeń jednostkowych ekstensją jest przedmiot nazywany tą nazwą,

a intensją pojęcie jednostkowe (to z pewnością najmniej jasna z intensji). Odwołanie się do sądów, własności czy pojęć jednostkowych wydało się wielu krytykom Carnapa całkowitym odejściem od antymetafizycznego nastawienia. Jak napisałem wcześniej, Carnap nie jest jednak do żadnej ze swych intensji zbytnio przywiązany. Istotne są pojęcia równoważności i L-równoważności (zdefiniowanej dzięki pojęciu opisu stanu), ale najistotniejsza wydaje się intuicja, że w przypadku zdań ich znaczeniem są ich warunki prawdziwości, chodzi zatem o to, by wiedzieć, w jakich warunkach zdanie byłoby prawdziwe. Do ustalenia intensji nie wystarczy nam wiedza, że zdanie **jest** prawdziwe.

Rozważmy przykład, którym posługuje się Carnap. Załóżmy, że język nasz jest wyposażony w predykaty: H – „być człowiekiem", F – „być bezpiórym" i B – „być dwunogiem". Dysponujemy też stałą „s", oznaczającą Waltera Scotta. Załóżmy, że wprowadzamy nowy predykat, K, zinterpretowany za pomocą następującej reguły:

> *K ma być nazwą zarazem klasy ludzi, jak i klasy bezpiórych dwunogów (jako tej samej klasy).*

Carnap zauważa, że taka reguła nie dostarcza nam interpretacji predykatu K; choć wiemy, że Ks jest prawdziwe, to nadal nie wiemy, w jakich warunkach **byłoby** prawdziwe. Nie wiemy, czy wystarczy, że zachodzi samo Hs, samo Fs^Bs, czy też może chodzi o koniunkcję albo dysjunkcję tych warunków, zatem nie znamy znaczenia predykatu K, nie rozumiemy go [Carnap 1956: 112]. Warto zwrócić uwagę na to, że jest to intuicja, z którą spotkaliśmy się już przy okazji omawiania teorii Milla – możemy znać wszystkie przedmioty, do których odnosi się dany predykat, ale nadal nie jesteśmy w stanie ustalić, jakiej własności on odpowiada.

Krytyka uderzająca w rzekome metafizyczne zaangażowanie teorii semantycznej Carnapa przyczyniła się do lepszego wyjaśnienia pewnych istotnych założeń jej autora. Carnap nie uważał, że posługiwanie się terminami takimi jak „sąd", „pojęcie" czy „własność" w nieuchronny sposób pogrąża nas w metafizycznych sporach i nakłada na nas ontologiczne zobowiązania, którym nie będziemy w stanie sprostać, zachowując filozoficzną jasność. Istotne jest to, jakie zdania buduje się za pomocą tych terminów. Powiedzenie np., że intensją predykatu jest własność niczego jeszcze nie przesądza – jeśli tylko wiemy, co znaczy „posiadać tę samą intensję". Co więcej, Carnap jest w stanie powiedzieć coś o naturze sądów i własności, twierdzi bowiem, że nie są one ani obiektami językowymi ani mentalnymi. Skąd o tym wie? Czy potrzebny mu jest do tego jakiś specjalny wgląd w istotę sądu i własności? Nie, o tym, że nie są to obiekty językowe czy mentalne dowiadujemy się dzięki temu, że w definicjach, w których pojęcia te występują nie odwołujemy się ani do wyrażeń językowych, ani do użytkowników języka. To wystarczy, zdaniem Carnapa, do rozstrzygnięcia kwestii statusu ontologicznego tych obiektów.

Problem pytań takich jak: „Czym jest własność" albo „Czym jest przedmiot" pojawia się już w wyłożonej w *Logicznej składni języka* koncepcji słów uniwersalnych – są to słowa, które wyrażają własność przysługującą analitycznie wszystkim przedmiotom danego rodzaju (słowami takimi są np. „liczba", „rzecz" itd. W artykule *Empiricism, Semantics, and Ontology* Carnap rozróżnia dodatkowo dwa rodzaje pytań – *wewnętrzne* i *zewnętrzne*. Pytania wewnętrzne dotyczą usytuowania przedmiotu wewnątrz danego systemu. Gdy pytam np.: „Czy na tym biurku znajduje się biała kartka papieru", to zadaję pytanie wewnętrzne – pytam o usytuowanie pewnego przedmiotu w przestrzeni. Pytania zewnętrzne dotyczą jednak istnienia samego systemu – pytanie tego typu zadaje sobie ktoś

chcący wyrobić sobie pogląd w sprawie sporu realizm – idealizm. Ale to drugie pytanie pozbawione jest sensu, ponieważ pytanie o istnienie zawsze jest pytaniem o usytuowanie w obrębie danego systemu. Carnap zauważa, że pytania zewnętrzne zadaje się zazwyczaj po to, aby ustalić, czy dany system przyjąć, czy odrzucić, np. chcemy wiedzieć, czy powinniśmy traktować liczby jako klasy klas, czy też jest to podejście niewłaściwe. Decyzja o przyjęciu lub odrzuceniu danego systemu (wraz z całym jego arsenałem kategorii, czyli słów uniwersalnych) może być jednak, zdaniem Carnapa, podyktowana jedynie względami pragmatycznymi. Jak zobaczymy w rozdziale jedenastym, idee te podjął Quine. U niego również pytania o to, czy w danym języku (systemie) coś jest przedmiotem, czy może procesem lub stanem nie mają żadnego wyraźnego sensu. Herbert G. Bohnert przytacza pouczającą anegdotę [Hintikka 1975] dotyczącą tego, jak próbował dowiedzieć się od Carnapa, co właściwie rozumie przez własność. Carnap zbywał go, myśląc, że pytanie nie jest zadawane poważnie. Gdy zorientował się, że jest to rzeczywista wątpliwość studenta, spoważniał i po dłuższej pauzie oznajmił: „Dobrze, zdefiniuję teraz własność". Podszedł do tablicy i napisał: $P(F) \leftrightarrow F=F$. Oznaczało to, że dowolne F jest predykatem wtedy i tylko wtedy, gdy jest identyczne samo ze sobą. „Ale w takim razie wszystko jest własnością" – zareagował natychmiast student. „Wszystko w obrębie tego typu" – odparł Carnap. Język, którym posługiwano się na zajęciach logiki Carnapa wyróżniał predykaty w taki sposób, że w odróżnieniu od zmiennych były one pisane dużymi literami. Jak widać, Carnap nie uważał, że jakiekolwiek dodatkowe wyjaśnienia są tu potrzebne.

Mówiąc o ekstensji i intensji, Carnap powołuje się na wymienialność wyrażeń w zdaniach. Ale co z kontekstami nieekstensjonalnymi, które przysporzyły tyle kłopotu Fregemu? Czy teoria semantyczna Carnapa radzi sobie z ich analizą?

Czy tożsamość intensji (a więc L-równoważność odpowiednich wyrażeń) jest wystarczającym warunkiem synonimiczności, tak rozumianej, by można było uznać, że uzyskaliśmy adekwatną eksplikację pojęcia znaczenia? Okazuje się, że nie, co łatwo pokazać. Rozważmy dwa zdania:

(1) *Jan wierzy, że D*

(2) *Jan wierzy, że D'*

Jeżeli D będzie jakąś podstawową prawdą logiczną, np. prawem wyłączonego środka, to zdanie (1) jest, oczywiście, prawdziwe. Załóżmy jednak, że D' również jest jakąś prawdą logiczną, ale odznacza się dużym stopniem skomplikowania, niech to będzie np. jakieś mało znane twierdzenie z dzieła *Principia Mathematica*. Wtedy, choć D i D' są L-równoważne (ponieważ są prawdami logicznymi), to zdanie (2) jest fałszywe. Okazuje się więc, że L-równoważność jest warunkiem zbyt słabym, by zagwarantować wymienialność w kontekstach nieekstensjonalnych. Rozwiązaniem Carnapa jest wprowadzenie dodatkowego pojęcia – *izomorfizmu intensjonalnego*. Dwa wyrażenia są intensjonalnie izomorficzne, gdy są zbudowane w taki sam sposób z L-równoważnych elementów. Różnica w owym „sposobie zbudowania" odpowiadać ma właśnie za sytuacje, w których ktoś wie, że D, ale nie wie, że D'. Przez „ten sam sposób zbudowania" Carnap rozumie tu coś słabszego od tożsamości struktury syntaktycznej (taką propozycję zgłaszał Putnam). Carnapowi chodzi raczej o podobieństwo polegające na tym, że elementy dwóch wyrażeń dają się na siebie jednoznacznie odwzorować i zachodzi wtedy między nimi L-równoważność. Intensjonalnie izomorficzna jest para „2 + 5" i „II sum V", ale także para „2 + 5" i „Sum (2, 5)". Dopiero o wyrażeniach intensjonalnie izomorficznych możemy powiedzieć, że są syno-

nimiczne. Należy jednak pamiętać, że pojęcie izomorfizmu strukturalnego wykorzystane jest jako eksplikacja pojęcia znaczenia tylko w przypadku języków nieekstensjonalnych, w pozostałych przypadkach pojęcie intensji okazuje się całkowicie zadowalające. Dodatkowe, mocniejsze pojęcie potrzebne było dopiero przy analizie zdań psychologicznych. Wynika to z tego, że drugi z kłopotliwych dla teorii znaczenia kontekstów – kontekst modalny – został w teorii Carnapa zanalizowany dzięki pojęciu opisu stanu.

Choć problem kontekstów nieekstensjonalnych nie jest głównym tematem tej pracy, to ze względów wskazanych już we wstępie warto, abyśmy na chwilę zatrzymali się przy propozycji Carnapa, a w szczególności przy krytyce tej propozycji. Intensjonalny izomorfizm jako eksplikat pojęcia znaczenia był szeroko dyskutowany, ale najdotkliwsza okazała się krytyka B. Matesa. Załóżmy, że naszym zdaniem D jest zdanie: „Każdy Grek jest Grekiem", a zdaniem D' zdanie utworzone z D za pomocą podstawienia w jednym z miejsc synonimicznego z „Grek" (i w trywialny sposób izomorficznego intensjonalnie) wyrażenia „Hellen". W ten sposób uzyskujemy zdania:

(3) *Nikt nie wątpi, że ktokolwiek wierzy, że każdy Grek jest Grekiem, ten wierzy, że każdy Grek jest Grekiem.*

(4) *Nikt nie wątpi, że ktokolwiek wierzy, że każdy Grek jest Grekiem, ten wierzy, że każdy Grek jest Hellenem.*

Problem polega na tym, że choć zdanie (3) jest w oczywisty sposób prawdziwe, to (4) może być fałszywe. Krytyka Matesa jest o tyle istotna, że uderza w dowolną teorię znaczenia. Jedynym sposobem wywikłania się z jego zarzutu wydaje się uznanie, że synonimiczne są jedynie wyrażenia równo-

kształtne[33]. Sądzę, że zarzut Matesa uzmysławia nam w rzeczywistości pewną niejasność, związaną z oczekiwaniami od użytkownika języka. Dlaczego zdanie (4) może być fałszywe? Jest tak, ponieważ rzeczywiście istnieć mogą ludzie, którzy nie wiedzą, że terminy Hellen i Grek znaczą to samo. Nie są to synonimy w ich idiolekcie. Ale czy o takich osobach można by bez cienia wątpliwości powiedzieć, że znają język? Nikt nie zna wszystkich słów swego języka, ale ilu słów ma nie znać, abyśmy uznali, że nie posługuje się danym językiem? Być może problemem jest tu nie tyle pojęcie synonimiczności, tak czy inaczej pojmowane, ile właśnie nieostrość wyrażenia „posługujący się językiem polskim". Czy wiedza o tym, że Grecy to Hellenowie jest składnikiem kompetencji językowej, czy stanowi element wiedzy o świecie? Wydaje się to jakoś zależeć od tego, czy zdanie: „Każdy Grek jest Hellenem" jest zdaniem analitycznym, czy nie. Jak zobaczymy w rozdziale jedenastym, problem zdań analitycznych okaże się jednym z głównych powodów, dla których eksplikację Carnapa trudno uznać za satysfakcjonującą.

Należy jednak pamiętać, że Carnap nie uważa swojej teorii znaczenia za teorię języka naturalnego, interesuje go badanie symbolicznych, skonstruowanych języków, dlatego też kłopoty z eksplikacją tego typu kontekstów nie dyskredytują jego teorii. Nawet w przypadku języka nauki, którym autor ten jest szczególnie zainteresowany, zdania o przekonaniach czy wierzeniach nie odgrywają żadnej znaczącej roli. Mogłyby pojawić się co najwyżej w psychologii, ale Carnap z pewnością postulowałby ich eliminację lub raczej redukcję do języka psychologii behawioralnej. Chociaż jest to w *Meaning and Necessity* pomijane, to nie możemy zapominać, że nie definiuje się tu pojęcia „znaczenia", a jedynie „znaczenie w S", zatem wyniki analiz zrelatywizowane są do konkretnego, prostego języka.

33 Do tak pesymistycznych wniosków dochodzi Goodman [1949].

Prowadzi to nas jednak do pewnego bardzo istotnego pytania. Jakich efektów dostarczył projekt eksplikacji, o którym przecież autor *Meaning and Necessity* nieraz wspomina? Jeśli mielibyśmy pamiętać o relatywizacji do języka, to można by zaryzykować twierdzenie, że dotychczasowe próby wypracowania adekwatnej teorii znaczenia były prototypami teorii pojęcia „znaczenie w N", gdzie N oznaczałoby pewien język naturalny. Jak mają się do siebie analizy Carnapa i mętne pojęcie znaczenia, którego mają być eksplikacją? Być może zamiary autora przyniosły jedynie efekt połowiczny i udało się stworzyć teorię „znaczenia w S", ale nie da się tego pojęcia nijak powiązać z poszukiwaną przez wielu innych teorią „znaczenia w N"? Można tę trudność wysłowić jeszcze inaczej. Jak pamiętamy, Carnap zarzucał Fregemu stworzenie koncepcji, która generowała nieskończoną liczbę przedmiotów szczególnego typu, mianowicie sensów. Autorowi *Meaning and Necessity* udało się tego uniknąć dzięki wyraźnemu rozgraniczeniu języka i metajęzyka. Ale co ze znaczeniami w metajęzyku? Zagadkę znaczeń i odniesień może wyjaśnić, co najwyżej, teoria sformułowana w meta-metajęzyku. Łatwo zobaczyć, że zamiast nieskończonej liczby sensów tworzymy nieskończony ciąg języków. Zarzut ten wydawać się może dość absurdalny, bowiem przypomina zarzucanie komuś, że tworząc podręcznik gramatyki, wyjaśniając czym jest podmiot i orzeczenie posługuje się zdaniami o strukturze podmiotowo-orzecznikowej. Nikt nie zapoznaje się z podręcznikiem gramatyki własnego języka po to, aby nauczyć się mówić (choć może w wyniku tej lektury skorygować to i owo). Widać, że mamy tu do czynienia z jakimś nieporozumieniem. Carnap wyraża się czasem tak, jakby teoria semantyczna miała być pewnego rodzaju „instrukcją obsługi języka". Istnieje jednak różnica między teoretycznym opisem a poradnikiem, choć niewątpliwie występuje między

nimi pewne sprzężenie – opis teoretyczny może usprawnić techniki nauczania, a wgląd w techniki nauczania może niekiedy powiedzieć coś o naturze nauczanego zjawiska. Mimo to nikt nie spodziewa się, że lektura podręczników anatomii i fizyki sprawi, że nauczy się jeździć na rowerze. Metafora „instrukcji obsługi" jest jak najbardziej na miejscu w przypadku sztucznego języka stworzonego dla potrzeb danego przedsięwzięcia, ale jest całkowicie myląca w przypadku języka naturalnego. Przyczyny nieporozumienia nietrudno wskazać. Carnap wydaje się dawać czytelnikowi sprzeczne sygnały – z jednej strony zarzeka się, że uprawia czystą semantykę, analizę sztucznych systemów symbolicznych, czego nie należy mylić z semantyką deskryptywną, posługującą się zupełnie innymi metodami. Z drugiej strony, daje czytelnikowi nadzieję, twierdząc, że zaproponowane na gruncie tej pierwszej pojęcia są eskplikatami niejasnych odpowiedników tej drugiej. W jaki jednak sposób mielibyśmy oceniać powodzenie tego projektu? Carnap wprost przyznaje, że nie uważa, aby wybory, których dokonał przy konstruowaniu definicji były arbitralne. Posługuje się metodą w stylu Tarskiego. Dla każdej z podanych ścisłych definicji istnieje warunek jej adekwatności, wyrażający nasze intuicje co do jej niejasnego odpowiednika. Podobnie jak klasyczna definicja prawdy wyraża intuicję, która ma być odzwierciedlona w semantycznej definicji prawdy Tarskiego. Daje to zatem pewne nadzieje na powodzenie przedsięwzięcia eksplikacji. Ale korzystając z wyraźnego odgraniczenia języków sztucznych i naturalnych, można nadal pytać o opis teoretyczny tych ostatnich – będzie to sensowna wersja pytania o znaczenie w metajęzyku. Czy możemy w jakiś sposób stworzyć teorię semantyczną języka naturalnego? Carnap jest w tej kwestii optymistą. Semantyka deskryptywna również może być ścisła, musi ona jednakże operować w ramach analizy

behawioralnej[34]. W jaki sposób teorię taką można by zbudować, zobaczymy niedługo, przy okazji omawiania koncepcji Quine'a, który, mimo spełnionych warunków adekwatności uważał, że eksplikacja, której dokonał Carnap jest – w wyniku braku wiążących rezultatów analizy pragmatycznej – bezużyteczna.

Widzieliśmy już, że najistotniejszymi, zdaniem Carnapa, pytaniami dotyczącymi znaczenia wyrażeń są: „Kiedy dwa wyrażenia mają to samo znaczenie?" i „Kiedy wyrażenie ma sens?" Odpowiedzi na drugie z tych pytań, a więc na pytanie o kryteria sensowności wyrażeń, udzielić miała weryfikacyjna teoria znaczenia. Idea leżąca u podstaw tej teorii pojawiła się w filozofii jeszcze w wieku XIX u Macha – wymogiem naukowości jest możliwość potwierdzenia lub obalenia danej tezy. Jednakże dopiero wygłoszone przez Wittgensteina hasło: *sensem zdania jest metoda jego weryfikacji* sprawiło, że Koło Wiedeńskie poważnie zainteresowało się weryfikacją jako kryterium znaczenia – na tę inspirację ze strony Wittgensteina Carnap wskazuje wprost [Carnap 1936: 70–71]. Nie ulega wątpliwości, że wyróżniony slogan zrobił w swoim czasie w filozofii niemałą karierę. Nietrudno jednak spostrzec, że rodzi on wiele niejasności. Weźmy pod uwagę jakieś trywialne zdanie, np.: „Piec jest gorący". Metodą weryfikacji tego zdania jest np. dotknięcie pieca ręką. Powiedzenie, że znaczeniem tego zdania jest dotknięcie pieca wydaje się jednak dość dziwaczne. Co więcej, istnieje wiele metod weryfikacji tego zdania, np. zmierzenie temperatury rzeczonego pieca za pomocą termometru. Czy obie metody są tożsame ze znaczeniem wyjściowego zdania? Czy w takim razie wyrażenia

34 Behawioryzm jest tu, jak w większości przypadków, metodą zastępczą – idealne byłoby, oczywiście, posiadanie kompletnego schematu działania umysłu, czym być może kiedyś uraczy nas neurobiologia. Carnap wspomina pośrednio o takiej możliwości, pisząc o analizie zachowań językowych robota, którego schematem dysponujemy.

będące ich nazwami są synonimiczne? Wydaje się, że nie, ponieważ zdania: „Mierzę temperaturę pieca termometrem" i „Dotykam pieca" synonimiczne nie są – mają one zupełnie inne metody weryfikacji. Jest zatem jasne, że odwołanie się do metody weryfikacji nie objaśnia zwrotu „znaczenie *x*" – wyjaśnia ono zwrot „znać znaczenie *x*" lub „wiedzieć, co *x* znaczy". Wiem, co znaczy zdanie „Piec jest gorący", gdy wiem, że metodą jego weryfikacji jest jego dotknięcie lub, co jest strategią rozsądniejszą – zmierzenie jego temperatury termometrem. Daje to nadzieję, że uzyskamy odpowiedź na interesujące nas pytanie – kiedy wyrażenie posiada znaczenie, a więc jest sensowne – jest tak wtedy, gdy wiemy, co mogłoby je zweryfikować. Jednakże od razu pojawiają się tu dwie niejasności. Po pierwsze – wątpliwości dotyczyć mogą słowa „wiemy" – jak rozumieć tę relatywizację? Choć w większości definicji Carnap posługuje się relatywizacją do użytkownika języka, to nic nie stoi na przeszkodzie temu, by relatywizować sensowność wyrażeń do całej społeczności językowej, uzyskując w ten sposób kryterium sensowności w danym języku. Drugim sformułowaniem, które może rodzić podejrzenia jest słowo „mogłoby" – czy modalność jest tu jedynie kwestią stylistyki? Okazuje się, że nie. Jest jasne, że w wielu przypadkach nie tylko nie znam aktualnej wartości logicznej danego zdania, ale też nie jestem w stanie wskazać istniejącej metody jego rozstrzygnięcia. Nie chcielibyśmy jednak uznawać takich zdań za nonsensowne. Nauka roi się od hipotez, których ewentualna weryfikacja to kwestia odległej przyszłości, zależna od rozwoju naszych metod. Skoro wspomnieliśmy już o nauce, to przypomnijmy sobie raz jeszcze oryginalne sformułowanie Macha. Nie dotyczyło ono problemu sensowności – chodziło w nim o zagadnienie naukowości. Mimo że inspirowany przez Macha, Wittgenstein mówił już wprost o sensowności zdań, napięcie między pojęciami sensowności i naukowości (rozumianej jako prawo obywatelstwa

w nauce) pozostało jedną z głównych cech wyróżniających weryfikacyjną teorię znaczenia. Weryfikacja, o której tu mowa to swego rodzaju związek zdania z rzeczywistością empiryczną. Zdanie, które związków takich nie posiada – a więc jest od empirii całkowicie niezależne – nie posiada również żadnego sensu. Współgra to, oczywiście, z inną spośród tez Wittgensteina – o nonsensowności tautologii.

Weryfikacjonizm stał się nowoczesną wersją słynnego Hume'owskiego postulatu z zakończenia *Badań dotyczących rozumu ludzkiego*. Główną motywacją stojącą za weryfikacjonizmem nie była bowiem chęć wypracowania teorii znaczenia, odpowiadającej językom naturalnym czy nawet idealnemu językowi nauki – była nią chęć oczyszczenia nauki z metafizycznych wtrętów i zdeprecjonowania tych ostatnich jako nonsensownych, a nie jedynie fałszywych. Wydaje się zresztą, że motywacja ta była głównym powodem niepowodzenia przedsięwzięcia, jakim była weryfikacyjna teoria znaczenia. Wciąż okazywało się bowiem, że zaproponowane precyzacje wyjściowego sloganu prowadziły do (a) konieczności uznania za nonsensowne zdań, które z góry uznawaliśmy za przynależące do języka nauki, a nie metafizyki lub (b) konieczności uznawania za sensowne zdań, które uważano za nieuleczalnie metafizyczne. Sytuacja (b) była często szczególnym przypadkiem całkowicie zniechęcającej konsekwencji, którą stanowiła konieczność uznania dowolnego zdania za sensowne.

Początkowo zwolennicy tezy weryfikacjonizmu nie potrafili zgodzić się co do charakterystyki tzw. „zdań protokolarnych" – zdań, które umożliwiałyby weryfikację wszelkich innych sensownych zdań nauki. W praktyce były one substytutem rzeczywistości pozajęzykowej, nie chciano bowiem mówić wprost o metafizycznej relacji odniesienia [Sady 2000]. Relacja ta opierała się nawet proponowanemu przez Carnapa przekładowi tez filozoficznych z trybu materialnego na tryb formalny, a zatem z języka

metafizyki na język składni. Wiele z podawanych przez Carnapa przykładów wydaje się dopuszczalną interpretacją wyjściowych tez. Przełożenie zdania: „Gwiazda Poranna i Gwiazda Wieczorna są tożsame" na „Wyrażenia «Gwiazda Wieczorna» i «Gwiazda Poranna» są synonimiczne" [Carnap 1935, 41] może być dyskusyjne np. ze względu na uznanie pojęcia synonimiczności za składniowe, ale trudno byłoby odrzucić je z góry jako absurdalne. Inaczej jest jednak z metafizycznym zdaniem: „W tej książce mówi się o Afryce". Problematyczne wyrażenie „jest o", wskazujące na niewygodną relację odniesienia, zostaje tu wyeliminowane w sposób dość komiczny – odpowiednia propozycja w trybie formalnym to: „W tej książce występuje wyraz «Afryka»" [Carnap 1935: 41]. Fakt, że Carnap posługuje się tym ostatnim przykładem w swej *Filozofii jako analizie języka nauki* sprawia, że również dzieło Carnapa jest „o Afryce", co powinno autora proponowanego przekładu zastanowić. Niewdzięczna rola, jaką pełniły w teorii weryfikacyjnej zdania protokolarne zaczynała być z czasem coraz bardziej widoczna. Ich znaczenie zmieniło się nieco wraz z zaakceptowaniem semantyki jako dziedziny naukowej, ale ich semantyczne wersje w postaci zdań i predykatów obserwacyjnych również przysparzały problemów. Jak zobaczymy później, problem wyróżnienia i opisania specjalnej klasy zdań, które nadawałyby sens pozostałym zdaniom języka pojawi się również w teorii znaczenia jednego z krytyków weryfikacjonizmu – Quine'a.

Trudnością, która nasunęła się twórcom weryfikacyjnej teorii znaczenia już na samym początku było to, że zdania z kwantyfikatorem ogólnym stawały się w niej nonsensami – są one bowiem nieweryfikowalne[35] ze względu na nieskoń-

35 Odwołanie się do kryterium falsyfikacji prowadzi do bliźniaczych problemów – tym razem w przypadku zdań egzystencjalnych. Stosowanie obu kryteriów naraz nie rozwiązuje problemu, ponieważ pozostają zdania o kwantyfikacji mieszanej.

czoną liczbę wymaganych obserwacji wyrażanych odpowiednimi zdaniami protokolarnymi. Uznanie wyrażanych takimi zdaniami praw przyrody za metafizyczne relikty przeszłości byłoby raczej trudne do przyjęcia. Trzeba więc było wypracować innego rodzaju rozwiązanie. Problem ten rozstrzygnęła subtelniejsza propozycja Carnapa – weryfikacja zdania ogólnotwierdzącego nigdy nie jest całkowita, ale sensowność tego zdania zapewnia mu jego udział w procesie inferencji odpowiednich zdań protokolarnych. Jeżeli dane zdanie A w powiązaniu z jakimś innym zdaniem B pozwala na wywnioskowanie zdania obserwacyjnego, którego bez udziału zdania A wywnioskować się nie da, zdanie A uznać możemy za sensowne. Prowadzi to do paradoksalnych konsekwencji – jeśli zdaniem A będzie dowolne zdanie, np. jakieś twierdzenie metafizyczne, a zdaniem B implikacja, której poprzednikiem będzie zdanie A, natomiast następnikiem dowolne zdanie obserwacyjne C, to zdanie C będzie można wydedukować z koniunkcji A i B, ale nie z żadnego z jej członów oddzielnie. Oznacza to, że oba człony tej koniunkcji, w szczególności A, co do którego chcielibyśmy, aby było pozbawione sensu, są zdaniami sensownymi. Konsekwencji tej udało się uniknąć, ale był to jedynie początek długiej serii prób precyzacji postulatu weryfikacjonizm i obalających je kontrprzykładów w tym stylu[36].

Mającą przynieść ratunek zmianą podejścia do tematu miało się stać przeniesienie uwagi ze zdań na terminy. W miejsce zdań obserwacyjnych wprowadzono predykaty obserwacyjne, które odpowiadały za usensownienie złożonych z nich zdań. Był to, w pewnej mierze, zabieg kosmetyczny, ponieważ definicja predykatu obserwacyjnego odnosiła się do własności zdania utworzonego z tego predykatu z odpowiednio dobranym

36 Czytelników zainteresowanych dalszymi etapami tej precyzacji odsyłam do: Jedynak [1998].

argumentem. Predykaty inne niż obserwacyjne, a w szczególności predykaty teoretyczne, w które obfituje język nauki, miały być redukowalne do obserwacyjnych za pomocą definicji lub tzw. par redukcyjnych. Ta druga możliwość wprowadzona została, ponieważ szybko zorientowano się, że niektórych potrzebnych w nauce predykatów, których nie chcielibyśmy wyrzucać na metafizyczny śmietnik, nie da się za pomocą definicji wyraźnych wprowadzić. Przykładem są predykaty dyspozycyjne, takie jak „rozpuszczalny". Próba wprowadzenia tego predykatu za pomocą definicji wyraźnej, opartej na implikacji: „jeśli *x* rozpuszcza się w wodzie, to *x* jest rozpuszczalny", prowadzi, ze względu na własności implikacji, do niepożądanego wniosku, że każdy przedmiot, który nigdy nie był zanurzony w wodzie jest rozpuszczalny. Sposobem wprowadzenia takiej definicji jest jednak definicja kontekstowa – „jeśli *x* jest umieszczony w wodzie, to jeśli *x* jest rozpuszczalny, to rozpuszcza się". Parą redukcyjną dla danego predykatu Q_3 są zdania:

$$Q_1 \rightarrow (Q_2 \rightarrow Q_3)$$

$$Q_4 \rightarrow (Q_5 \rightarrow \sim Q_3)$$

Q_1 i Q_4 opisują warunki pewnego eksperymentu, a Q_2 i Q_5 – jego wyniki. Wskazana para zdań nie definiuje predykatu Q_3, ale redukuje go do pozostałych w tym sensie, że pozwala nam łatwo wyodrębnić obserwowalne sytuacje, w których możemy o danym przedmiocie orzec interesujący nas nieobserwacyjny predykat Q_3 oraz sytuacje, w których o danym przedmiocie orzec możemy jego zaprzeczenie [Carnap 1936: 99–100].

Podział na predykaty teoretyczne i obserwacyjne rodzi jednakże pewne niechciane konsekwencje. Jak zauważa Putnam [1962a: 217], bycie przedmiotem obserwowalnym jest przykładem teoretycznego predykatu odnoszącego się wyłącznie do

przedmiotów obserwowalnych, co wydaje się nieco paradoksalne. Co więcej, z łatwością można skonstruować wyrażenie, które powstaje jedynie z predykatów obserwacyjnych, ale odnosi się do nieobserwowalnych obiektów, takich jak „ludzie zbyt mali, by ich widzieć".

Dlatego też weryfikacyjna teoria znaczenia nie przyniosła rozwiązań, których po niej oczekiwano, prowadząc często do konsekwencji niezgodnych z zamierzeniami jej twórców. Było tak, choć wyrażona w swej najostrożniejszej wersji intuicja stojąca za weryfikacjonizmem wydaje się oczywista i niepodważalna – rozumienie zdania wiąże się z warunkami jego prawdziwości. Związek ten wyraża się w dwóch zależnościach. Po pierwsze, aby wiedzieć, czy zdanie jest prawdziwe czy nie, trzeba je rozumieć, a więc „uchwycić" jego znaczenie. Co do tej zależności trudno mieć jakieś zastrzeżenia, poza tym, że wiele zależy od tego, czym właściwie miałoby być owo „uchwycenie znaczenia". Po drugie, jest to jednakże krok znacznie mniej oczywisty – rozumiejąc zdanie, powinniśmy być w stanie stwierdzić, co musiałoby zajść, aby było ono prawdziwe. Jak zobaczymy, idee teorii weryfikacyjnej pojawią się jeszcze w dalszych rozważaniach. Wspominałem już, że kategoria zdań obserwacyjnych powróci u Quine'a, a związkiem między warunkami prawdziwości a znaczeniem dokładniej zajmie się Davidson, choć – jak zobaczymy – będzie je rozumiał w mocno odmienny sposób.

Część III
DESTRUKCJA

Rozdział 10

Późny Wittgenstein, czyli gry językowe

Jak wspomniałem już w części poświęconej obrazkowej teorii znaczenia, po latach Wittgenstein odciął się od pozycji zajmowanych uprzednio w *Traktacie logiczno-filozoficznym*. Wypracował również coś na kształt teorii konkurencyjnej. Użyłem tu określenia „coś na kształt", ponieważ propozycja późnego Wittgensteina jest w jego tekstach (przede wszystkim w *Dociekaniach flozoficznych*) [Wittgenstein 1953] wypowiedziana w mało systematycznej i przejrzystej formie, z czego jej autor zdawał sobie doskonale sprawę. Jednak nie możemy tu propozycji późnego Wittgensteina pominąć, ponieważ – podobnie jak w przypadku obrazkowej teorii znaczenia – teoria znaczenia jako użycia[37] stała się dla wielu inspiracją, a niejasności i (być może pozorny) brak konsekwencji autora nie okazał się przeszkodą nie do przebycia. Dotyczy to nie tylko tzw. szkoły oksfordzkiej, której przedstawiciele powoływali się bezpośrednio na *Dociekania* (koncepcje tej szkoły nie są w niniejszej pracy rozpatrywane), lecz także, co interesuje nas tu znacznie bardziej, również przyczynowej teorii oznaczania oraz (choć w mniejszym stopniu) propozycji W. V. Quine'a.

37 Pierwszą teorią, kładącą tak duży nacisk na użycie wyrażeń, była jednakże dyrektywalna teoria znaczenia Kazimierza Ajdukiewicza, opisywana w rozdziale 6.

Wittgenstein rozpoczyna od przedstawienia czegoś, co jest, jego zdaniem, dominującym w filozofii obrazem języka. Obraz ten, pochodzący od Augustyna, opiera się na dwóch wątpliwych, zdaniem autora *Dociekań*, założeniach. Po pierwsze, znaczeniem słów są przedmioty przez te słowa nazywane. Po drugie, każde słowo posiada własne, jasno określone znaczenie. Aby nie wprowadzać zamętu, warto już w tym miejscu podnieść kwestię następującą. W odróżnieniu od *Traktatu* Wittgenstein posługuje się w *Dociekaniach* słowami „sens" i „znaczenie" (*Bedeutung*) w sposób dość dowolny. W wielu miejscach słowo „znaczenie" jest synonimem „nominatu", w innych jest jednak synonimem Fregowskiego „sensu". Jako ilustrację tej utrudniającej interpretację praktyki można podać choćby pierwsze sformułowanie zasady: *znaczenie słowa to jego użycie*. Wydaje się, że zdanie to mówi o znaczeniu (sensie), a nie odniesieniu. Jednakże w większości akapitów poprzedzających werbalizację tej zasady słowo „znaczenie" używane jest jako synonim „odniesienia". Wiąże się to z krytykowaną wizją języka, którą przed chwilą nakreśliłem. Gdybyśmy przyjęli, że „znaczenie" jest w niej synonimem „sensu", to słowa Wittgensteina wydają się krytyką propozycji, której nikt właściwie nie głosił. Jeśli uznamy, że przez „znaczenie" rozumieć należy „odniesienie", to rzeczywiście jest to koncepcja, którą przyjmowała większość badaczy, ale trudno też uznać, że propozycja Wittgensteina jest krytyką uznanego powszechnie poglądu, że słowa odnoszą się do przedmiotów. Wydaje się, że należałoby przyjąć, że Wittgenstein mówi o znaczeniu jako sensie, a nie odniesieniu, potwierdza to zresztą inne miejsce *Dociekań*. Na stronie 168 autor zauważa, że prowadzone rozważania nie dotyczą zjawiska, lecz pojęcia, czyli użycia. O ile termin „znaczenie" bywa czasem w filozofii stosowany zamiennie z „sensem", a czasami z „odniesieniem", o tyle nie można powiedzieć tego samego o terminie „pojęcie"

– jest ono praktycznie zawsze synonimem „sensu". Dlatego też przyjmuję w tej pracy interpretację Glocka – Wittgenstein nie atakuje koncepcji, które utożsamiałyby znaczenie z odniesieniem, atakuje on wszelkie koncepcje, które upatrują znaczenia terminów w jakimś przedmiocie (choćby idealnym czy mentalnym, jak idee Locke'a) [Glock 1996: 59]. Dzięki tej interpretacji propozycja Wittgensteina nie staje się walką z wyimaginowaną koncepcją języka.

Autor *Dociekań* odrzuca oba punkty Augustyńskiego opisu języka i przyjmuje, że (1) znaczeniem jest użycie wyrażeń w języku, który rozumiany jest jako pewna technika, którą można władać i (2) nie wszystkie wyrażenia posiadają znaczenie. Nietrudno zauważyć, że utożsamienie znaczenia z użyciem powinno prowadzić raczej do przyjęcia niż odrzucenia drugiego punktu, w końcu wszystkie wyrażenia mają jakieś użycie czy zastosowanie. Pomińmy jednak tę trudność. Drugi istotny zarzut wobec Augustyńskiej koncepcji języka wiąże się z tym, że w cytowanym przykładzie Augustyn spekulując na temat tego, w jaki sposób uczył się języka jako dziecko (wyprzedzając tym samym o setki lat technikę dociekań nad językiem, proponowaną przez Quine'a), rozpatruje tę sytuację w niezwykle nierealistyczny sposób. Wittgenstein słusznie zauważa, że błąd autora polega na tym, że rozważa ów proces nauki tak, jakby dziecko było obcokrajowcem, który stara się dokonać przekładu języka obserwowanego na ten, którym już włada. Gubi się w ten sposób pewną niezwykle istotną różnicę, którą wyrazić można mówiąc, że nauka języka w przypadku dziecka nie opiera się na żadnym objaśnianiu (które zakłada uprzednią znajomość języka), a raczej na tresurze [Wittgenstein 1953: 10]. Jak się okaże (rozdział 11), rozważania Quine wychodzą z tego samego założenia.

Co Wittgenstein ma do zaproponowania w zamian? W rozważaniach o języku nie powinniśmy, przede wszystkim,

patrzeć na język tylko z jednej perspektywy. Istnieje niezliczona wielość zdań, które wypowiadane są w rozmaitych sytuacjach i w różnych celach. W tym miejscu Wittgenstein rzeczywiście odchodzi od tradycyjnych rozważań o języku. Zauważmy, że większość filozofów z góry zawężała tematykę swoich rozważań do poznawczej funkcji języka. Stało za tym założenie, że jest to niegroźne uproszczenie, które ułatwi zbudowanie teorii. Można jednakże zastanawiać się nad tym, jak dalece takie obostrzenie wypacza przedmiot badań. Wittgensteinowi takiego zarzutu postawić nie można; mnogość zastosowań języka to różne „gry językowe", które scharakteryzowane są jako całość złożona z zachowań językowych i czynności pozajęzykowych [Wittgenstein 1953: 12]. Wittgenstein kładzie nacisk szczególnie na dynamikę języka – cały czas powstają nowe gry językowe, a stare wychodzą z użycia. W ten sposób użycie, z którym, jak już pisałem, utożsamione jest znaczenie słów, rozumieć można jako zastosowanie w grach językowych. Niestety, termin „gra językowa" nie zostaje w *Dociekaniach* zdefiniowany. Autor z góry zakłada niemożność podania takiej definicji – definicja opiera się na istnieniu jakichś wspólnych cech wśród elementów zakresu danego słowa. Tu takich cech nie znajdziemy, podobnie jak w przypadku zwykłego, potocznego pojęcia „gry". Musimy więc zadowolić się porównaniami i przykładami, które (w odróżnieniu od *Traktatu*) w *Dociekaniach* występują. Przykładem gry językowej jest sztuczny język wyimaginowanych budowniczych, którzy posługują się czterema słowami: „kostka", „słup", „płyta" i „belka". Wykrzyknięcie dowolnego z tych słów jest równoznaczne z poleceniem: „Podaj mi…". Wittgenstein nazywa to prymitywnym językiem, w praktyce jest to jednak kod mający cztery symbole, funkcjonujące bez żadnych reguł gramatycznych. Innym przykładem gry językowej jest sytuacja, w której uczymy kogoś opowiadać

o swoich snach – doradzamy mu użycie wyrażenia: „śniło mi się…", a następnie kontynuujemy grę, zapytując go od czasu do czasu: „Co ci się dziś śniło". Choć, jak wspomniałem, nie uda nam się odnaleźć cech wspólnych wszystkich gier językowych, to zachodzi pomiędzy nimi podobieństwo. Jest to jednak podobieństwo specjalnego rodzaju – Wittgenstein określa je mianem „podobieństwa rodzinnego" i charakteryzuje za pomocą dwóch metafor. Jedną jest podobieństwo do siebie członków jakiejś rodziny (różnych członków rodziny łączą różne cechy, ale próżno szukać takich, które przysługiwałyby wszystkim bez wyjątku), drugą, moim zdaniem bardziej obrazową, jest przykład z liną, która stanowi całość, choć nie istnieje żadne włókno, które przebiegałoby od jej początku do końca.

Przez moment Wittgenstein rozważa możliwość literalnego opisu podobieństwa rodzinnego – bierze pod uwagę alternatywę cech. Można byłoby więc powiedzieć, że jeśli przedmiotom A i B przysługuje cecha *x*, a przedmiotom B i C cecha *y*, to wszystkie te trzy przedmioty mają coś wspólnego: alternatywę cech *x* i *y*. Wittgenstein tę propozycję odrzuca mówiąc, że jest to jedynie zabawa słowem. Uwaga ta sugeruje, że takie wyjaśnienie podobieństwa rodzinnego niewiele wyjaśnia. W rzeczywistości jednak jest to po prostu wyjaśnienie błędne. Nietrudno zauważyć, że alternatywa własności przysługuje dowolnej parze przedmiotów, nawet takiej, która składa się z przedmiotów nie mających żadnej wspólnej cechy (kwestia, czy da się taką parę wskazać, nie jest tu istotna). Jeżeli przedmiot A ma cechę *x* (ale nie ma cechy *y*), a przedmiot B ma cechę *y* (ale nie ma cechy *x*), to obu tym przedmiotom przysługuje cecha $x \vee y$. Nie sądzę jednak, aby podobieństwo rodzinne było pojęciem, które da się objaśnić jedynie za pomocą metafor. Załóżmy, że zwykłą relację podobieństwa moglibyśmy wyjaśnić.

Przyjmijmy, że P to zbiór przedmiotów, o których chcemy powiedzieć, że są podobne. Oznacza to, że jest spełniony następujący warunek:

$$\exists\, Z{\neq}P\ \forall x \in P\ (x \in Z)$$

Podobieństwo charakteryzuje się więc tym, że istnieje taka cecha (taki zbiór Z), która przysługuje wszystkim elementom zbioru przedmiotów podobnych (wszystkie elementy P należą do Z). Podobieństwo rodzinne różniłoby się zaś od zwykłego podobieństwa: jeżeli R to zbiór przedmiotów, pomiędzy którymi zachodzi relacja podobieństwa rodzinnego, to:

$$\forall x,y{\in}R\ \exists Z{\neq}R\ (x{\in}Z \wedge y{\in}Z)$$

A więc, chociaż – być może – nie istnieje taka cecha, która łączy wszystkie przedmioty ze zbioru R (możemy z góry taką możliwość wykluczyć, ale nie musimy), to dla każdych dwóch przedmiotów z R musi istnieć przynajmniej jedna taka cecha, która je łączy. W praktyce daje to taki efekt, że wszystkie przedmioty pozostają ze sobą w relacji podobieństwa rodzinnego (choć w odróżnieniu od propozycji z alternatywą własności nie jest tak w przypadku przedmiotów, które nie mają żadnych wspólnych własności[38]). Nie należy się tym jednak przejmować, ponieważ jest to pochodna tego, jak funkcjonuje zwykłe pojęcie podobieństwa. W rzeczywistości zawsze jest tak, że bierzemy pod uwagę podobieństwo pod jakimś względem, a nie podobieństwo w ogóle. Możemy ten wzgląd wprowadzić do naszych formuł. W ten sposób zwykłe podobieństwo będzie wyglądało następująco.

38 Chyba, że założymy, iż Z może być sumą zbiorów (czyli odpowiednikiem alternatywy własności), ale nic nas do takiego założenia nie przymusza.

Jeśli P jest zbiorem przedmiotów podobnych, to spełniony jest warunek:

$$\exists Z \neq P\ \exists W\ \forall x \in P\ (x \in Z \wedge Z \in W),$$

gdzie W jest właśnie interesującym nas względem podobieństwa, zaś zbiór Z nie jest już dowolnym zbiorem, lecz podzbiorem pewnego interesującego nas zbioru W. W identyczny sposób przekształcić możemy formułę dotyczącą relacji podobieństwa rodzinnego. Zbiór R jest zbiorem przedmiotów, pomiędzy którymi zachodzi podobieństwo rodzinne, gdy:

$$\forall x,y \in R\ \exists Z \neq R\ \exists W\ (x \in Z \wedge y \in Z \wedge Z \in W)$$

Ponieważ brak wyróżnienia jakiegoś W, którego Z miałoby być podzbiorem, więc relacja podobieństwa rodzinnego zachodzi pomiędzy wszystkimi przedmiotami (to samo dotyczy, oczywiście, zwykłej relacji podobieństwa), wobec czego wskazanie na podobieństwo rodzinne wyróżnia jakąś klasę przedmiotów dopiero wtedy, gdy wzgląd ten wskażemy. W przypadku podobieństwa członków rodziny, W jest zbiorem zauważalnych gołym okiem cech dziedzicznych. Tego, że dwóch członków rodziny mieszka w jednym mieście nie uważamy np. za jeden ze związków konstytuujących to podobieństwo. Dlatego też, choć można uchylić się przed podawaniem wspólnej własności wszystkich gier językowych, powołując się na analogię do relacji podobieństwa rodzinnego, to nie można uchylić się przed wskazaniem jakiegoś zbioru własności istotnych dla zachodzenia tej relacji. Wittgenstein, niestety, tego nie robi.

Aby lepiej zrozumieć, dlaczego Wittgenstein posługuje się akurat metaforą gry, należy uzmysłowić sobie, w opozycji do jakiego obrazu metafora ta została dobrana. Owym odrzuconym obrazem języka jest rachunek (jest to obraz, który przyjął

Wittgenstein w *Traktacie*). Czym miałyby się te koncepcje języka różnić? Podstawowa różnica tkwi, jak sądzę, w dynamicznym charakterze gry, która dopuszcza zmiany w regułach; grę adaptujemy często do niezwiązanych z nią zmiennych okoliczności. Inaczej jest w przypadku rachunku, gdyż ze zmodyfikowanymi aksjomatami staje się on innym, konkurencyjnym rachunkiem. Gra ze zmodyfikowaną regułą nadal jest tą samą grą (czasem możemy ewentualnie określić ją mianem wariantu danej gry). Wittgenstein atakuje obraz, który sam starał się wypracować w *Traktacie*, jest to jednak krytyka aplikująca się w równym stopniu do propozycji takich, jak choćby semantyka Carnapa. Wspomniałem o regułach i przy nich się teraz zatrzymamy, ponieważ do nich właśnie nieodzownie wiedzie metafora gry. Gry opierają się bowiem zawsze na pewnych regułach, spisanych bądź nie, liberalnych bądź restrykcyjnych.

W tym też miejscu natrafiamy na poważny problem, który Wittgenstein szczegółowo opisuje. Charakterystyczną cechą reguły jest to, że powinna ona determinować zachowanie kogoś, kto się nią kieruje, w odniesieniu do potencjalnie nieskończonej liczby przypadków. Tymczasem proces nauczania postępowania zgodnie z jakąś regułą, taką jak reguła gry językowej, opiera się na skończonej liczbie przykładów. Skąd mamy wiedzieć, że komuś udało się już daną regułę „uchwycić" i zaczął się nią kierować? Na czym właściwie polega kierowanie się regułą? Nie wystarczy tu zgodność z jej zaleceniem. Ktoś może postępować zgodnie z regułą, o której istnieniu nie wie; nie powiemy wtedy, że się nią kieruje. Co więcej, gdyby opisywanie czyjegoś postępowania jako kierowania się regułą opierało się jedynie na ocenie zgodności tego postępowania z zaleceniami reguły, to nie moglibyśmy nigdy błędnie pokierować się regułą. Kolejny kłopot nasuwa nam opisywana już wcześniej sytuacja – załóżmy, że ktoś stara się zrekonstruować reguły jakiejś gry na podstawie obserwacji zachowań grających (jest to sy-

tuacja, w której znajduje się dziecko uczące się języka). W jaki sposób ma odróżnić niewłaściwe posunięcie od właściwego? Co gorsza, wydaje się, że włączenie języka w zakres tego, co opisujemy w kategoriach kierowania się regułą prowadzi do regresu w nieskończoność. Posłużmy się przykładem danym przez Wittgensteina. Załóżmy, że ktoś posługuje się nazwami kolorów dzięki noszonej zawsze przy sobie tabeli zestawiającej próbki kolorów i ich nazwy. Tabela ta byłaby odpowiednikiem reguły w grze rozpoznawania kolorów. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że nie ma tu miejsca na sceptycyzm – tabela zawiera przecież próbki kolorów, a nie ich opis. Umknął nam jednak pewien szczegół. Skąd posługujący się tabelą ma wiedzieć, że reguła jej odczytywania opiera się na korelacji wierszy znajdujących się na tej samej wysokości w obu kolumnach? Nie jest to wcale samo w sobie oczywiste. Tabela wymaga więc objaśnienia. Ale w jaki sposób mielibyśmy to objaśnić, skoro objaśnienie również wymaga znajomości reguł potrzebnych do jego odczytania. Błędem, który wprowadza nas w powyższe rozterki jest założenie, że reguły mogą być czymś prywatnym. Wittgenstein odrzuca taką możliwość – niemożliwe jest, aby tylko jeden człowiek jeden jedyny raz pokierował się regułą [Wittgenstein 1953: 118]. Nie jest do końca jasne, co Wittgenstein ma tu na myśli. Rzeczywiście, jest tak, że gdyby *dla każdej reguły istniał tylko jeden człowiek, który raz się nią pokierował*, to mówienie o kierowaniu się regułą wydaje się dość dziwne, ale wydaje się, że może istnieć reguła, którą jeden raz pokierował się tylko jeden człowiek[39]. Oznacza to, że choć możemy oddalić wizję całkowicie prywatnego języka, to nie da się oddalić wizji prywatnego *fragmentu* języka, a to już wystarczy do utrzymania sceptycyzmu co do kierowania się regułą.

39 Przykładem takiej reguły może być np. zalecenie: „Pierwszy, samotny zdobywca góry może nazwać ją swoim imieniem".

Aby pokazać wyjście z kłopotów, w które popadliśmy, skorzystam ze znanej (choć wzbudzającej kontrowersje[40]) interpretacji Saula Kripkego, która nie opiera się na założeniu, że żadna reguła nie może być stosowana przez jednego człowieka.

Kripke rozważa następującą sytuację. Załóżmy, że wykonuję działanie 68 + 57. Otrzymuję wynik 125. Załóżmy jednakże, że tak się złożyło, że nigdy nie wykonywałem jeszcze dodawania na liczbach większych niż 57. Załóżmy również, że oprócz dobrze nam znanej funkcji „plus" istnieje funkcja „quus", która dla argumentów mniejszych niż 57 przyjmuje tę samą wartość co +, ale gdy któryś z argumentów jest większy niż 57, jej wartością jest zawsze 5[41]. Stajemy więc w obliczu następującego problemu: co możemy odpowiedzieć hipotetycznemu sceptykowi, który twierdzi, że wynikiem naszego wyjściowego działania powinno być 5, ponieważ dotychczas używając terminu „plus" posługiwaliśmy się, tak naprawdę, funkcją „quus"? Jest jasne, że w odpowiedzi nie możemy powołać się na żaden z naszych dotychczasowych wyników obliczeń – wszystkie one są identyczne dla funkcji „plus" i funkcji „quus". Być może różnica pomiędzy posługiwaniem się tymi dwiema funkcjami manifestowała się jakoś w naszym umyśle. Czy potrafimy wskazać coś takiego, co „mieliśmy w umyśle" (Kripke określa to „faktem psychicznym"), co pozwoliłoby nam mieć pewność, że dotychczas dodawaliśmy, a nie „quusowaliśmy"? Jak nietrudno przewidzieć, Kripke nie znajduje przykładu na taki „fakt psychiczny". Czego właściwie dowodzi ten eksperyment myślowy?

40 Kontrowersja opiera się głównie na tym, że zarzuca się Kripkemu zbyt swobodną interpretację *Dociekań*. Doprowadziło to do określania tak zinterpretowanego dylematu Wittgensteina jako problemu „Kripkensteina".

41 Funkcja „quus" wydawać się może nieco wydumana, ale w rzeczywistości może być całkiem przydatna, np. w języku programowania dostosowanym do komputera, który wyświetla 112 kolorów. 5 mogłoby być wtedy kodem błędu.

Po pierwsze, wskazuje, że mówienie o znaczeniu jako o czymś niezależnym od użycia (które w naszej dotychczasowej historii działań arytmetycznych nie pozwala na rozróżnienie „plusa" od „quusa") okazuje się nieefektywne. Po drugie, wskazuje na to, że przyjmując, iż znaczenie słów to ich użycie, nie powinniśmy opierać tożsamości tego znaczenia (a więc tożsamości użycia) na historii użyć jednostki, nie możemy mieć bowiem co do tej historii żadnej pewności. Dlatego też Kripke uważa, że rozważania na temat kierowania się regułami prowadzą Wittgensteina wprost do sceptycyzmu, który można oddalić, odrzucając założenie o prywatności języka. Kryterium tego, czy posługujemy się funkcją „quus" czy „plus" są inni ludzie, którzy również się tymi funkcjami posługują. Nie to się liczy, czy moje użycie z chwili t_1 pozostaje w zgodzie z moim użyciem z chwili t_0, ale to, czy moje użycie w chwili t_1 pozostaje w zgodzie z użyciem innych ludzi w chwili t_1. Rozważania te prowadzą więc nieuchronnie do wniosku, że znaczenia rozumiane jako użycia zgodne z pewną regułą nie znajdują się w umyśle użytkownika języka. „Gdyby Bóg wejrzał w nasze dusze, to nie mógłby zobaczyć, o kim mówiliśmy" [Wittgenstein 1953: 304]. Jak zobaczymy w rozdziale trzynastym, intuicja ta stanie się jedną z podstaw przyczynowej teorii oznaczania. Tylko intersubiektywność języka wyposaża nas w kryteria tożsamości znaczeń i pozwala na uznanie, że ktoś niewłaściwie posługuje się regułą.

Niektórzy badacze [Bloor 1997] uznali, że przyjmując dość naiwny pragmatyzm Wittgenstein zatrzymuje się w pół drogi. Natomiast wyciągnięcie ostatecznych wniosków z przedstawionej argumentacji prowadzi do tego, że nie tylko znaczenie, lecz także odniesienie przedmiotowe przestaje być raz na zawsze (albo przynajmniej na dość długo) określone. Pogląd ten, nazywany przez Bloora finityzmem, zakłada, że za każdym razem, gdy używam jakiegoś słowa, podejmuję stosowną

decyzję o zastosowaniu reguły w tym konkretnym przypadku – reguła ta musi zgadzać się z użyciem moich bliźnich, ale to ostatnie jest wyjątkowo niestabilne i zmienia się od przypadku do przypadku. Dlatego też nie istnieje sposób uchwycenia reguły użycia. Próbując ustalić tę regułę, dokonuję bowiem ciągle nowych użyć (testując zawsze skończoną liczbę nowych przypadków), które mogą zmieniać znaczenie (a pochodnie odniesienie) słowa. Poprawność użycia sprowadza się więc do aprobaty otoczenia (które może być w ferowaniu wyroków kapryśne). Wydaje się, że interpretacja ta idzie jednak zbyt daleko – pozbawia nas teorii, która choćby w przybliżeniu dawała jakieś pojęcie o znaczeniu i odniesieniu, nie dając w zamian odporności na zarzuty. Załóżmy bowiem, że istotnie jedyną okolicznością pozajęzykową, która informuje nas o regułach użycia jest akceptacja społeczeństwa. Pomińmy to, że muszę nauczyć się rozpoznawać i poprawnie identyfikować sygnały owej aprobaty – nie muszą one mieć charakteru językowego, a przyjąć można, że rozróżnienie pomiędzy tym, czego oznaką jest poklepanie po plecach, a czego szturchaniec nie wymaga szczególnego wysiłku interpretacyjnego. Wyobraźmy sobie jednak następującą sytuację: jakiś student z wymiany przebywa z nami na wycieczce (a więc ma kontakt tylko z nami). Nie zna języka polskiego, ale chce nauczyć się paru słów. Załóżmy, że uczymy go słowa „pies", wykorzystując ustalenia interpretacji finitystycznej, tzn. tak, aby w przypadkach naszej akceptacji nie dało się w rzeczywistości pozajęzykowej wykryć żadnych wspólnych własności, które można by uznać za znaczenie terminu (tak interpretowana teoria użycia z góry zakłada, że nasze użycie nie jest skorelowane z jakąś powtarzającą się w naszym doświadczeniu wiązką doznań, więc powinno to być całkowicie wykonalne). Pytanie brzmi: czy człowiek ten nauczyłby się po prostu używać słowa „pies" w niezwykle nietypowy i chaotyczny sposób, czy też zorientowałby się, że

go nabieramy? Nie mam wątpliwości co do tego, że raczej to drugie. Dlatego też wydaje się, że przebicie przesadnie nadmuchanego balonika sceptycyzmu jest ze strony Wittgensteina krokiem właściwszym niż wyciąganie radykalnych wniosków. Akceptacja członków wspólnoty wiąże się jakoś z relacją język – świat, przez co, przynajmniej w pewnych przypadkach, jesteśmy w stanie „wydestylować" jakąś regułę z rozmaitych użyć. Oczywiście nigdy nie możemy być całkowicie pewni, czy udało nam się to zrobić właściwie, ale każda kolejna akceptacja zgodna z naszą hipotezą jest testem empirycznym utwierdzającym nas w naszym przekonaniu. Współgra to z zauważalnymi u autora *Dociekań* sympatiami naturalistycznymi. Użycie języka wyznaczone jest przez nasze potrzeby praktyczne, a te ostatnie są w dużej mierze zdeterminowane naszą ludzką naturą. Dlatego też, choć nie można mówić o prawdziwych lub fałszywych regułach, to można mówić o regułach bardziej lub mniej efektywnych. Decyduje tu ich przydatność do praktyk życiowych [Glock 1996: 64].

Sympatie wobec naturalizmu nie oznaczają jednak postulatu naturalizacji języka. Wręcz przeciwnie, w jednym z fragmentów *Dociekań* zawarte są rozważania, które krytykują przyczynowo-skutkowy opis języka. Na przykład rozkazu nie można uznać po prostu za przyczynę zachowania się wykonującego ów rozkaz. Weźmy pod uwagę dwa rozkazy: „przynieś mi mleko" i „przynieś mi cukier", a następnie niegramatyczne zdanie: „mleko mi cukier". To ostatnie również wywołuje pewien efekt, np. wytrzeszczenie oczu rozmówcy. Nie nazwalibyśmy go jednak rozkazem równoznacznym z „wytrzeszcz oczy" i to nawet w przypadku, gdy osoba wypowiadająca nasze niegramatyczne zdanie miałaby intencję uzyskania dokładnie tego efektu [Wittgenstein 1953: 196].

Wiemy więc już, że znaczeniem słów jest użycie, które wyznaczone jest przez reguły. A co ze zdaniami? Przede wszyst-

kim należy zauważyć, że to one są w koncepcji późnego Wittgensteina elementarnym składnikiem komunikacji językowej. Nazwanie przedmiotu nie stanowi posunięcia w grze językowej. Posunięciem jest dopiero zdanie. O prawdziwości i fałszywości zdań, w odróżnieniu od *Traktatu*, Wittgenstein nie pisze zbyt wiele, nie licząc nieco zagadkowej uwagi, że słowa „reguła" i „to samo" są ze sobą powiązane tak jak słowa „zdanie" i „prawda" [Wittgenstein 1953: 126]. Sensem zdań jest ich rola w grze językowej; wyznaczona jest ona przez miejsce, jakie zdanie zajmuje w gramatyce języka (przy czym „gramatyka" rozumiana jest tu niezwykle szeroko – jako całościowy zestaw reguł języka). Jak zobaczymy w rozdziale dwunastym, Davidson postulował coś bardzo podobnego. Wittgenstein rozróżnia zdania empiryczne i gramatyczne – te ostatnie są niejako wcieleniem reguł języka. Wyróżniamy je dzięki temu, że stanowią test kompetencji językowej mówiącego. Ich rola przypomina rolę dyrektyw znaczeniowych w teorii K. Ajdukiewicza. Co ciekawe, w dziele *O pewności* Wittgenstein zauważa, że podział na zdania empiryczne i gramatyczne jest nieostry. Niektóre ze zdań empirycznych uważamy za równie pewne, jak zdania gramatyczne, ponieważ ich odrzucenie wymuszałoby na nas rewizję znaczącej części naszych przekonań [Glock 1996: 132–133]. Wittgenstein wyraźnie antycypuje w tym miejscu Quine'a z jego odrzuceniem podziału na zdania analityczne i syntetyczne. Jak zauważyłem wcześniej, znaczeniem słów jest ich użycie, ale to ostatnie sprowadza się do reguł, które testujemy za pomocą zdań gramatycznych. Dlatego też, w odróżnieniu od podejścia z *Traktatu*, nie mamy tu do czynienia z zasadą kompozycyjności – pierwotne jest znaczenie zdań.

Nie ulega wątpliwości, że zarysowany obraz wydaje się atrakcyjną alternatywą dla klasycznych teorii znaczenia. Okazuje się jednak, że bliższe przyjrzenie się wysuniętym

przez Wittgensteina propozycjom rodzi poważne trudności interpretacyjne.

Najistotniejszym zarzutem jest to, że niezwykle niejasne okazuje się kluczowe pojęcie gry językowej. Niejasne są przede wszystkim kryteria tożsamości gier językowych. Pytanie o kryterium tożsamości nie jest Wittgensteinowi obce, ponieważ posługuje się tym terminem (w sposób świadczący o tym, że brak takich kryteriów uważa za wadę) przy okazji rozważań nad bólem [Wittgenstein 1953: 132] i wyobrażeniami [Wittgenstein 1953: 167]. Ponieważ w grach językowych wyróżnić możemy dwa aspekty: językowy i pozajęzykowy, to podział na gry może być równie dobrze dokonany z uwzględnieniem każdego z tych kryteriów. Trudno powiedzieć, czy grą językową jest więc np. „handel" (kryterium pozajęzykowe) czy też zbiór użyć słów „kupić" i „sprzedać" (kryterium językowe). Wittgenstein nie zauważa tej dwuznaczności i posługuje się pojęciem gier językowych w obu znaczeniach. W podanych przeze mnie przykładach (język budowniczych i opisywanie snów) uwzględnione jest głównie kryterium pozajęzykowe, ale w wielu innych miejscach mówi się o grach językowych właśnie tak, jakby był to całościowy zbiór użyć danego wyrażenia:

> Gra językowa: „Mam (lub miałem) *to* na myśli" (objaśnianie słowa *ex post*) jest zupełnie odmienna od gry: „Myślałem przy tym o...". Ostatnia jest spokrewniona z grą: „Przypomniało mi to..." [Wittgenstein 1953: 304–305]

Przyjęcie pierwszego kryterium (gry wyznaczone przez praktyki życiowe, a nie przez słowa) wydaje się bardziej naturalne, prowadzi jednak do poważnej trudności – nie wiadomo bowiem, jak dużą szczegółowością powinien charakteryzować się nasz podział. Rozpatrzmy następujący prosty dialog:

A: *Dzień dobry.*
B: *Dzień dobry.*
A: *Poproszę pięć bułek.*
B: *Z przedziałkiem?*
A: *Tak, ale żeby tylko nie były czerstwe, tak jak wczoraj.*
B: *Ależ skąd! Są świeżutkie, proszę. Złotówka.*

Zadajmy sobie teraz następujące pytanie: w ile gier językowych grają rozmówcy w powyższym dialogu? Możliwe są bardzo rozmaite odpowiedzi:

– w jedną (w „handel");

– w dwie, ale każdy w inną (jeden w „kupno", drugi w „sprzedaż");

– w osiem (w „powitanie", „odpowiedź na powitanie", „kupowanie", „dopytywanie się", „odpowiadanie", „skarżenie się", „zapewnianie", „sprzedawanie");

– dialog ten to jedna gra językowa (w „przedstawianie przykładów w pracy doktorskiej").

Nie widać żadnego sposobu pozwalającego rozsądzić, która z proponowanych odpowiedzi jest prawidłowa. Powinno nas to jednak żywo interesować, ponieważ różne gry to różne zestawy reguł, a zatem różne znaczenia wyrażeń. Dwie różne gry, np. „mierzenie" i „liczenie", zmieniają sens użytego w nich słowa:

> Czy zatem „1" ma różne znaczenia, gdy raz oznacza miarę, a raz liczebność? Tak postawiwszy pytanie, trzeba odpowiedzieć twierdząco [Wittgenstein 1953: 208].

Bardzo trudno jest również dociec, co Wittgenstein ma na myśli, gdy posługuje się nieosobową formą w zwrotach, takich jak „używa się". Niekiedy, przy okazji rozprawiania o rozmaitych terminach, które – jego zdaniem – bywają nadużywane

w filozofii, Wittgenstein mówi również o „faktycznym" użyciu. Czym jest owo faktyczne użycie? Czy chodzi o użycie powszechne, dotychczasowe? Okazuje się, że nie, bowiem „użyć «X» poprawnie, to nie to samo, co użyć «X» tak, jak większość ludzi" [za: Glock 1996: 130]. Wydaje się więc, że poprawność sprowadza się tutaj do jakiegoś rodzaju „uchwycenia" reguł, a nie do empirycznych badań lingwistycznych. Wittgenstein zdaje się zatem postulować coś w rodzaju intuicji lingwistycznej, ale niewiele się o niej dowiadujemy.

W jednym z fragmentów *Dociekań* [Wittgenstein 1953: 117] autor zauważa, że dane zdanie brzmi dziwnie, gdy zostanie użyte w innej grze niż w tej, w której jest faktycznie używane. Prowokuje to co najmniej kilka pytań: czy wolno nam przenosić zdania z jednej gry językowej do drugiej? Czy w tej teorii języka dopuszczalna jest np. taka operacja: biorę zdanie A używane w grze językowej X i przenoszę je do gry językowej Y. Następnie w ramach gry językowej Y (niech będzie to np. logika) dokonuję jakiejś operacji na zdaniu A (np. kontrapozycji), przekształcając zdanie A w zdanie B, a następnie przenoszę nowo powstałe zdanie z powrotem do gry X. Czy jest to praktyka dopuszczalna, czy nie? A co ważniejsze – jakie reguły o tym decydują? Musiałyby to być reguły zawiadujące obydwoma grami. Być może musimy więc dopuścić jakąś hierarchię gier?

Mimo tych trudności nie można zlekceważyć wkładu Wittgensteina w dalsze losy dociekań poświęconych pojęciu znaczenia. Odrzucenie modelu rachunku jako nie nadającego się do opisu, ciągle zmieniającego się języka potocznego uprzytomniło wielu konieczność zwiększenia roli badań empirycznych w teorii znaczenia. Odrzucenie mitu języka prywatnego stało się podstawą teorii przyczynowej i powszechnej niechęci do „mitu muzeum". Pojęcie gry językowej można zaś uznać za wstęp do rozważań relatywizujących znaczenia słów do teorii. Problemami tymi zajmiemy się w kolejnych rozdziałach.

Rozdział 11

Willard Van Orman Quine i widmo niezdeterminowania

Nie ulega wątpliwości, że ktoś, kto podejmuje się zadania eksplikacji pojęcia znaczenia, z góry spodziewa się krytyki ze strony tych, którzy uważać będą, że jego propozycja nie nadaje się na substytut pojęcia potocznego. Jest to ryzyko z góry wkalkulowane w sam projekt eksplikacji. Prawdziwe problemy zaczynają się dopiero wtedy, gdy okaże się, że nasz substytut pojęcia znaczenia nie ma jakiejś istotnej, naszym zdaniem, charakterystyki (byłby to przypadek Ajdukiewicza i równoznacznych terminów denotujących różne przedmioty, co wytknął mu Tarski), albo też opiera się na pojęciu, które okazuje się równie tajemnicze, co pojęcie przez nas eksplikowane. Druga z tych ewentualności dotyczy propozycji Carnapa, a rolę Tarskiego[42] odegrał tu W. V. O. Quine, który nie miał wątpliwości, że wczesne próby stworzenia teorii znaczenia pozostawiają wiele do życzenia. Odwoływanie się do idei (w umyśle użytkownika czy też w trzecim królestwie Fregego) nie ma żadnej mocy eksplanacyjnej. Jest to fikcja, zakładająca coś w rodzaju galerii czy muzeum w umyśle użytkownika języka. Każde słowo jest plakietką, którą opatrzony został specjalny, mentalny eksponat, będący reprezentacją przedmiotów [Quine 1970: 21]. Przejście od jednego do drugiego języka miałoby polegać jedynie

42 Choć niezupełnie, Carnap nie porzucił swojej teorii w wyniku krytyki.

na zmianie plakietek [Quine 1968: 186]. Rozwiązanie to ma tę wadę, że daje zwodnicze poczucie, iż coś zostało wyjaśnione, podczas gdy badania nad znaczeniem wyrażeń nie posunęły się nawet o krok [Quine 1953: 71–72]. Dokonane w dużej mierze pod wpływem wczesnego Wittgensteina przesunięcie uwagi ze słów na zdania, choć samo w sobie, zdaniem Quine'a, chwalebne, zaowocowało głównie odwoływaniem się do równie nieużytecznego pojęcia *sądu*. Pojęcie to wydaje się jeszcze bardziej niebezpieczne, ponieważ kusi nas rozwiązaniem kilku poważnych problemów filozoficznych naraz: sądy miałyby być tym, co wspólne zdaniu i jego przekładowi, zdaniu i jego parafrazie (objaśniając w ten sposób analizę filozoficzną), miałyby stanowić również nośniki prawdy i przedmioty postaw propozycjonalnych, które od dawna sprawiają filozofom wiele kłopotów [Quine 1960: 237]. Mimo tak dobrze zapowiadających się perspektyw są one, zdaniem Quine'a, *entia non grata* w filozofii, co jest spowodowane niechęcią do rozszerzonej ontologii. Byłaby to niewielka cena za tak wiele filozoficznych dobrodziejstw – główny problem stanowi to, że aby mówić o sądach, musimy mieć dla nich jakieś warunki tożsamości. Musimy wiedzieć, kiedy dwa zdania wyrażają ten sam sąd, a kiedy nie. Jednym słowem, musimy odwołać się do relacji synonimiczności między zdaniami [Quine 1970: 25]. Zdefiniowanie tej relacji byłoby z pewnością wielkim pożytkiem dla filozofii [Quine 1943: 120], ale wraz z tym osiągnięciem przestajemy potrzebować pojęcia sądu. Tym, co dla nas istotne jest więc nie tyle odpowiedź na pytanie: „czym jest znaczenie zdań?", ile dwa inne pytania: „kiedy zdanie posiada znaczenie?" oraz „kiedy dwa zdania mają to samo znaczenie?".

Jak wiemy, Carnap zdawał sobie z tego sprawę i dostarczył propozycji odpowiedzi na oba te pytania. Okazuje się jednak, że obie dane przez niego odpowiedzi opierają się na założeniach nie do utrzymania. Odpowiadając na pierwsze, Carnap założył,

że istnieje pewna wyróżniona klasa zdań (albo terminów), które „wyposażają" inne zdania w znaczenie. Znaczenie dowolnego zdania nie należącego do tej klasy daje się wyjaśnić dzięki jego związkowi ze zdaniami do niej należącymi. Odpowiadając na drugie, Carnap założył, że wszystkie zdania można podzielić na dwie klasy – analityczne i syntetyczne, a równoznaczność da się wyjaśnić przez odwołanie do analityczności (szczegóły tej konstrukcji omawialiśmy w rozdziale dziewiątym). Oba te założenia postanowił Quine przedstawić w swym słynnym artykule *Dwa dogmaty empiryzmu*. Spróbujmy przyjrzeć się temu, co ma na ten temat do powiedzenia.

Zacznijmy od pierwszego z dogmatów – redukcjonizmu, *implicite* założonego w weryfikacyjnej teorii znaczenia. Źródłem trudności, z jakimi borykał się weryfikacjonizm było przyjęcie, że możliwa jest weryfikacja pojedynczych zdań. W rzeczywistości jest jednak tak, że eksperyment, który miałby dane zdanie weryfikować, może, w razie niepowodzenia, poinformować nas jedynie o tym, że któreś zdanie teorii należy odrzucić. Nie informuje nas jednak o tym, które zdanie kwalifikuje się do tego. Gdy przyjrzymy się opisom procedur weryfikacyjnych, to zauważymy, że zawierają one sporą liczbę dodatkowych zastrzeżeń, takich jak: „w normalnych warunkach", „przy normalnym stanie organizmu" lub też „dla właściwych wartości zmiennych" (w przypadku predykatów obserwacyjnych). Dlatego nawet zdania, które miałyby być paradygmatem zdań obserwacyjnych, mogą być niekiedy zachowane mimo ich niezgodności z doświadczeniem za cenę odrzucenia pewnych innych zdań. Jest to naukowy odpowiednik naszej zdroworozsądkowej reakcji, kiedy dezawuujemy świadectwo zmysłów, odwołując się do halucynacji, gorączki albo zmęczenia. Zdaniem Quine'a, należy więc uznać, że wynik eksperymentu jest wyrocznią nie dla pojedynczego zdania, lecz dla pewnej klasy zdań. Jak obszerna jest ta klasa? Trudno byłoby

ją wytyczyć. Zazwyczaj mamy tu do czynienia z kolażem zdań z rozmaitych teorii empirycznych, a także matematyki i logiki. Każde z nich mogłoby być odrzucone. Moglibyśmy również je zachować, dokonując rewizji innych zdań, posuwając się w ten sposób coraz bardziej „w głąb" danej dziedziny, np. zamiast kwestionować stan naszych oczu, moglibyśmy zakwestionować prawa biologii albo optyki. Dlatego też Quine przyjmuje rozwiązanie na pierwszy rzut oka dość ekstremalne – przed trybunałem doświadczenia staje cała nauka [Quine 1951: 65]. Nie oznacza to jednak, że każde zdanie naszej teorii świata ma dokładnie ten sam status. Dla objaśnienia różnic Quine posługuje się metaforą pola – część zdań teorii znajduje się na brzegach. Są to zdania, o których moglibyśmy bezkrytycznie powiedzieć, że najściślej wiążą się z doświadczeniem. Im bliżej centrum pola, tym mniej związków z doświadczeniem i tym większa uniwersalność danego zdania (robimy z niego użytek w bardzo wielu dziedzinach). Zdania są ze sobą powiązane w taki sposób, że ewentualne odrzucenie zdania ze środka pola owocuje koniecznością rewizji niemalże wszystkich zdań pozostałych. Dlatego też zrobilibyśmy to raczej niechętnie. Jak widać, najważniejszym kryterium staje się tu wygoda i niechęć do odrzucania czegoś, co wielokrotnie się już sprawdziło. Przypadek taki stanowią np. prawa logiki klasycznej. Sprawdzają się na każdym kroku, znajdują się we wszystkich koniunkcjach zdań, które pozwalają dokonywać wszelkich weryfikacji, przez co pojedyncza obserwacja nie jest w stanie nakłonić nas do ich odrzucenia. To pragmatyczne nastawienie leży u podstaw przekonania o ich rzekomej konieczności.

Wypada zauważyć, że przedstawiony opis działalności naukowej ma w sobie nihilistyczny posmak. Qunie zauważa jednak, że nadal powinniśmy poważnie traktować naukę, ponieważ wyróżnia się ona tym, że po prostu się sprawdza. Wydaje się jednak, że nie jest to odpowiedź przekonująca. Aby się nią

stała, musimy z góry założyć, że wolność kształtowania teorii naukowej jest ograniczona przez to, jaki jest świat. Gdybyśmy tego zdroworozsądkowego realizmu z góry nie założyli, to sam pragmatyzm nie przywróciłby nam wiary w naukę. Jeśli założymy, że świat niczego na nas nie wymusza, to najprostszą i nie wymagającą żadnych zmian w teorii taktyką jest systematyczne zaprzeczanie niewygodnym świadectwom doświadczenia. Nie możemy tego robić, ponieważ, jak to zwięźle ujmuje w innym miejscu Quine [1990: 63], „człowiek proponuje, świat decyduje".

Przejdźmy teraz do rozprawienia się z drugim z dogmatów, czyli dychotomią analityczne – syntetyczne. Argumentacja Quine'a sprowadza się do tego, że wszystkie próby zdefiniowania terminu „analityczny" prowadzą w niewielu krokach z powrotem do tego terminu. Przede wszystkim powinniśmy jednak pamiętać, że krytyka Quine'a nie dotyczy tego, co określa on mianem prawd logicznych, czyli zdań w rodzaju: „Każdy kawaler jest kawalerem"; kłopoty sprawia tylko szersze pojęcie analityczności, które nie odwołuje się jedynie do logicznej struktury zdania. Przykładem takiego analitycznego zdania (w szerszym znaczeniu słowa „analityczny") będzie wypowiedzenie: „Wszyscy kawalerowie to nieżonaci mężczyźni". W teorii Carnapa byłyby to więc zdania prawdziwe na mocy postulatów znaczeniowych. Argumentację Quine'a można zilustrować w postaci diagramu 1.

Próba zdefiniowania analityczności zdania jako sprzeczności wewnętrznej jego negacji (1) nie jest satysfakcjonująca, ponieważ szeroko rozumiana sprzeczność wewnętrzna sama wymaga wyjaśnienia. Istotny związek między prawdami logicznymi a zdaniami analitycznymi w sensie szerszym ma polegać na tym, że te drugie dają się przekształcić w te pierwsze dzięki operacji podstawiania synonimów. Ponieważ wyrażenie „kawaler" jest synonimiczne z wyrażeniem „nieżonaty

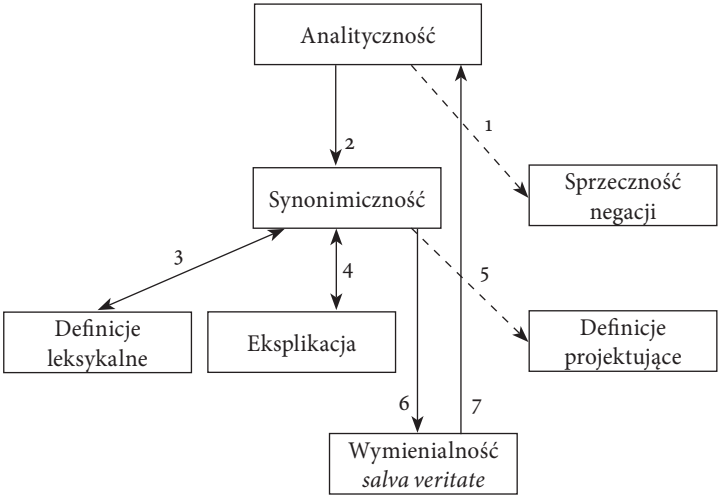

Diagram 1. Próby zdefiniowania analityczności

mężczyzna", to drugie z podanych zdań możemy sprowadzić do postaci zdania pierwszego. Prowadzi to jednak do pojęcia synonimiczności. Jak mielibyśmy zdefiniować tę relację (2)? Jedną z możliwości jest wykorzystanie definicji. Synonimami byłyby wyrażenia znajdujące się w definiendum i definiensie danej definicji. Ale skąd mielibyśmy wziąć odpowiednie definicje? Czy mamy posłużyć się tu słownikami? Byłoby to oczywiście naiwne, ponieważ słowniki te zostały przez leksykografa ułożone dzięki domniemanemu przezeń związkowi synonimiczności między wyrażeniami, które korelował, wracamy więc do pojęcia synonimiczności (3). Ale nie musimy ograniczać się do definicji leksykalnej. Może procedurą, która zaowocuje odpowiednimi definicjami będzie eksplikacja? Ma ona to do siebie, że nie oczekuje się w niej, aby definiendum było synonimem definiensa, nie wracamy więc w prostej linii do pojęcia synonimiczności. Wystarczy jednak przyjrzeć się dokładniej procedurze eksplikacji, by ostudzić swój zapał. Procedura ta opiera się na tym, że spośród istniejących użyć

eksplikowanego terminu wybieramy sobie pewne, istotne naszym zdaniem konteksty (w przypadku eksplikacji pojęcia znaczenia są to np. konteksty „ma znaczenie" i „x ma to samo znaczenie co y") i budujemy definicję tego terminu tak, aby konteksty te zachować. Załóżmy, że mamy jakiś termin „a" i kontekst X(a) – czyli zdanie albo jakieś wyrażenie złożone „a" zawierające. Powodzenie eksplikacji zależy od tego, czy nowy termin „a" da się użyć w kontekście X(a'). To „da się użyć" oznacza jednak ni mniej, ni więcej tylko synonimiczność X(a) i X(a'). Znów powróciliśmy więc do synonimiczności (4). Ostatnią możliwością, którą Quine bierze pod uwagę jest konwencjonalne wprowadzenie terminu. Rozwiązanie to wydaje się odporne na krytykę omawianego typu. Takie definicje są jednak rzadkością (5)[43]. Opuśćmy więc teren definicji. Kolejną propozycją jest zdefiniowanie synonimiczności wyrażeń jako ich wymienialności *salva veritate* (6). Rozwiązanie to prowadzi do następującej trudności: zdanie „Jest konieczne, że wszyscy i tylko kawalerowie są kawalerami" jest prawdziwe. Traktujemy wyrażenie „jest konieczne, że…" jako funktor zdaniowy, którego wartość stanowi prawda wtedy, gdy jego argumentem jest zdanie analityczne. Jeżeli założymy, że „nieżonaty mężczyzna" jest synonimem terminu „kawaler", to musimy zgodnie z najnowszą propozycją rozumienia synonimiczności uznać zdanie: „Jest konieczne, że wszyscy i tylko kawalerowie są nieżonatymi mężczyznami" za prawdziwe. Ale oznacza to, że argument funktora „jest konieczne, że…" jest zdaniem analitycznym. Wracamy więc do pojęcia analityczności (7). Oczy-

43 Na marginesie warto zauważyć, że synonimiczność zdefiniowana przez odwołanie się do definicji projektujących z pewnością nie przełoży się na wymienialność w kontekstach nieekstensjonalnych. W przypadku takich definicji nietrudno będzie bowiem znaleźć kogoś, kto nie wie o wprowadzonej konwencji, a ich konwencjonalność uniemożliwia wymienianie w kontekstach z użyciem wyrażenia: „jest konieczne, że…".

wiście, problem ten nie występuje w przypadku języków, które nie zawierają wyrażenia „jest konieczne, że". Ta część krytyki dotyczy jednak prób zdefiniowania pojęcia analityczności dla języków naturalnych. Historię naszej klęski podsumowuje zapowiadany diagram. Strzałka w jedną stronę symbolizuje próbę wyjaśnienia jednego terminu przez drugi, strzałka w obie strony wskazuje na to, że próba taka kończy się powrotem do wyjaśnianego terminu. Strzałka przerywana wskazuje rozwiązanie, które jest niezadowalające z innych względów.

Być może powinniśmy więc uznać, że zdefiniowanie pojęcia analityczności dla języków naturalnych jest zadaniem niewykonalnym, ale da się to zrobić dla oczyszczonych z wszelkich niedoskonałości języków sztucznych. Tu również nie osiągniemy, zdaniem Quine'a, powodzenia. Podstawowym problemem, który badacz wskazuje jest to, że odwołując się do języków sztucznych, uzyskamy jedynie definicję terminu „analityczny w L_o", gdzie L_o jest nazwą pewnego konkretnego języka sztucznego. Nie uda nam się jednak uogólnić tej definicji tak, aby uzyskać definicję terminu „analityczny w L" (gdzie L reprezentuje dowolny język sztuczny). Zauważono, że Quine stosuje tu w jakiejś mierze podwójne standardy – nie widzi problemu z pojęciem prawdy, zdefiniowanym na sposób Tarskiego [Woleński 2005: 434], a można by bez trudu wytoczyć wobec tego pojęcia ten sam zarzut (to właśnie zarzuca semantycznej definicji prawdy Black [1948]). Quine zauważa, że definicja analityczności w języku sztucznym może odwoływać się do pojęcia reguły języka. Analityczne jest zdanie, którego prawdziwość gwarantują reguły języka. W jaki sposób mielibyśmy jednak wyróżnić zbiór reguł? Ocztwista jest odpowiedź, że to zbiór zdań umieszczonych pod nagłówkiem „reguły". Quine'a nie zadowala takie objaśnienie – zauważa, że ten nagłówek sam jest pozbawiony znaczenia [Quine 1951: 54]. Jest to uwaga dość tajemnicza – nagłówek nietrudno odnaleźć i zinterpretować, ponieważ należy

on do metajęzyka, który musimy rozumieć, jeśli mamy w ogóle zajmować się jakimkolwiek językiem sztucznym. Istotniejszym argumentem przeciwko zdefiniowaniu analityczności jako prawdziwości na mocy reguł jest jednak to, że wydaje się to zabieg zupełnie niepraktyczny – jeśli tak, to zamiast reguł (czy też obok nich) moglibyśmy podać po prostu listę zdań analitycznych. Wydaje się, że jeśli argument o nagłówku pozbawionym znaczenia miałby gdzieś zastosowanie, to właśnie w przypadku takiej listy. Termin „analityczny w L_o" należy do metajęzyka, dlatego też definiowanie go przez odwołanie się do nagłówka „analityczny" rzeczywiście wydaje się zabiegiem utrudniającym uogólnienie definicji tego terminu dla dowolnego języka L. Nie jest to jednak argument przesądzający sprawę. Carnap zwrócił uwagę na to, że Quine zabrania podawania listy zdań analitycznych, ale nie ma przecież nic przeciwko podawaniu listy aksjomatów [Woleński 2005: 435], a jest to przecież sytuacja bardzo podobna. Wydaje się, że argumentacja Quine'a w odniesieniu do języków sztucznych jest o wiele mniej przekonująca niż argumentacja, z którą zapoznaliśmy się wcześniej. Dlatego też głównym argumentem Quine'a będzie raczej to, że ewentualny sukces w zdefiniowaniu analityczności dla języków sztucznych nie nie pozwala uporać się z tym pojęciem w przypadku języków naturalnych. Carnap miał pewne nadzieje, że „analityczność w L_o" pomoże w lepszym zrozumieniu „analityczności", zdaniem Quine'a jest to jednak nic nie dająca analogia. O wiele lepsze efekty osiągniemy, opuszczając teren semantyki i przenosząc się na teren pragmatyki w celu zbadania uczenia się języka przez dziecko [Quine 1970: 190]. Jedynie taka „przeprowadzka" pozwoli uporać się z niesfornymi pojęciami synonimiczności i analityczności.

Zaprezentowana krytyka pojęcia analityczności wywołała burzę dyskusji i deszcz artykułów. Na niektóre z zarzutów już zwróciłem uwagę. Nie będę w tej pracy przedstawiał w szcze-

gółach zarzutów, które wysunięto przeciw krytyce Quine'a, po pierwsze dlatego, że – jak wskazuje Putnam [1962b: 4] – większość głosów nie odznaczała się filozoficzną doniosłością. Po drugie, z większymi lub mniejszymi zastrzeżeniami krytyka Quine'a została w końcu przez większość filozofów języka zaakceptowana. Część, tak jak Putnam, dokonała jednak pewnych modyfikacji. Putnam skorzystał z tego, że, jak zauważono, z przeprowadzonej przez Quine'a krytyki nie wynika jasno, czy zdania analityczne nie istnieją, czy też po prostu granica pomiędzy zdaniami analitycznymi i syntetycznymi nie jest ostra [Woleński 2005: 434]. Wydaje się, że rozsądniejsze jest przyjęcie tej drugiej interpretacji. Jak zauważyli Strawson i Grice [Putnam 1962b], istnieją zdania, które uważane są za paradygmatyczne dla pojęcia analityczności i wydaje się, że musi cechować je coś szczególnego. Putnam uznał, że analityczność i syntetyczność to po prostu granice, między którymi istnieje całe spektrum możliwości – zdań z mniejszą lub większą zawartością konwencji językowej. Niektóre z wyrażeń, takie jak np. „kawaler", charakteryzują się tym, że nie konotują wiązki własności, a raczej jedną wybraną własność. Dlatego też mamy tendencję do tego, by uważać te wyrażenia za synonimy, a zdanie: „Wszyscy kawalerowie są nieżonatymi mężczyznami" za analityczne. Quine [1960: 73] zgodził się później z poprawkami Putnama.

Rozważenie teorii znaczenia Quine'a rozpocznijmy od dwóch istotnych założeń metodologicznych, które wyznaczają jej ramy. Są nimi: naturalizm i behawioryzm. Quine uznaje, że nowoczesny empiryzm nie może ignorować nauk przyrodniczych. Jest to nie tylko niepraktyczne, ale i niemożliwe. Dawny empiryzm odwoływał się do nieskażonych danych zmysłowych, które miały stanowić epistemologiczną podstawę. Robiąc to, nie przestawał jednak zerkać kątem oka w stronę nauk przyrodniczych [Quine 1960: 14]. Próby te nie

przyniosły zresztą zadowalających efektów i Quine całkowicie podzielał zdanie Wittgensteina o niemożności stworzenia prywatnego języka. Naturalizm Quine'a znajduje swój wyraz w przekonaniu, że wiedza, umysł i znaczenia są częścią tego samego świata, którego dotyczą [Quine 1968: 185]. Powinny być zatem badane za pomocą metod empirycznych. Odwołanie się do behawioryzmu bierze się z odrzucenia mitu muzeum, o którym była już mowa wcześniej. Tworząc teorię języka, mamy do dyspozycji jedynie słowa i zachowania jego użytkowników.. Język jest zbiorem dyspozycji do zachowań werbalnych [Quine 1960: 40]. Tak wyraźnie deklarowany behawioryzm może uruchomić dwa zarzuty. Po pierwsze, można twierdzić, że jest to nietrafny wybór, ponieważ behawioryzm jest po prostu zbyt restrykcyjny, by mówić w nim o języku. Po drugie, wątpliwości budzić może odwoływanie się do dyspozycji. Rozważmy oba te zarzuty, zaczynając od pierwszego z nich.

Wybór behawioryzmu nie jest podyktowany, zdaniem Quine'a, ani ostrożnością, ani empirystycznymi przesądami. Jest to jedyne sensowne rozwiązanie. O ile w przypadku psychologii nie musimy być behawiorystami, o tyle w przypadku lingwistyki nie mamy innego wyjścia [Quine 1987: 5]. Jest tak dlatego, że każdy uczący się języka człowiek opiera się na obserwacji zachowań[44]. Nie udało nam się, jak na razie, odnaleźć żadnych innych źródeł poznawczych, które wspomagałyby tę naukę. Nawet gdyby neurofizjologia rozwinęła się na tyle, że poza obserwacją zachowań mielibyśmy również wgląd w mechanizm ich wywoływania (czyli w dyspozycje), to i tak niezmienny pozostałby fakt, że wglądu tego nie ma żadne dziecko wchodzące w świat komunikacji społecznej. Ale co z pojęciem

44 Nie jest to z pewnością argument, który przekonałby przeciwników behawioryzmu. W szczególności nie oddala on pretensji natywizmu w stylu Chomsky'ego.

dyspozycji? Uważa się je za problematyczne, ponieważ wydaje się ono skrótem okresu warunkowego, który jest kontekstem nieekstensjonalnym. Powiedzieć o czymś, że jest rozpuszczalne, to powiedzieć o nim, że rozpuściłoby się, *gdyby* zostało zanurzone w wodzie. Wygląda więc na to, że mówiąc o dyspozycjach, angażujemy się w rozważania o światach możliwych. Quine ma na to jednak dobrą odpowiedź. Rozróżnienie terminów dyspozycyjnych od „porządnych" własności jest dość iluzoryczne. Mówimy, że „czerwony" jest własnością, a „rozpuszczalny" dyspozycją, ale równie dobrze moglibyśmy uznawać, że „czerwony" to dyspozycja do odbijania światła w ten, a nie inny sposób [Quine 1960: 255]. Dyspozycje wyróżnia raczej to, w jaki sposób je wskazujemy – jest to zazwyczaj test albo opis objawów [Quine 1995: 36]. Jak zauważyliśmy wcześniej, Carnap zwrócił uwagę na trudności w zdefiniowaniu własności dyspozycyjnych. Quine zauważa, że definicję taką możemy podać, wykorzystując to, że w praktyce mówimy o dyspozycjach, postulując tożsamość pewnej ukrytej własności przedmiotu (której zazwyczaj jeszcze nie znamy) [Quine 1960: 254]. Sprowadza się to do tego, iż uważamy, że rozpuszczalne są wszystkie przedmioty, które mają tę samą strukturę co przedmiot, o którym wiemy, że się rozpuścił. Dyspozycja to po prostu owa ukryta struktura. Dlatego też, jeśli wprowadzimy relację tożsamości struktury molekularnej – nazwijmy ją *x*M*y* (*x* ma tę samą strukturę molekularną co *y*), to zamiast mówić „*x* jest rozpuszczalny" możemy powiedzieć [Quine 1960: 256]:

$$\exists y(\ x\mathrm{M}y \wedge y \text{ rozpuszcza się w wodzie})$$

Uporawszy się z tymi dwoma narzucającymi się zarzutami, możemy przejść do wyników behawioralnej analizy języka. Quine osiąga swoje cele dzięki podwójnej spekulacji. Po pierwsze, spekuluje na temat tego, w jaki sposób gatunek

ludzki wypracował narzędzie, jakim jest język. Drugim tematem spekulacji jest to, w jaki sposób dziecko uczy się języka[45]. Obie te drogi prowadzą do podobnych wniosków. W praktyce, opis dany przez Quine'a pozwala nam stwierdzić, że dziecko powtarza po prostu większość kroków, które gatunek ludzki musiał w swej prehistorii przebyć. Dlatego też nie będę tu rozważał obu dróg z osobna.

Pierwszym etapem nauki języka jest przyswojenie sobie okazjonalnych zdań obserwacyjnych. W przypadku dziecka będzie to zapewne jednowyrazowe zdanie „Mama", w przypadku naszych przodków mogło to być ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem lub powiadomienie współplemieńców o pojawieniu się czegoś jadalnego. Przyswojenie tego zdania polega na wyrobieniu w sobie dyspozycji do wydawania odpowiedniego dźwięku w obecności odpowiedniego bodźca. Jest to w praktyce odpowiednik pokrzykiwania wśród zwierząt. Bodziec traktuje Quine w dość szczególny sposób. Ponieważ zależy mu na tym, aby powiedzieć coś na temat tego, w jaki sposób udaje nam się opisywać świat na podstawie niezwykle skromnych danych, jakie mamy, to punktem wyjścia nie są przedmioty, które obserwujemy, lecz pobudzenia, które te przedmioty wywołują. Bodźcem jest więc całość receptorów, pobudzonych w danym momencie, które powiązane są z daną reakcją[46]. Nasuwa się tu oczywista wątpliwość – dlaczego właściwie mielibyśmy zatrzymywać się na powierzchni ciała? Czy nie moglibyśmy przejść od razu do pewnych stanów neuronów w mózgach użytkowników języka? Quine odrzuca tę możliwość, ponieważ zdaje sobie sprawę, że opis ten byłby,

45 Pojawienie się spekulacji filozoficznej w tej koncepcji jest nieuniknionym efektem naszej niewiedzy o początkach języka i oporów moralnych przed eksperymentowaniem na dzieciach.

46 To, które z receptorów powiązane są z reakcją, możemy ustalić empirycznie.

po pierwsze, o wiele bardziej skomplikowany [Quine 1993: 115], a po drugie – dotyczyłby czegoś, co jest w dużej mierze kwestią osobniczą, dlatego tworząc teorię chciałby się trzymać z dala od „idiosynkratycznych ścieżek połączeń nerwowych" [Quine 1960: 44]. Uwarunkowanie zdań obserwacyjnych wymaga pewnej jednorodności wśród użytkowników języka. Muszą oni mieć coś w rodzaju wrodzonej skali podobieństw. Inaczej, wszelka nauka nie byłaby możliwa, ponieważ ludzie nie byliby w stanie ujednolicić swych reakcji. Sprowadza się to do tego, że jesteśmy wyczuleni na pewne różnice jakościowe, a stosunkowo obojętni na inne. Bezpośrednie powiązanie z bodźcem sprawia, że nie mamy większych kłopotów z rozstrzyganiem zdań obserwacyjnych. Ostatecznie Quine wyróżnia zdania obserwacyjne, odwołując się właśnie do prędkości, z jaką użytkownik języka potwierdza je lub odrzuca. Powinien to zrobić w bardzo krótkim czasie (bez widocznego namysłu), niezależnie od tego, czym akurat się zajmował [Quine 1990: 17]. Przyjmijmy to wyjaśnienie, choć wydaje się ono nieco naiwne. Nie ma wątpliwości, że jest to prawda o zdaniach takich, jak „Pali się", ale w przypadku wielu innych zdań obserwacyjnych w grę wchodzą prawdopodobnie inne czynniki, które kryterium to czynią niezbyt praktycznym (z łatwością wyobrazić sobie mogę sytuację, w której ktoś nie reaguje na zdanie: „Patrz, zachód słońca", ponieważ jest akurat czymś bardzo zajęty). Związek między zdaniem obserwacyjnym a odpowiednim bodźcem jest podstawą behawiorystycznego substytutu pojęcia znaczenia. Pobudzone receptory są znaczeniem bodźcowym tego zdania. Należy jednak pamiętać, że jest to pojęcie zrelatywizowane do danego użytkownika języka. Aby przejść do znaczenia bodźcowego, zdefiniowanego dla całej wspólnoty językowej, trzeba odwołać się do podobieństw w rozmieszczeniu bodźców u członków tej wspólnoty. Jak zobaczymy później, rozwiązanie to okazuje się problematyczne.

A co z odniesieniem przedmiotowym? O żadnym odniesieniu nie ma jeszcze mowy. Przede wszystkim nie wyszliśmy poza zdania, a te nie mają, według Quine'a, żadnego odniesienia, bo ono pojawi się dopiero z chwilą opanowania dość złożonej aparatury gramatycznej (w szerokim tego słowa znaczeniu). Kolejnym krokiem w procesie przyswajania języka jest oparta na zaobserwowaniu w przyswojonych już zdaniach powtarzających się fragmentów, konstrukcja nowych zdań. W tym miejscu pojawia się predykacja, która jest pierwszym krokiem w stronę reifikacji, czyli wyodrębniania przedmiotów (a więc i odniesienia). Zdanie: „Oto czarny kruk" nie wyróżnia jeszcze niczego w rodzaju przedmiotu i jego własności. Jest to zdanie obserwacyjne, stwierdzające wystąpienie czerni i krukowatości w tym samym momencie. Co więcej, okazuje się, że przejście do zdań wykraczających poza teraźniejsze doświadczenie również nie wprowadza niczego w rodzaju odniesienia. Mówiąc: „Kiedy pada, jest zimno", wyrażam jedynie swoje oczekiwanie co do następowania po sobie dwóch odpowiednich bodźców. Dopiero wprowadzenie kwantyfikacji pociąga za sobą odniesienie przedmiotowe. Powiedzenie: „Gdziekolwiek jest kruk, jest on czarny" różni się bardzo od powiedzenia: „Gdziekolwiek jest kruk, jest tam czarny kruk". Zdania te nie są równoważne, drugie z nich dopuszcza białe kruki, jeśli tylko będą one współwystępowały z czarnymi. To zaimek „on", występujący w pierwszym zdaniu przesądza o tym, że krukowatość i czerń przypisuje się temu samemu przedmiotowi. W tym miejscu pojawia się postulowany przedmiot, który jest nośnikiem pewnej własności [Quine 1995: 46].

Pojawienie się odniesienia jest ściśle związane z relacją identyczności. W przypadku naszego wyjściowego zdania obserwacyjnego „Mama" odniesienie rozpoczyna się z chwilą, gdy przystaniemy na jakieś warunki tożsamości mamy. Dopóki nie uznamy, że mama-wczoraj i mama-dzisiaj to ta

sama mama, moglibyśmy równie dobrze traktować ją jako występujące dość często zjawisko[47]. W ten sposób fragmenty zdań obserwacyjnych zaczynamy traktować jako nazwy obiektów o rozmaitych warunkach tożsamości, wyznaczonych przez użycie terminów w rodzaju „taki sam", „inny", a także całej aparatury gramatycznej, złożonej z zaimków, liczby mnogiej, przedimków (w przypadku języka angielskiego). Nasz język zostaje w ten sposób wyposażony w dość skomplikowaną teorię, ujmującą doświadczenia w kategoriach przedmiotów, procesów, zjawisk, własności i relacji. Pod wieloma względami cały ten aparat nie różni się od instrumentarium naszych zaawansowanych teorii empirycznych, takich jak fizyka. Dlatego też Quine dość swobodnie przechodzi od rozważań nad językiem do refleksji nad teoriami naukowymi. Nie powinno nas to dziwić. Opis nauki języka (czy też jego wytworzenia w przypadku filogenezy) bardzo przypomina to, co Quine ma do powiedzenia na temat działalności naukowców (na co zresztą sam zwraca uwagę). Naukowiec wychodzi od pewnych zdań obserwacyjnych, a następnie formułuje sieć hipotez, które pozwalają przewidywać kolejne obserwacje. Uczący się języka poznaje pewien zasób zdań obserwacyjnych, a następnie formułuje sieć hipotez co do tego, jak można by te zdania podzielić na kawałki tak, aby uzyskać najlepszy możliwy zestaw,

47 Uzależnienie odniesienia przedmiotowego od umiejętności posługiwania się językiem wyposażonym w relację identyczności prowadzi do konieczności uznania, że zwierzęta nie postrzegają przedmiotów, co wydaje się wysoce nieintuicyjne. Czy pies cieszący się na widok swego pana nie postrzega pewnego przedmiotu, który właśnie do niego powrócił? Wydaje się, że ulegamy tu jednak naszej, skądinąd dobrze znanej, skłonności do antropomorfizacji – radość na widok człowieka traktujemy jako dowód na „postrzeganie przedmiotów", ale szczekanie na dzwonek u drzwi jest już „reagowaniem na podobny bodziec". Trudno byłoby to rozróżnienie w sensowny sposób uzasadnić. Szczegółową analizę takich przypadków znajdzie czytelnik w: Grabarczyk [2013b].

pozwalający na konstruowanie nowych zdań, w tym, nowych zdań obserwacyjnych. Analogia zachodzi także między treścią empiryczną zdań nauki a znaczeniem zdań języka potocznego. O większości zdań teorii naukowej nie możemy powiedzieć, że wzięte w izolacji od innych posiadają treść empiryczną (mają ją także zdania razem wzięte). Jest tak dzięki temu, że służą wyprowadzaniu zdań obserwacyjnych, które znajdują się, jak pamiętamy, na obrzeżach pola. Sens tej uwagi należy rozumieć następująco: dzięki założonemu w tej teorii holizmowi, zdania wewnątrz pola (tj. takie, które same nie są zdaniami obserwacyjnymi i nie posiadają żadnych bezpośrednich związków ze zdaniami obserwacyjnymi) uzyskują znaczenie empiryczne tylko dzięki relacji, w jakiej pozostają do zdań z brzegów pola (czyli do zdań obserwacyjnych). Rozpatrywane niezależnie od swojego związku ze zdaniami obserwacyjnymi zdania ze środka pola nie mają żadnego znaczenia empirycznego, ponieważ mogłyby być równie dobrze włączone w sieć języka w jakimś innym miejscu i powiązane z innymi zdaniami obserwacyjnymi. Podobnie jest, jak zobaczymy, w przypadku znaczenia zdań – o większości można powiedzieć, że mają znaczenie dzięki związkom z pewną specjalną klasą zdań – zdaniami obserwacyjnymi. Do analogii między językiem a nauką powrócę jeszcze w zakończeniu tej pracy.

Zauważmy jednak, że czym bardziej oddalamy się od paradygmatu zdań obserwacyjnych, tym trudniej utrzymywać, że ich znaczenie jest bodźcowe, a tym bardziej próbować generalizować je dla całej wspólnoty. W grę zaczynają tu wchodzić różnice wynikające z rozmaitości szczegółów występujących w procesie nabywania przez różnych ludzi kompetencji językowej [Quine 1960: 59], co samo w sobie brzmi trochę jak zmartwychwstanie teorii języków prywatnych. Dlatego też Quine odrzuca pojęcie tożsamości znaczenia w przypadku zdań innych niż obserwacyjne, a powodzenie komunikacji opiera na

płynności dialogu. Na pierwszy rzut oka wydaje się to dość dziwne, a może nawet nieco cyniczne, ale w gruncie rzeczy sprowadza się do dość naturalnej obserwacji – w przypadku zdań słabo powiązanych z pozawerbalnymi bodźcami rolę bodźców zaczynają odgrywać same fragmenty dyskursu.

A co z odniesieniem przedmiotowym i znaczeniem terminów (pojęcie odniesienia zdań zostało już odrzucone)? Znaczenie terminów jest dla Quine'a wtórne wobec znaczenia zdań, zawdzięczają one swoje znaczenie roli, którą pełnią w zdaniach [Quine 1990: 65]. Quine nie rozważa tej kwestii, ponieważ podaje znaczenie bodźcowe wyłącznie dla zdań. Można jednak zastanawiać się, czy (przynajmniej w przypadku pewnej klasy terminów) nie można mówić o znaczeniach bodźcowych. Termin „królik" mógłby po prostu dziedziczyć znaczenie bodźcowe jednowyrazowego zdania obserwacyjnego „Królik", ponieważ w innym przypadku nie mógłby nam posłużyć do budowania nowych zdań obserwacyjnych, takich jak np. „Biały królik". Budowanie takich nowych zdań jest niezwykle istotnym etapem naszej nauki języka – gdybyśmy tego nie potrafili, to każdego zdania obserwacyjnego musielibyśmy się uczyć oddzielnie poprzez żmudny proces warunkowania. Warunkowanie zaczyna w tym miejscu odgrywać rolę na zupełnie innym poziomie – wzmacniane są pewne schematy budowania nowych zdań. Zdanie: „Czarny pies" spotyka się z aprobatą rodziców, zdanie: „Psia czerń" – z brakiem aprobaty.

Skąd jednak wiemy, że nasz rozmówca odnosi się do tych samych przedmiotów co my? Rozwiązanie zostało już w zasadzie podane. Intersubiektywna tożsamość odniesienia przedmiotowego sprowadza się do dwóch rzeczy. Po pierwsze, członkowie wspólnoty muszą w ten sam sposób dzielić zdania na kawałki – a więc w ten sam sposób posługiwać się aparaturą złożoną z zaimków, relacji tożsamości, liczby mnogiej i innych narzędzi gramatycznych. Po drugie, w przypadku, gdy dany termin

służy do konstruowania zdań obserwacyjnych, musi zachodzić tożsamość znaczenia bodźcowego. W przypadku terminów takich jak „królik" udaje się, przynajmniej częściowo, utrzymywać intuicję, zgodnie z którą znaczenie wyznacza odniesienie. Nietrudno z tego wywnioskować, że w przypadku terminów, które nie służą do tworzenia zdań obserwacyjnych, w szczególności w przypadku tych wszystkich terminów, które zazwyczaj zwiemy terminami abstrakcyjnymi, jedynym kryterium znów pozostaje płynność dialogu. Sprowadza się to do pierwszego z podanych warunków – odnosimy się do tych samych przedmiotów, gdy w ten sam sposób wiążemy je w zdaniach z zaimkami i relacją tożsamości. W tym miejscu niezwykle ostro wychodzi na jaw ograniczona użyteczność pojęcia „znaczenia bodźcowego" jako ewentualnej eksplikacji pojęcia znaczenia. Zauważmy, że pewna przedkrytyczna intuicja zostaje tu postawiona na głowie. Mówiąc zupełnie swobodnie, moglibyśmy spodziewać się, że odniesienie wyrażeń będzie jakiegoś rodzaju relacją między językiem a rzeczywistością pozajęzykową, a znaczenie wyrażeń – czymś zależnym od relacji zachodzących między nimi. W przypadku odniesienia i znaczenia bodźcowego, o których mówi Quine, jest dokładnie odwrotnie. Związek z rzeczywistością pozajęzykową zapewnia nam znaczenie bodźcowe, a odniesienie okazuje się wynikiem związku danego terminu ze specjalną klasą wyrażeń języka[48]. Pamiętajmy jednak, że nie jest to efekt przewrotności Quine'a, a wynik jego systematycznych analiz.

Czy moglibyśmy generalizować dalej i powiedzieć coś na temat tożsamości znaczenia i odniesienia nie tylko w danej wspól-

48 Używam tu słowa „wyrażenie" na tyle ogólnie, że odnosi się ono również do takich elementów języka, jak końcówka liczby mnogiej, co jest prawdopodobnie pewnym nadużyciem. Upraszcza to jednak sprawę, a nie ma znaczenia dla kwestii niezgodności z intuicją, o której piszę.

nocie językowej, lecz także w przypadku osób mówiących dwoma różnymi językami? Okazuje się, że napotykamy tu poważny problem. Jego świadectwem i zarazem rozwiązaniem jest słynna teza Quine'a o indeterminacji przekładu. Sporą trudnością jest to, że sama ta teza jest, by pozwolić sobie na drobną złośliwość, nie do końca zdeterminowana. Jak to ujął Searle:

> Uderzającą cechą całej dyskusji w tej sprawie jest pośpiech z jakim szokujące konkluzje wyprowadzane są na podstawie kilku lakonicznych uwag i ledwie naszkicowanych przykładów [Searle 1987].

Na szczęście Quine podał później dodatkowe przykłady. Kłopot jednak w tym, że mimo tych przykładów i uwag na temat indeterminacji, spójne przedstawienie tej tezy nie jest zadaniem łatwym. Głównym problemem jest kwestia relacji między indeterminacją przekładu a indeterminacją odniesienia. Najlepszą ilustracją tej trudności może być to, że ikoniczny przykład indeterminacji przekładu – przykład z *Gavagai* – okazuje się, w świetle późniejszych uwag Quine'a, przykładem indeterminacji odniesienia. Quine przyznaje, że rozróżnienie pomiędzy tymi dwoma typami indeterminacji nigdy nie było dla niego do końca jasne [Quine 1990: 86]. W przedstawionej tu interpretacji opieram się głównie na artykule *Ontological relativity*, który jest, moim zdaniem, najjaśniejszą prezentacją tej kwestii. Szersze objaśnienie związku pomiędzy indeterminacją przekładu a względnością odniesienia znajdzie czytelnik w tekście *Od wrażenia do wyrażenia* [Grabarczyk 2008].

Teza o indeterminacji przekładu opierała się początkowo na pewnym eksperymencie myślowym. Jego szczegóły będą nam później potrzebne, więc opiszę go teraz pokrótce. Eksperymentem tym jest przekład radykalny, czyli zadanie polegające na stworzeniu podręcznika przekładu dla kompletnie nieznanego

języka. Z czego może korzystać nasz ambitny lingwista? Może on obserwować zachowania tubylców, zadawać pytania i testować zasłyszane ciągi dźwięków w rozmaitych sytuacjach. Już na samym początku musi ustalić, co jest znakiem potwierdzenia, a co zaprzeczenia w języku tubylców – nie jest to poważny problem, ewentualna pomyłka zostanie szybko zauważona. Na podstawie tych niezwykle skąpych źródeł musi on utworzyć rzeczywisty podręcznik – taki, który pozwoli na przekładanie zdań, których lingwista nigdy nie zasłyszał. Ważne jest, aby pamiętać, że nałożone na badacza restrykcje nie służą żadnemu celowemu utrudnieniu zadania. Radykalność tego przekładu bierze się nie z surowości reguł gry, lecz stąd, że nie możemy odwoływać się do żadnych osób dwujęzycznych. Chodzi o to, by podkreślić fakt, o którym wspomnieliśmy już przy okazji omawiania założonego przez Quine'a behawioryzmu. Tak właśnie wyglądałby przekład nie zapośredniczony przez żadne osoby dwujęzyczne, ponieważ inne świadectwa poza obserwacją zachowań nie są wówczas dostępne. Jak radzi sobie nasz lingwista? Może sporządzić sobie trzy listy skorelowanych ze zdaniami jego rodzimego języka zdań języka tubylców. Po pierwsze, będą to zdania obserwacyjne. Do tej kategorii należy przykładowe zdanie *Gavagai*, które nasz lingwista zasłyszał od tubylców obserwujących królika. Zauważył również, że gdy królika w okolicy nie ma, krajowcy zaprzeczają temu zdaniu. Odnotował także istnienie zdań, które krajowcy potwierdzają niezależnie od okoliczności, znalazły się także takie zdania, które krajowcy zawsze odrzucali. Dzięki temu sporządził sobie drugą listę – zdań analitycznych i kontradyktorycznych. Zauważył również, że są zdania, które krajowcy akceptują tylko wtedy, gdy zaakceptowali inne zdanie. Dzięki takim parom zdań udało mu się odkryć przekłady spójników logicznych. W tym momencie musi on jednak dokonać bardzo istotnej operacji – musi zacząć dzielić zebrane zdania na kawałki i dokonać

jakiegoś przyporządkowania im terminów własnego języka. Robi to, stawiając hipotezy analityczne, czyli tworzy próbne podziały, które następnie testuje budując nowe zdania. Problem indeterminacji odniesienia polega na tym, że choć nie ma wątpliwości co do tego, że właściwym przekładem zdania *Gavagai* jest zdanie „Królik", to założenie, że termin „królik" jest właściwym przekładem terminu *gavagai*, okazuje się już czczą nadzieją naszego lingwisty. Skąd bierze się ta różnica? Dotyczy ona całego aparatu językowego, który, zdaniem Quine'a, wyznacza odniesienie przedmiotowe. Przekładając go na swój język tłumacz mógł posiłkować się tylko i wyłącznie hipotezami analitycznymi. Składniki tego aparatu nie mają jednak żadnego uchwytnego znaczenia bodźcowego, które mogłoby wymusić na tłumaczu ten, a nie inny przekład. W grę wchodzi jeszcze cała gama konkurencyjnych propozycji. Być może *gavagai* powinniśmy przekładać nie jako „królik" , lecz „dopełnienie kosmiczne królika", „zbiór jednoelementowy zawierający królika", „nieodłączna część królika" albo „faza czasowa królika". Każdy z tych przekładów byłby równie dobry pod warunkiem dokonania rewizji hipotez analitycznych i odmiennego przekładu aparatury gramatycznej, wyznaczającej odniesienie. Podane przez Quine'a inne przykłady rzucają na sprawę trochę światła. Najprostszym z nich, ilustrującym raczej mechanizm prowadzący do indeterminacji niż samą indeterminację, jest przykład z francuskim zwrotem *Ne…rien*. Mamy tu dwie możliwości. Możemy przełożyć *rien* na angielskie *nothing* lub *anything*. Zależy to od tego, co zrobiliśmy z *ne*. Tak jak wspomniałem, przykład ten ilustruje ogólny mechanizm wywołujący indeterminację – jest nim możliwość wycinania różnej wielkości kawałków ze zdań i traktowania ich jako przekłady pewnych naszych terminów [Quine 1968: 188]. Innym przypadkiem indeterminacji jest przekład z języka japońskiego. Występują tam determinatory, które uważa się zazwyczaj za związane z liczeb-

nikami. Jeden z determinatorów sprawia, ze liczebnik nadaje się do liczenia przedmiotów drewnianych inny, pozwala na zliczanie cienkich podłużnych przedmiotów itd. Ale załóżmy, że traktujemy determinator jako związany z rzeczownikiem, a nie z liczebnikiem. W efekcie uzyskujemy równie dobry przekład, ale z założeniem zupełnie innej ontologii – uznajemy po prostu rzeczownik za masowy, a determinator za wyrażenie, które go indywidualizuje, takie jak „sztuka" albo „porcja". Przykład ten dobrze ilustruje to, co powiedzieliśmy dotychczas o odniesieniu. Oba te przekłady sprawiają, że dany rzeczownik zostaje przełożony jako odnoszący się do czegoś innego. W pierwszym przypadku będzie to na przykład drewniana belka, w drugim drewno. Ale różnica ta nigdy nie wyjdzie na jaw w przełożonym zdaniu: w obu przypadkach będzie to np. *pięć drewnianych belek*. Na tym polegałaby indeterminacja odniesienia. A czym jest indeterminacja przekładu? Jest to po prostu mechanizm, który wywołał indeterminację odniesienia – możliwość przełożenia pewnych kluczowych dla odniesienia terminów na dwa sposoby [Quine 1968: 198].

Wróćmy do naszego lingwisty. Indeterminacja przekładu rozpoczyna się jeszcze zanim dokona on przekładu zaimków, relacji tożsamości i dostosuje narzędzia gramatyczne, takie jak fleksja czy końcówka liczby mnogiej. Przekłady te są zwieńczeniem procesu, który rozpoczął się już wtedy, gdy lingwista przełożył pierwsze zdanie – dokonując tego przekładu zestawił je bowiem ze zdaniem rodzimego języka, w którym istnieje odpowiednia aparatura. Kierując się pewnymi pragmatycznymi zasadami, przełożył bowiem *Gavagai* na „Królik", a nie na „Nieodłączna część królika" lub coś jeszcze innego. Mógł jednak zacząć inaczej, czym bowiem różnią się te konkurencyjne przekłady? Mają dokładnie to samo znaczenie bodźcowe, nie różnią się odniesieniem, ponieważ jako zdania odniesienia nie posiadają. Jedyna różnica dotyczy ich wewnętrznej konstruk-

cji, a ta jest uzależniona od aparatury ustalającej odniesienie terminów w języku lingwisty. Dlatego Quine może twierdzić, że jedną z uchwytnych różnic między indeterminacją przekładu a indeterminacją odniesienia jest to, że pierwsza dotyczy zdań, a druga terminów [Quine 1990: 84].

Teza o indeterminacji przekładu wywołała wiele sporów, wspomnę tu o dwóch narzucających się zarzutach, które warto rozważyć. Pierwszy pochodzi od Zabłudowskiego [1989], który wskazuje, że Quine posługuje się pojęciem „zgodności z doświadczeniem". Nie da się go w żaden sensowny sposób wysłowić, stosując przyjęte przez Quine'a założenia. Wydaje się, że zarzut ten nie jest słuszny. Zgodność z doświadczeniem rzeczywiście dotyczy potwierdzania zdań obserwacyjnych, ale nie możemy zapominać, że posiadamy jeszcze inne kryterium poprawności przekładu – płynność dialogu. Jeśli moi rozmówcy nie wyglądają na całkowicie zdezorientowanych[49] i żywo ze mną dyskutują, to mogę założyć, że dobrze pociąłem na kawałki zdania. Nietrudno tu o wątpliwość sceptyczną – czy płynność tego rodzaju nie mogłaby stanowić jedynie efektu szczęśliwego zbiegu okoliczności? Wydaje się, że nie można tego wykluczyć, aczkolwiek prawdopodobieństwo takiego zdarzenia spada wraz z liczbą i różnorodnością interakcji. Jeżeli tylko płynność dialogu traktować będziemy odpowiednio szeroko (jako płynność kooperacji, której dialog jest szczególnym przypadkiem), to niełatwo nam będzie o wiarygodny sceptyczny scenariusz. Weźmy pod uwagę przykład, w którym obie strony potwierdzają zdanie „Leci strzała". Płynność kooperacji wymaga nie tylko wspólnej zgody na opis obserwowanej sytuacji, lecz także wspólnego działania, mającego na celu uniknięcie trafienia.

49 Zależy to też oczywiście od tego, *co* mówię – zdezorientowanie mógłbym osiągnąć również, przedstawiając po prostu jakieś dziwaczne poglądy. Pomińmy jednak ten szczegół.

Pozostaje wszak jeszcze jedna, związana z tym kwestia. Założyliśmy, że kilka możliwych podręczników przekładów spełnia kryterium zgodności z doświadczeniem. Są one jednak różne, tzn. w jakimś sensie niezgodne ze sobą. Jaką niezgodność ma tu Quine na myśli? Niezgodność podręczników przekładu ze sobą nawzajem możemy rozpoznać po tym, że biorąc jakiś ciąg zdań tubylców (rozumiany jako fragment płynnego dyskursu) i przekładając go na nasz język w taki sposób, że co drugie zdanie, poczynając od pierwszego, przełożymy za pomocą pierwszego z dwóch podręczników, a co drugie, poczynając od drugiego – za pomocą drugiego, to uzyskamy w ten sposób przekład nie będący fragmentem płynnego dyskursu. Wydaje się więc, że pojęcie zgodności w obu sensach jest, przy zachowaniu założeń Quine'a, możliwe do utrzymania.

Drugi zarzut pochodzi z artykułu Searla, który uważa, że formułując tezę o indeterminacji przekładu Quine zdezawuował po prostu behawioryzm, przedstawiając jego *reductio ad absurdum*. Argument Searla wygląda następująco: Quine zakłada dwie tezy: (1) że jedynymi świadectwami dla badacza są obserwowalne zachowania członków danej wspólnoty językowej oparte na relacji bodziec – reakcja i (2) że w przypadku konkretnego zachowania językowego nie ma różnicy między tym, czy użytkownik języka miał na myśli królika, czy też np. stadium królika. Searle uważa, że punktu (2) po prostu nie można przyjąć, ponieważ każdy z nas wie, czy ma na myśli królika, czy też jego stadium, a teza o indeterminacji powinna obowiązywać również w zastosowaniu do naszego języka [Searle 1987: 159]. To, że Searle odwołuje się do „tego, co użytkownik języka ma na myśli", wynika ze sformułowania, którym posłużył się Quine. Oryginalna postać argumentacji o indeterminacji przekładu służyła bowiem ostatecznemu odrzuceniu mitu muzeum. Chodziło o wykazanie, że przekład będący podstawą sprawnej komunikacji nie zależy od „znaczeń

w głowach". To rzeczywiście udało się pokazać, ale czy rzeczywiście nie sprowadzono przez to behawioryzmu do absurdu? Aby to ustalić, musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, które przesądza argumentacja Searla: Czy indeterminacja dotyczy również naszego języka? Wydaje się, że możemy odrzucić taką możliwość. Quine zauważa, że mówić o odniesieniu możemy tylko i wyłącznie relatywnie do całej sieci wyrażeń pomocniczych, które odniesienie ustalają [Quine 1968: 200]. Odpowiedź na pytanie: „do czego odnosisz słowo *królik*" musi paść w jakimś języku. System wyrażeń ustalających odniesienie wyrażeń tego języka muszę po prostu brać za dobrą monetę. Ale nie chodzi tu o kapitulację w obliczu regresu w nieskończoność. Chodzi o to, że pytanie o odniesienie nie ma sensu poza wybranym systemem [Quine 1968: 201]. Ostatecznym, rozstrzygającym systemem jest coś, co Quine nazywa *mother tongue*, którym jest pierwszy język naturalny, dzięki któremu udało mi się nauczyć wszystkich innych języków. Mówiąc, że „królik" odnosi się do królików, przesądzam sprawę, stosując końcówkę liczby mnogiej. Gdybym powiedział: „królik odnosi się do królika", to traktowałbym to słowo jak termin masowy[50]. Dodatkowo, choć Quine nie posługuje się tym argumentem, można zauważyć, że trudno byłoby pogodzić ewentualną niewykrywalność indeterminacji idiolektów poszczególnych członków wspólnoty językowej z kryterium niezgodności dwóch równorzędnych podręczników przekładu – musiałyby występować ciągłe przerwy w płynności komunikacji.

Teza o indeterminacji przekładu/odniesienia może jednak rodzić inną jeszcze wątpliwość. Czy, mówiąc dość swobodnie, nie sprowadza się ona po prostu do różnicy czysto werbalnej? Aby przybliżyć to, o co mi tutaj chodzi, posłużę się następują-

50 Biorąc pod uwagę określenia, takie jak „sezon na królika", wydaje się, że jest to ontologia myśliwych.

cym przykładem. Załóżmy, że znajdujemy się z kimś w pokoju i wypowiadamy następujące zdania:

(1) *Wazon jest na obrusie.*
(2) *Obrus jest na stole.*
(3) *Stół jest na dywanie.*
(4) *Dywan jest pod stołem.*
(5) *Stół jest pod obrusem.*
(6) *Obrus jest pod wazonem.*

Tymczasem człowiek, który znajduje się w tym pokoju razem z nami, konstatuje:

(1') *Wazon jest pod obrusem.*
(2') *Obrus jest pod stołem.*
(3') *Stół jest pod dywanem.*
(4') *Dywan jest nad stołem.*
(5') *Stół jest nad obrusem.*
(6') *Obrus jest nad wazonem.*

Dość naturalną reakcją na taką sytuację będzie założenie, że człowiek ten używa wyrażeń „jest nad" i „jest pod" dokładnie odwrotnie niż my. Będzie to jednocześnie przypadek tego, co określiłem właśnie jako różnicę czysto werbalną – nie założymy, że człowiek ten ma jakąś odmienną od nas teorię relacji przestrzennych między przedmiotami. Różnica dotyczy tylko zamiany ról wyrażeń „jest nad" i „jest pod". Zdanie (1) odpowiada więc zdaniu (1'), (2) – (2') itd. Indeterminacja przekładu nie może opierać się na czymś w tym rodzaju. Quine rozważa np. przypadek, w którym ktoś konstruuje logikę ze wszystkimi regułami alternatywy przypisanymi koniunkcji i na odwrót. Słusznie zauważa, że różnica polega jedynie na tym, że ktoś używa słowa „alternatywa" tam, gdzie my używamy słowa „koniunkcja". Nie jest to inny system, a tylko inna notacja. Nie ma sensu dopatrywać się w tym niczego więcej [Quine 1970: 152].

Możliwa jest też odmienna interpretacja przytoczonego przykładu. Człowiek ten mógłby używać słów „jest pod" i „jest nad" dokładnie tak samo, jak my. Wystarczy, że używa on słowa „wazon" dokładnie tak jak my używamy słowa „dywan", a słowa „obrus" dokładnie tak, jak my używamy słowa „stół". Wtedy, przyporządkowanie pomiędzy zdaniami wygląda następująco: (1)–(4'), (2)–(5'), (3)–(6'), (4)–(1'), (5)–(2'), (6)–(3'). Być może to jest przypadek indeterminacji przekładu. Czyżby ilość przeszła w jakość? Sądzę, że nic takiego nie ma tu miejsca. Przypadek ten jest również różnicą czysto werbalną. Uważam go za istotny, ponieważ wystawia nasze intuicje na próbę. W przypadku pierwszym nie mamy wątpliwości co do tego, że wszystkie słowa poza „jest nad" i „jest pod" używane są przez nas i przez naszego rozmówcę w takich samych znaczeniach. W drugim zakładamy jednak, że jakieś słowo z naszego idiolektu może mieć to samo znaczenie, co jakieś słowo z idiolektu naszego rozmówcy, choć wszystkie pozostałe słowa naszego idiolektu różnią się znaczeniem od swoich odpowiedników w idiolekcie rozmówcy. Wydaje się to dość dziwne. Przypomnijmy sobie teraz przekłady, o których mówiliśmy przy okazji omawiania dyrektywalnej teorii znaczenia Kazimierza Ajdukiewicza. Interesuje nas tu szczególny przypadek, w którym dokonujemy korelacji pomiędzy dwoma językami posiadającymi ten sam słownik. Można dokonać dowolnego przyporządkowania, należy tylko zachować znaczenia, które reprezentowane były przez różne kolory w tabeli. W pola tabeli można było wpisać, co nam się tylko podoba, byleby konsekwentnie. Znaczenia są w języku zafiksowane i tylko czekają na odpowiednie oznaczenia. Jest to po prostu jedna z postaci dobrze nam już znanego mitu muzeum. Eksperyment myślowy Quine'a miał za zadanie mit ten obalić, nie może więc opierać się na żadnym tego rodzaju jednoznacznym wzajemnym odwzorowaniu słów.

Odwołanie się do tabel, którymi ilustrowaliśmy teorię Ajdukiewicza może się jednak okazać w interpretacji indeterminacji przekładu niezwykle pomocne. Wystarczy jedynie, że inaczej wyjaśnimy jej zawartość. U Ajdukiewicza tabela składała się z dyrektyw języka. Jak pamiętamy, znajdowały się tam dyrektywy aksjomatyczne, dedukcyjne i empiryczne. Załóżmy jednak, że tabela ta to nie dyrektywy języka, a zapis zmagań naszego lingwisty z tajemniczym językiem tubylców. Jest to rodzaj formularza, który wypełnił sobie wynikami obserwacji, aby w późniejszym etapie skonstruować podręcznik. Dokonując obserwacji, wyszczególnił zdania, które tubylcy akceptują niezależnie od bodźców, a także takie, które odrzucają niezależnie od tego, co się dzieje (odpowiednik dyrektyw analitycznych), zdania, które tubylcy przyjmują lub odrzucają w zależności od przyjęcia lub odrzucenia innych zdań (odpowiednik dyrektyw dedukcyjnych) i zdania, które krajowcy akceptują w powiązaniu z pewnymi bodźcami (odpowiednik dyrektyw empirycznych). Podobnie, jak w przypadku empirycznych dyrektyw językowych, część pozajęzykową (w oryginale nazwy wrażeń, tu – nazwy odpowiednich bodźców) traktujemy jako sztywną część tabeli, której nie można modyfikować. Ponieważ przyjęliśmy behawiorystyczne założenia, interesuje nas obecnie to, jak bardzo może od tej tabeli różnić się tabela ze zdaniami języka lingwisty, tak, aby nadal mogła być podstawą przekładu zdań z języka tubylców. Okazuje się, że oprócz rozmaitego przyporządkowania słów, które nie prowadzi, jak widzieliśmy, do indeterminacji, wspiera bowiem jedynie mit muzeum, możemy dokonać innej jeszcze, poważniejszej zmiany. Przywołajmy tu porównawczo, na prawach cytatu, tabelę 6.3 z rozdziału *Kazimierz Ajdukiewicz – dyrektywalna teoria znaczenia*.

W teorii Ajdukiewicza kolory odpowiadały zafiksowanym w języku znaczeniom, różnice w rozmieszczeniu kolorów owocowały wzajemną nieprzekładalnością języków. Lingwista ma

jednak sporą dowolność, konstruując tabelę zdań swojego języka. Każde pole wyróżnione danym kolorem może np. podzielić na dwa różne pola. Co więcej, powtarzające się w danym wierszu ciągi kolorów, które reprezentują pewne złożone konstrukcje, może oddać za pomocą jednego pola. Obrazuje to tabela 11.1.

Tabela 6.3. Przykładowa tabela języka pozbawiona konkretnych etykiet językowych

	I								II		
	1	2	3	4	5	6	7	8	1	2	3
1.1											
1.2											
2.1											
2.2											
2.3											
3.1	α										
3.2	β										
3.3	γ										

Tabela 11.1. Język ze zmienioną strukturą wyrażeń

	I								II		
	1	2	3	4	5	6	7	8	1	2	3
1.1											
1.2											
2.1											
2.2											
2.3											
3.1	α										
3.2	β										
3.3	γ										

Dokonaliśmy tu następujących zmian:



Kolor ciemnozielony występował w trzech miejscach części empirycznej. Nadal tam występuje i nadal powiązany jest z tymi samymi bodźcami. Dodaliśmy do niego coś, co występuje w nieempirycznej części tabeli, ale osobno (bez koloru ciemnozielonego). Zmiana ta odpowiadałaby np. przełożeniu zdania „Królik" na „Fragment królika". Nikogo nie powinno dziwić to, że samo słowo „fragment" może występować w części nieempirycznej osobno. Druga zmiana opiera się na tym, że zauważamy, iż ciąg kolorów:



pojawia się w naszej tabeli dość często. Odwrotnie niż w poprzednim przypadku decydujemy się nie wyróżniać w tym zdaniu aż trzech elementów i oddajemy je jako:



Tu napotykamy jednak na pewną trudność. Zdanie to znajdowało się w części empirycznej, a środkowy kolor powtarza się nie tylko w konfiguracji, którą wzięliśmy pod uwagę, lecz także w ciągu:



Co mamy z tym począć? Nie musimy się tym w ogóle martwić. Dwa pozostałe kolory z tego ciągu nie występują w części empirycznej, ale też w ogóle nie występują w naszej tabeli. Dlatego też możemy zostawić ten ciąg tak, jak jest i potraktować

go jako wyrażenie idiomatyczne, przekładając je w dowolny, interesujący nas sposób.

Nowa tabela jest pod interesującymi nas względami całkowicie zgodna ze starą. Nie uzyskamy rozbieżności w potwierdzaniu zdań obserwacyjnych, nie natkniemy się też na żadne zatory w dialogu. Swoboda, która nam na to pozwoliła bierze się stąd, że wolno ciąć i łączyć kolory, jak tylko się nam podoba, jeśli tylko nie naruszymy części empirycznej i wyjaśnimy jakoś niezgodności (np. traktując coś jako idiom). Zauważmy jednocześnie, że nie ma żadnych trudności w tym, aby tabelę nową przekształcić w starą. Trudności pojawiłyby się dopiero wtedy, gdy nie byłoby można dostosować do siebie części empirycznej. Tworząc tę nową tabelę uzyskaliśmy jednocześnie coś znacznie poważniejszego niż tylko odmienne przyporządkowanie słów. Będzie to całkiem nowa wystawa w naszym muzeum.

Jak zauważyliśmy, indeterminacja przekładu i – w efekcie – odniesienia, sprawia, że o niezrelatywizowanym do pewnego języka odniesieniu nie da się mówić. Indeterminacji nie podlega jedynie znaczenie bodźcowe zdań obserwacyjnych. Niestety, okazuje się, że i to pojęcie zaczyna rodzić poważne problemy, bowiem ludzie są pod względem rozmieszczenia receptorów znacznie mniej ujednoliceni niż to Quine początkowo zakładał. Dlatego też Quine rezygnuje w końcu nawet z intersubiektywności znaczeń bodźcowych. Lingwista ma swoje znaczenia bodźcowe, a tubylec swoje, znaczenia bodźcowe możemy potraktować jako coś tak prywatnego, jak połączenia nerwowe [Quine 1990: 72]. To publiczność języka zapewnia komunikację. Quine odwołuje się również do czegoś, co nazywa – w nawiązaniu do Leibniza – przedustawną harmonią podobieństw. Dobór naturalny tak nas ukształtował, że pewne zjawiska w świecie zewnętrznym skorelowane są w podobny sposób z naszymi reakcjami [Quine 1996: 161]. Nie ulega wątpliwości, że wszystko to zaczyna brzmieć coraz

mniej przekonująco, choć można dyskutować nad tym, czy jest to pomysł bardziej, czy mniej ekstrawagancki niż powszechne założenie tego, że nasze pojęcia odpowiadają obiektom, do których się odnoszą.

Zauważmy jednak, że pewne trudności można pokazać, nie odwołując się nawet do różnic w rozmieszczeniu bodźców. Okazuje się bowiem, że zupełnie różne fizycznie bodźce mogą być podstawą udanej komunikacji i to nawet w przypadku zdań obserwacyjnych. Rozważmy zdanie: „Ale basy!", wypowiadane przez kogoś na koncercie. Załóżmy jednak, że na koncercie znajduje się również nie słyszący człowiek, który doskonale czuje niskie dźwięki dzięki wibracjom, w które wprawiane jest całe jego ciało. Może on potwierdzić to zdanie i nie widać powodu, dla którego mielibyśmy uznać, że wiąże on z nim inne znaczenie niż człowiek słyszący. Znaczenie bodźcowe będzie jednak inne. Wyobraźmy sobie jeszcze bardziej nietypową sytuację. Zamieńmy dżunglę na dżunglę betonową, a królika na tramwaj. Załóżmy, że w okolicy znajdują się dwie osoby: jedna jest głuchoniema (nazwijmy ją X), a druga niewidząca (nazwijmy ją Y). Y mówi: „Tramwaj", ponieważ usłyszał charakterystyczny dźwięk. X potwierdza zdanie, które odczytał z ruchu warg swego rozmówcy, ponieważ widzi charakterystyczny kształt. Mówiąc żargonem informatycznym, zarówno na wejściu, jak i na wyjściu mamy tu coś zupełnie innego. Y słyszy tramwaj i wypowiada zdanie. X widzi tramwaj i wykonuje gest. Nikt nie powie, że nie zachodzi tu sprawna komunikacja językowa, ale opisanie jej w kategoriach znaczenia bodźcowego nie jest możliwe. A jest to przecież zdanie obserwacyjne!

Dlatego też niektórzy filozofowie, tacy jak Putnam czy Rorty, uznali po prostu, że Quine ostatecznie zdemistyfikował naiwność tego, co nazywam tu projektem eksplikacji. Tożsamość znaczeń udaje nam się zdefiniować tylko w przypadku pewnej wąskiej klasy wyrażeń, a i to jedynie w idiolekcie pojedyncze-

go użytkownika języka. Putnam twierdzi nawet, że wyniki Quine'a prowadzą w tej kwestii do całkowitego relatywizmu [Putnam 1983], co zbliża jego poglądy do twierdzeń wygłaszanych przez filozofów kontynentalnych [Putnam 1985].

Sądzę, że główną wadą późnego stanowiska Quine'a jest uparte trzymanie się bodźców, które nie okazały się wystarczająco dobrą podstawą do wyjaśnienia intersubiektywności języka. Równie dobrze moglibyśmy odwoływać się w tym momencie do stanów mózgu. Przypomnijmy sobie, że Quine wybrał bodźce, ponieważ nie były one tak subiektywne jak sieć połączeń nerwowych. Teraz okazuje się, że musimy przyjąć, że nie jest z nimi wcale lepiej. Odwołanie się do ewolucji ma zaś tę wadę, że angażuje teorię, która jest o wiele bardziej skomplikowana niż zwykła teoria przedmiotów makroskopowych, więc byłoby trudno utrzymywać, że kierujemy się prostotą. Nie widać zatem żadnych powodów, aby powstrzymywać się nadal od mówienia o przedmiotach, które na nas oddziałują. Czy udałoby się dzięki temu uratować intersubiektywność? W zakończeniu przedstawię obraz, który wyłania się w wyniku przyjęcia tez Quine'a po korekcie, jaką jest rezygnacja z bodźców na rzecz przedmiotów.

Część IV
NOWE NADZIEJE

Rozdział 12

Donald Davidson – teoria prawdy jako teoria znaczenia

Quine przedstawił wizję, w której olbrzymią rolę odgrywało pojęcie hipotez analitycznych lingwisty. Ale jak właściwie miałaby wyglądać teoria, z której nasz lingwista korzysta? Quine daje jedynie garść ogólnych uwag na ten temat. Jest to swego rodzaju amalgamat językoznawstwa, psychologii, antropologii i zdroworozsądkowych obserwacji. Czy moglibyśmy wyjść poza ten szkicowy zarys i przedstawić teorię lingwisty w sposób bardziej szczegółowy? Czy nie jest tak, że gdyby okazało się, że teoria stosowana przez lingwistę odznacza się ścisłością, jakiej pragnęli Carnap i Ajdukiewicz, to udałoby się nam uniknąć niemiłych konsekwencji, które wyciąga z teorii Quine'a Putnam? Jedną z propozycji takiej teorii mogłaby być teoria znaczenia Donalda Davidsona. Wspomniałem już o niej w rozdziale poświęconym teorii prawdy Tarskiego. Aby pojąć, w jaki sposób teoria prawdy mogłaby wspierać naszego osamotnionego w dżungli lingwistę, musimy jednak wpierw zmienić nieco podejście do zagadnienia teorii znaczenia. Przyjrzyjmy się więc propozycji Davidsona, a do kwestii wykorzystania jej jako teorii dokonującego radykalnego przekładu lingwisty powrócimy pod koniec tego rozdziału. Zapowiadana zmiana podejścia polega na odejściu od pytań o charakterze epistemologicznym – przestańmy na moment interesować się tym, w jaki sposób funkcjonuje język i czym

jest synonimiczność. Jak widzieliśmy w poprzednim rozdziale, nie zaprowadziło to nas zbyt daleko[51]. W zamian zastanówmy się nad tym, w jaki sposób użytkownicy języka mogliby interpretować słyszane wyrażenia. Davidson zadał sobie to pytanie, ponieważ zorientował się, że inne, zadawane przez teoretyków pytania, w szczególności o to, czym jest znaczenie, prowadzą do impasu [Davidson 1994: 126]. Interesuje nas więc nie tyle wyjaśnienie zjawiska komunikacji językowej, którego analiza pozwoliłaby odpowiedzieć na palące pytania dotyczące znaczenia, ile raczej pewnego rodzaju symulacja czy model teorii, która umożliwiałaby sprawną komunikację, gdyby ktoś z niej skorzystał. Poszukujemy teorii, która – mówiąc w sposób na razie dość zagadkowy – podawałaby znaczenia dowolnych zdań interpretowanego języka. W jaki sposób owo „podawanie znaczenia" mogłoby wyglądać? Wyjdźmy od rozwiązania klasycznego. Zdanie podające znaczenie jakiegoś wyrażenia miałoby postać:

s znaczy *m*

gdzie *s* byłoby nazwą wyjaśnianego wyrażenia, a *m* nazwą jego znaczenia. Ten intuicyjny schemat nie zaprowadzi nas jednak daleko – Davidson podziela tu całkowicie odziedziczony po Wittgensteinie sceptycyzm Quine'a. Postulowanie bytów takich jak znaczenia jest jedynie hipostazowaniem problemu i nie zbliża nas w żaden sposób do jego rozwiązania. To tak, jakby powiedzieć, że znaczenie zdania: „Teajtet lata" sprowadza się do pewnej kombinacji znaczeń wyrażeń „Teajtet" i „lata" – nic nie zostało tu wyjaśnione. Porzucenie tej drogi, a zatem znaczeń jako bytów, w dość naturalny sposób prowadzi nas do następującej korekty – odrzućmy *m*, nazwę pewnego

51 A może raczej – zaprowadziło nas za daleko.

tajemniczego obiektu: znaczenia wyrażenia *s*. W zamian, posłużmy się zdaniem (a nie nazwą), które wyjaśnia znaczenie *s* – niech będzie to zdanie *p*. Uzyskujemy w ten sposób schemat:

s znaczy, że *p*

Początkowo schemat ten wydaje się znacznie lepszy, ma on jednakże pewną niezwykle istotną wadę – zawiera nieekstensjonalne wyrażenie *znaczy, że*, które wcześniej czy później spowoduje poważne trudności. W jaki sposób moglibyśmy ich uniknąć? Davidson proponuje dość ryzykowne rozwiązanie. Pozostawmy *p* – intuicja podpowiada nam, że znaczenie powinno być „podane" przez jakieś zdanie, co wydaje się dobrym rozwiązaniem – i posłużmy się ekstensjonalnym spójnikiem, którym jest równoważność. Nie możemy, oczywiście, na tym poprzestać – schemat „*s* wtedy i tylko wtedy, gdy *p*" jest niepoprawny składniowo, ponieważ *s* jest nazwą zdania, a nie zdaniem. Musimy zatem uzupełnić jakoś lewą część równoważności, tak, aby uzyskać zdanie. Spróbujmy zrobić to, niczego jeszcze nie przesądzając – wprowadźmy bliżej nieokreślony predykat orzekany o *s*. Odpowiedni schemat będzie wówczas następująco wyglądał:

s jest T wtedy i tylko wtedy, gdy *p*

Co możemy powiedzieć o tajemniczym predykacie *jest T*? Zdaniem Davidsona, powinien on spełniać pewien warunek – powyższa równoważność powinna być prawdziwa dla każdego podstawienia za zmienne *s* i *p* odpowiednio – strukturalnego opisu danego zdania i samego tego zdania. Predykatem spełniającym ten warunek jest, oczywiście, zdefiniowana przez Tarskiego prawda. „Śnieg jest biały" jest prawdą wtedy i tylko wtedy, gdy śnieg jest biały. Prawda okazuje się więc kluczem do

pojęcia znaczenia. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że przedstawiona zygzakowata droga doprowadziła nas po prostu do znanego już hasła: znaczeniem zdania są warunki jego prawdziwości. Tak jednak nie jest. Po pierwsze, nie powinniśmy tracić z oczu tego, że kluczem nie jest tu zwykłe, potoczne pojęcie prawdy, lecz techniczne pojęcie Tarskiego. Pojęcie to jest dla zwolenników tej teorii jedynie eksplikacją pojęcia potocznego, a dla przeciwników arbitralnie zdefiniowanym predykatem, który niewiele ma z pojęciem potocznym wspólnego. Davidson wprost stwierdza, że to, czy definicja Tarskiego jest właśnie tą, której poszukiwali filozofowie, jest dla naszych rozważań całkowicie nieistotne. To, że tajemniczy predykat T okazał się prawdą Tarskiego stanowi odkrycie, do którego dotarliśmy, nie wspominając nic o potocznym pojęciu prawdy. Predykat ten ma, po prostu, poszukiwaną własność – można go orzec o tym zdaniu, które występuje po prawej stronie równoważności. Po drugie, odpowiednia T-równoważność, uzyskana przez podstawienie odpowiednich wyrażeń za zmienne *s* i *p*, nie jest tym, co podaje znaczenie zdania *s*. Znaczenie tego zdania ujawnia się dopiero w oferowanym przez teorię dowodzie tej oraz innych T-równoważności interpretowanego języka. Jak należy to rozumieć? Intuicja jest następująca. Davidson przyjmuje za Quinem holistyczne podejście do języka. Podstawowym nośnikiem znaczenia są zdania – ich znaczenie opiera się na miejscu, jakie zajmują w całym języku. Znaczenie ich elementów opiera się zaś na roli, jaką pełnią w rozmaitych zdaniach. T-równoważności są jedynie gwarancją, że teoria, którą zaaplikowaliśmy do języka dobrze spełnia swoje zadanie – ich trywialność jest więc zarazem ich cnotą. Znaczenie daje zaś sama teoria, a ściślej – mechanizm generowania T-równoważności. Jest to bowiem ten sam mechanizm, który wprawiał nas wciąż w zdumienie: procedura generująca nieskończoną liczbę interpretowalnych zdań ze skończonej liczby elementów. Codzien-

nie, nie wiedząc nawet o tym, posługujemy się zdaniami, co do których możliwe jest, że nikt ich jeszcze przed nami nie wypowiedział. Teoria przedstawiająca ten mechanizm daje zatem wgląd w znaczenie wszystkich wyrażeń językowych. Znaczenie zdań objawia się dzięki temu, że dowiadujemy się, jak ich wartość logiczna zależy od konfiguracji prostszych elementów i większych całości, które tworzą. Znaczenie owych prostszych elementów staje się dla nas widoczne, ponieważ widzimy, jak wpływają na wartość logiczną zdań, które współtworzą z innymi wyrażeniami. Dlatego też, gdyby nawet możliwe było ułożenie kompletnej listy T-równoważności danego języka, to lista taka nie byłaby dla teorii znaczenia w ogóle użyteczna [Davidson 1970: 56]. W tym miejscu natykamy się na jedną z różnic między teorią prawdy Tarskiego a teorią znaczenia Davidsona. W teorii prawdy uzyskujemy odpowiedź na pytanie: w jaki sposób pewna własność przypisywana jest zdaniom, własność ta nie przysługuje jednak składnikom zdań elementarnych. W przypadku teorii znaczenia jest inaczej – znaczenie przysługuje nie tylko zdaniom złożonym i elementarnym, lecz także ich składnikom – słowom. Przyjrzyjmy się jeszcze dwóm innym, niezwykle istotnym różnicom między teorią prawdy a teorią znaczenia.

Najistotniejsza różnica nasuwa się właściwie natychmiast – w części poświęconej teorii Tarskiego zauważyliśmy, że opiera się ona na przyjęciu pojęcia znaczenia (a ściślej przekładu, a zatem na relacji synonimiczności) jako pierwotnego. W jaki sposób moglibyśmy wykorzystać tę teorię dla celów rozważań nad znaczeniem, nie popadając jednocześnie w błędne koło? Zdaniem Davidsona, rozwiązaniem jest odwrócenie ról, jakie grają w teorii Tarskiego pojęcia znaczenia i prawdy. Zamiast przyjmować pojęcie znaczenia jako pierwotne i tworzyć teorię prawdy, możemy za pierwotne uznać pojęcie prawdy i stworzyć teorię znaczenia. Rozwiązanie to prowadzi jednak do pewnej

poważnej trudności. Zakładając, że T-równoważności korelują opis strukturalny danego zdania z jego przekładem, Tarski z góry przekreślał problem niewłaściwych korelacji w rodzaju „«Śnieg jest biały» wtedy i tylko wtedy, gdy trawa jest zielona". Davidson nie może się jednakże przed takimi korelacjami tak łatwo obronić. Niesłusznie stawiany Tarskiemu przez Putnama zarzut wskazujący, że teoria prawdy nie może obronić się przed takimi niechcianymi przypadkami jest w przypadku strategii Davidsona całkowicie uzasadniony. Jak rozwiązać ten kłopot? Ponieważ, w odróżnieniu od Tarskiego, Davidson nie chce budować teorii dla języków sztucznych – jego teoria znaczenia dotyczyć ma języka naturalnego – to ratunek znaleźć można w empirycznym testowaniu naszej teorii. T-równoważności mają mieć, zdaniem Davidsona, charakter praw empirycznych. Powinny więc funkcjonować podobnie do nich. W tym miejscu na jaw wychodzi jednak różnica między słynnym zdaniem Tarskiego a niechcianym przez nas przykładem z trawą – funkcjonują one różnie w przypadku nierzeczywistych okresów warunkowych. Zdanie Tarskiego zachowuje się jak prawo empiryczne z prawdziwego zdarzenia – gdyby zdanie „śnieg jest biały" nie było prawdziwe, to śnieg nie byłby biały i odwrotnie. Nie można tego jednak powiedzieć na temat niepożądanego zdania: „«Śnieg jest biały» wtedy i tylko wtedy, gdy trawa jest zielona". Kolejnym powodem, dla którego niewygodne korelacje nie pojawią się, zdaniem Davidsona, w naszej teorii jest to, że prawdopodobieństwo zbudowania teorii, generującej zdanie: „«Śnieg jest biały» wtedy i tylko wtedy, gdy trawa jest zielona", a jednocześnie dającej nam poprawne T-równoważności w przypadku zdań takich jak: „To jest śnieg" albo „To jest białe" jest niezwykle nikłe [Davidson 1967: 26]. Ale co rozumie się tu przez „poprawność"? Jest nią, oczywiście, prawdziwość, która może występować w roli trybunału dla T-równoważności, ponieważ w odróżnieniu od teorii Tarskiego w teorii Da-

vidsona pojęcie prawdy jest pojęciem pierwotnym, a nie definiowanym. Dlatego też każdy użytkownik języka jest w stanie na bieżąco weryfikować generowane przez teorię zdania, przez co teoria ta uzyskuje coraz większe potwierdzenie[52]. Odsunięcie trudności z niewygodnymi korelacjami wynika z tego, że tworzymy teorię dla języka naturalnego. Ale skąd wiadomo, że jest to w ogóle przedsięwzięcie wykonalne? Tarski uważał, że jego teorii prawdy nie da się sformułować dla języków naturalnych. Co sprawia, że w przypadku opartej na tej samej procedurze logicznej teorii znaczenia miałoby nam się powieść? Davidson jest tu po prostu optymistą. Uważa, że znaczną część języka naturalnego da się przełożyć na język kwantyfikatorów pierwszego rzędu. Istnieje grupa kłopotliwych kontekstów, takich jak cudzysłowy, okazjonalność, mowa zależna i zdania psychologiczne czy modalności, a zadaniem filozofów i językoznawców jest sukcesywne opracowywanie rozwiązań dla poszczególnych kontekstów z tej niewygodnej grupy. Okiełznanie tych kontekstów zaowocuje możliwością przekładu na język, w którym będzie już można zbudować teorię znaczenia w stylu teorii prawdy Tarskiego.

Zastanówmy się jednakże przez chwilę nad tym, co osiągnęliśmy? Jak tak zarysowana teoria znaczenia ma się do innych propozycji i w jaki sposób odpowiada na dręczące filozofów pytania. Pytanie o to, czym są znaczenia zostało już oddalone, a pytanie o relację synonimiczności i analityczność – odsunięte w cień [Davidson 1970: 62]. Zauważmy również, że mimo paraleli z propozycją Tarskiego, teoria znaczenia nie jest definicją wyrażenia „znaczy, że" albo jakiegokolwiek innego wyraże-

52 Woleński uważa, że testy empiryczne są dla zapewnienia odpowiednich korelacji zbędne i sprawę da się załatwić formalnie. Nie ulega jednak wątpliwości, że testy empiryczne, tak czy siak, muszą się pojawić w momencie, gdy pokusimy się o teorię, w której metajęzyk nie będzie pokrywał się z językiem przedmiotowym [Żegleń 1996: 87–106].

nia związanego z zagadnieniem znaczenia, które mogłoby być odpowiednikiem definiowanego przez Tarskiego predykatu „jest prawdziwe (w języku L)". Uzyskujemy teorię, a nie definicję. Teorię, która ma pozwolić na interpretację dowolnego zdania pewnego języka. Teoria ta nie rości sobie również praw do tego, by być wyjaśnieniem rzeczywistych mechanizmów, które odpowiadają za interpretację zdań przez ludzi posługujących się danym językiem naturalnym. Co więcej, teoria ta nie naświetla związku między znaczeniem a odniesieniem. Davidson wprost stwierdza, że tak zdefiniowane znaczenie nie jest pojęciem, które występuje w dychotomii znaczenie – odniesienie [Davidson 1973: 70–71], a samo pojęcie odniesienia należy po prostu odrzucić[53]. Dowiadujemy się wprawdzie, że znaczeniem słów jest rola, jaką systematycznie odgrywają w zdaniach, co może być interpretowane jako coś w rodzaju koncepcji Ajdukiewicza, ale teza, że znaczenie zdań zależy od miejsca, jakie zajmują w języku wydaje się już dość mglista – wiadomo, że język nie może oznaczać tu po prostu listy wszystkich zdań – jest ona nieskończenie długa. Teoria znaczenia pozwala tę nieskończoność poskromić, ale szerokim echem odzywa się tu postawiony (niesłusznie[54]) Tarskiemu zarzut Blacka: język potoczny ulega ciągłym zmianom – nasza teoria musiałaby wciąż się do nich dostosowywać. Podejście holistyczne sprawia jednak, że znaczenie wszystkich wyrażeń zmieniałoby się przy każdym rozszerzeniu języka o nowy predykat. Nie jest to konsekwencja dyskredytująca teorię, wydaje

53 Choć bezpieczny odpowiednik pojęcia odniesienia – spełnianie – nadal odgrywa w teorii ważną rolę. Jest to jednak pojęcie teoretyczne, mające, zdaniem Davidsona, status podobny do pojęcia elektronu w fizyce. Teoretyczność tego pojęcia ma zaś objawiać się w tym, że nie pojawia się ono w T-równoważnościach [Davidson 1990: 296-297].

54 Niesłusznie, ponieważ jest to problem aplikacji teorii prawdy do języków naturalnych, co Tarski z góry odrzucił.

się jednak, że w znacznym stopniu odbiera jej urok[55]. Davidson był, oczywiście, świadomy dynamicznego charakteru języka naturalnego, w późniejszych publikacjach wielokrotnie to podkreślał. Obraz języka naturalnego jako systemu, którego reguł uczymy się, a następnie aplikujemy je w konkretnych aktach komunikacji jest, jego zdaniem, całkowicie fałszywy [Davidson 1986: 174]. Zdumiewająca filozofów kreatywność, którą przejawiamy jako mówiący i słuchający, bierze się właśnie stąd, że dostosowujemy reguły do konkretnych sytuacji, a systematyzacja naszego postępowania nie jest tu w ogóle wykonalna [Davidson 1986: 173]. Jak nietrudno zauważyć, przypomina to bardzo gry językowe późnego Wittgensteina. Davidson do końca nie rezygnuje jednak z projektu teorii znaczenia. Jak zauważa Gustafsson, trwanie przy idei teorii znaczenia przypomina nieco upór dawnych astrologów, którzy za wszelką cenę starali się utrzymać system Ptolemejski, ciągle wzbogacając i komplikując teorię [Gustafsson 1998: 444]. Aby utrzymać sensowność swojego projektu, Davidson wprowadza wielość teorii – różni użytkownicy posługują się rozmaitymi teoriami znaczenia w różnych chwilach. Użyteczność postulowania teorii znaczenia w zreferowanym stylu staje się jednakże coraz bardziej wątpliwa.

Docieramy teraz do naszego punktu wyjścia. Czy mimo kłopotów, które teoria znaczenia Davidsona rodzi, nie moglibyśmy rozważyć jej jako teorii przekładu, swoistego suplementu do teorii Quine'a? Być może dałoby się potraktować ją jako teorię lingwisty, a więc narzędzie do stworzenia odpowiedniego podręcznika przekładu? Aby zaadaptować propozycję Davidsona do tej roli, musimy poradzić sobie jakoś

55 Szczególnym zagrożeniem dla powagi teorii są zatem twórcy neologizmów – byłby to całkiem nowy powód, dla którego filozofowie mogliby być żywo zainteresowani wyrzuceniem poetów z państwa.

z dość istotną różnicą między koncepcjami obu filozofów. W odróżnieniu od Quine'a, Davidson nie przyznaje żadnego szczególnego statusu zdaniom obserwacyjnym ani bodźcom zmysłowym. Narzędziem gwarantującym poprawność tworzonej teorii jest zasada życzliwości, która nakazuje lingwiście taki dobór[56] ekwiwalentów zdań obcego języka, który pozwoli na jak największą zgodność pomiędzy nim a tubylcami. W przypadku teorii znaczenia, będącej adaptacją teorii prawdy jest to wybór dość naturalny. Zadaniem lingwisty jest dobranie takich zdań, które będą prawdziwe zawsze wtedy, gdy prawdziwe będą ich odpowiedniki w języku tubylców. W połączeniu z założeniem, o którym była już mowa, a mianowicie z przekonaniem, że niewłaściwe choć równoważne logicznie korelacje wcześniej czy później wyjdą na jaw dzięki zdaniom zawierającym ich części, daje to nadzieję na powodzenie. Nadal nie unikniemy pewnej indeterminacji – w szczególności względności ontologicznej, ale w przypadku teorii, która odrzuca pojęcie odniesienia nie jest to coś, czym należałoby się szczególnie przejmować. Wygląda więc na to, że w przypadku, gdy język przedmiotowy nie jest częścią metajęzyka teoria Davidsona pozwala na wgląd w niezwykle istotne dla teorii znaczenia pojęcie przekładu. Co więcej, jest to teoria ścisła, różna od dość luźnego zbioru hipotez analitycznych obserwatora królików z dżungli.

Zasada życzliwości nie uratuje nas jednak przed indeterminacją. Wystarczy uświadomić sobie, że prawdziwość T-równoważności wcale nie musi być skorelowana z poprawnością przekładu. Aby warunki te się rozminęły, wystarczy, aby tubylcy posiadali odpowiedni zasób fałszywych przekonań uzna-

56 Mówiąc o „doborze zdań", używam tu pewnego skrótu myślowego – w praktyce chodzi raczej o dobór teorii generującej zdania zapewniające największą zgodność.

wanych powszechnie w ich społeczności[57]. Weźmy pod uwagę następujący (nieco wydumany) przykład. Załóżmy, że udaje nam się przełożyć pewne zdanie języka tubylców – wyobraźmy sobie, że brzmi ono *aha ber* – na zdanie: „Liście są zielone". Po jakimś czasie okazuje się jednak, że tubylcy potwierdzają to zdanie również jesienią, gdy zdaniem lingwisty ewidentnie liście są żółte. Po serii testów okazuje się, że tubylcy używają tego samego słowa (*ber*) jako określenia żółtych i zielonych przedmiotów. Ponieważ zadaniem naszego lingwisty jest dobranie takiej teorii, która wygeneruje taki przekład *aha ber*, że: „«Aha ber» jest prawdziwe wtedy i tylko wtedy, gdy liście są zielone lub żółte" uzna on *ber* za przekład złożonego predykatu „zielony lub żółty". Warunek (1) będzie więc spełniony. Na razie wszystko wydaje się w porządku. Załóżmy jednak, że tubylcy mają dość dziwaczny system wierzeń. Dostrzegają różnicę między zielonym i żółtym, ale nie mówią o niej, ponieważ wierzą, że jakiś demon systematycznie oszukuje ich zmysły, tak, że widząc kolor żółty patrzą na zielony przedmiot. Bogatsi o tę informację uznalibyśmy *ber* za przekład wyrażenia *zielony*, a nie *zielony lub żółty*. Lingwista-semantyk uzna, że tubylcy nie posiadają dwóch oddzielnych odpowiedników słów żółty i *zielony*, posiadają jedynie ogólniejszy termin *ber* odpowiadający naszemu *zielony lub żółty*. Lingwista-antropolog uzna, że termin *ber* jest odpowiednikiem naszego wyrażenia *zielony*, a tubylcy nie posiadają żadnego wyrażenia na określenie koloru żółtego[58]. Uzna on również, że właściwym przekładem zdania *aha ber* jest polskie zdanie *liście są zielone*, choć odpowiednia T-równoważność jest fałszywa.

57 W najprostszy możliwy sposób można mój zarzut uchylić, postępując tak, jak robi to B. Stanosz [1975: 141], a więc założyć, że tubylcy nie mogą się mylić.

58 Co wynika np. z tego, że ignorowanie zauważalnej różnicy jest praktyczną metodą, mającą na celu speszenie demona.

Wydaje się więc, że projekt Donalda Davidsona nie ratuje nas z opałów, w których znaleźliśmy się w wyniku behawioralnych analiz Quine'a. Teorie znaczenia zaczynają mnożyć się dzięki różnym idiolektom i momentom czasowym, a teoria przekładu nie daje zadowalających efektów. Zanim jednak wyprawimy już pogrzeb pojęciu znaczenia, przyjrzyjmy się jednej jeszcze teorii — przyczynowej teorii odniesienia. Jak okaże się w kolejnym rozdziale, drogę wyjścia z zaistniałego impasu widzieć można, po prostu, w odrzuceniu antymetafizycznego nastawienia Carnapa i Quine'a.

Rozdział 13

Saul Kripke i Hilary Putnam, czyli tryumfalny powrót metafizyki

Na koniec naszych poszukiwań zajmiemy się przyczynową teorią odniesienia wypracowaną przez Saula Kripkego i Hilarego Putnama. Teoria ta wydaje się dobrym materiałem na ostatni rozdział tej książki i to z co najmniej trzech względów. Po pierwsze, mimo że zgodnie z nazwą, jest to teoria odniesienia, a nie znaczenia wyrażeń, powstała ona jako reakcja na niepowodzenia poprzedzających ją teorii znaczenia. Jest to więc dobra okazja do niewielkiego podsumowania. Po drugie, będąc teorią odniesienia wyrażeń, z wielu powodów mogłaby być równie dobrze nazwana „metafizyczną teorią znaczenia", dotyczy bowiem jednej z najistotniejszych funkcji, jakie znaczenie miało pełnić – mechanizmu ustalenia odniesienia, a robi to przy użyciu pojęć odrzucanych z góry przez wielu innych teoretyków jako „nieuleczalnie metafizycznych". Po trzecie, jest ona w dużej mierze powrotem do propozycji, które otwierają tę pracę, co daje cenione przez wielu filozofów poczucie powrotu do punktu wyjścia[59]. Rozpocznijmy przyjrzenie się przyczynowej teorii odniesienia od prezentacji motywów jej powstania.

59 Składam tym samym ofiarę na ołtarzu kompozycji, ponieważ sam nie cenię owego poczucia zbyt wysoko. W zakończeniu staram się pokazać, w jaki sposób można projekt eksplikacji znaczenia uznać jednak za postęp w stosunku do teorii tradycyjnych.

Jak zauważyliśmy w rozdziale drugim, tradycyjna, pochodząca od Milla teoria nazw własnych rodzi pewne trudne do przezwyciężenia lub zignorowania problemy. Po pierwsze, odmawiając nazwom własnym znaczenia, Mill usuwa z nich tym samym mechanizm ustalania odniesienia, w który wyposażone są nazwy ogólne. Po drugie, nie jesteśmy w stanie wyjaśnić, dlaczego niektóre zdania identycznościowe, takie jak: „Gwiazda Poranna = Gwiazda Wieczorna", nie odznaczają się trywialnością zdań takich jak: „Gwiazda Poranna = Gwiazda Poranna". Po trzecie, nie wiadomo, co począć z nazwami własnymi, które do niczego się nie odnoszą. Rozwiązaniem dwóch pierwszych trudności była propozycja Fregego, którą omawialiśmy w rozdziale trzecim. Sposób, w jaki radziła sobie ona z trudnością trzecią, pozostawiał jednak wiele do życzenia. Intuicyjną eliminację trudności trzeciej miała zapewnić teoria Russella. Mimo różnic dzielących te dwie propozycje miały one interesujące wspólne założenie: nazwy własne posiadają znaczenie[60], które można przedstawić za pomocą deskrypcji jednostkowej, jednoznacznie wskazującej przedmiot, do którego nazwa się odnosi. Zagadka odniesienia nazw własnych zostaje więc wyjaśniona za pomocą paradygmatu, który służy do wyjaśnienia odniesienia nazw ogólnych. Teoria ta okazuje się jednak owocować paradoksalnymi rezultatami, gdy tylko zastosować ją do niektórych potocznych użyć nazw własnych. Załóżmy, że jakiś człowiek posługuje się nazwą „Cyceron" jako skrótem deskrypcji: „człowiek, który jako pierwszy oskarżył Katylinę". Nie ulega wątpliwości, że użytkownik ten może

60 Jest to uproszczenie. Jak wiemy z rozdziału 4., Russellowi chodziło o coś trochę innego – to, co uchodzi w niedoskonałym języku potocznym za nazwy własne, jest skrótem deskrypcji. Właściwe nazwy własne nie posiadają znaczenia. Przy omawianej kwestii nie jest to szczegół istotny – ważne jest założenie, że potoczne nazwy własne można eliminować na rzecz odpowiedniej deskrypcji jednostkowej, i że to ta ostatnia ustala odniesienie.

wypowiedzieć sensowne zdanie: „Cyceron nie był pierwszym człowiekiem, który oskarżył Katylinę" i że w specjalnych okolicznościach byłoby to zdanie prawdziwe. Pewnego dnia historycy mogliby poinformować o tym, że myliliśmy się co do wydarzeń z życia Cycerona. Zgodnie z teorią deskrypcji, użytkownik nazwy „Cyceron" powinien jednak uznać raczej zdanie „Cyceron nie istniał". Była to przecież jedyna deskrypcja, jaką dysponował. Próba załatania tej dziury w postaci przyjęcia, że znaczeniem nazwy własnej jest w miejsce pojedynczej deskrypcji pewna ich wiązka wydaje się jedynie przedłużaniem agonii tej teorii. Wymusza ona na nas konstrukcję coraz bardziej nieprawdopodobnych, choć nadal możliwych kontrprzykładów. Wszystkie informacje o Cyceronie, łącznie z tą, że nazywał się on Cyceron[61], mogłyby okazać się fałszywe, ale my nadal moglibyśmy niezgodnie z teorią deskrypcji utrzymywać, że okazały się one fałszywe „o Cyceronie". Jak widać, niezwykle obfitym źródłem dyskredytujących teorię deskrypcji kontrprzykładów okazują się konteksty modalne. Dodatkowym kłopotem jest to, że w przypadku nazw własnych nie tylko filozofowie przejawiają spore inklinacje do „gdybania". Ludzie często zastanawiają się nad tym, czy czyjeś losy potoczyłyby się inaczej, nierzadko dopuszczając niezachodzenie tak wielu faktów, że gdyby teoria deskrypcji dawała rzeczywisty obraz posługiwania się nazwami, to odniesienie do konkretnej osoby nie powinno być już możliwe. Co gorsza, nie tylko gdybanie jest tu zagrożeniem. Filozofowie zakładający, że ludzie posługujący się nazwą „Cyceron" dysponują deskrypcją w rodzaju „człowiek, który jako pierwszy oskarżył Katylinę" przejawiają zbytni optymizm co do powszechnej znajomości

61 W rzeczywistości w tym przypadku nie potrzebujemy nawet odwoływać się do sytuacji kontrfaktycznych. Cyceron nie rozpoznałby swego imienia, wymawianego w spolszczonej wersji.

historii starożytnej. Większość osób wie tylko, że był to „jakiś rzymski mówca". Wydaje się jednak, że nie powiedzielibyśmy, że mówiąc o Cyceronie nie odnoszą się oni właśnie do niego. Intuicje nietrudno tu wzbudzić. Załóżmy, że ktoś dysponujący tylko tą deskrypcją mówi: „Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o Cyceronie". Czy chodzi mu o informacje na temat jakiegokolwiek mówcy rzymskiego? Oczywiście, że nie. Co więcej, jak zauważa Kripke, wiele deskrypcji pretendujących do miana znaczenia nazw własnych zawiera w swym obrębie inne nazwy własne – tak jest choćby z deskrypcją „człowiek, który jako pierwszy oskarżył Katylinę". Aby deskrypcja ta ustalała odniesienie, człowiek posługujący się nią do tego celu musi wiedzieć o Katylinie coś więcej niż jedynie to, że jest to „człowiek oskarżony przez Cycerona".

Przykłady dyskredytujące teorię deskrypcji, którymi raczą nas Kripke i Putnam, mogą sprowokować następującą wątpliwość. Wszystkie one opierają się na tym, że wypowiadając jakieś zdanie odnosimy się, zgodnie z teorią deskrypcji, do jakiegoś przedmiotu X, a w rzeczywistości bylibyśmy skłonni uznać, że wcale się do niego nie odnosimy. Odnosimy się do jakiegoś innego przedmiotu Y. Skąd właściwie wiemy, że „tak naprawdę" odnosimy się do Y, a nie do X? Czy mamy jakiś niezależny od przyjętej teorii, metafizyczny wgląd w to, do których przedmiotów odnoszą się słowa? Kripke i Putnam odwołaliby się tu zapewne do intuicji lingwistycznej[62], która podpowiada nam właściwe rozwiązanie, ale czy jest to przekonująca odpowiedź? Myślę, że można uniknąć odwoływania się do intuicji, mówiąc po prostu, że teoria deskrypcji nie daje spójnego opisu ludzkich zachowań językowych. Sugeruje błędne przewidywania do nich się odnoszące, np. że jeśli czło-

62 Kripke twierdzi nawet, że odwołanie się do intuicji jest argumentem rozstrzygającym [Kripke 1972: 45].

wiek, który posługuje się nazwą „Arystoteles" i dysponuje jedynie deskrypcją „nauczyciel Aleksandra" (o czym możemy dowiedzieć się zadając mu odpowiednie pytania) zaakceptuje zdanie: „Okazało się, że Arystoteles nie był nauczycielem Aleksandra", to powinien również zaakceptować zdanie: „Okazało się, że Arystoteles nie istnieje" – okaże się to jednak niezgodne z jego rzeczywistym zachowaniem.

To, że teoria deskrypcji nie sprawdza się w przypadku nazw własnych, nie powinno nas dziwić. Jak wspomniałem wcześniej, jest to model zapożyczony z teorii dotyczących nazw ogólnych. Okazuje się jednak, że ten importowany towar już wcześniej wykazywał objawy nadpsucia. Teoria nazw ogólnych jako wyrażeń posiadających znaczenie w postaci zestawu koniecznych i wystarczających warunków wyznaczających odniesienie tych nazw, w wielu przypadkach w ogóle nie opisuje tego mechanizmu zgodnie z rzeczywistym użyciem języka. Czy posiadanie żółtego koloru należy do znaczenia słowa „złoto"? Kant uważał, że tak. Wiele osób nadal podałoby posiadanie koloru żółtego jako część znaczenia tego słowa. Gdybyśmy jednak natknęli się na substancję, która posiada tę samą liczbę atomową 79, ale charakteryzuje się innym kolorem, czy odmówilibyśmy jej miana złota? Co więcej – czy uznalibyśmy wtedy, że zakres i znaczenie terminu „złoto" zmienił się wraz z tym odkryciem, czy też nie? Czy zdanie: „Złoto jest żółte", wypowiedziane przed tym odkryciem, powinniśmy uznać za fałszywe, czy za prawdziwe na mocy dawnego znaczenia słowa „złoto"? Wydaje się, że nie ma potrzeby mnożyć przykładów tego typu. Są one znane filozofii niemalże od samych jej początków, od czasów, gdy Sokrates droczył się ze swymi rozmówcami, poszukując cech istotnych. Jedynym przykładem, na którym się teraz skupimy jest słynny eksperyment myślowy Putnama – podróż na Ziemię Bliźniaczą. Putnam sądzi bowiem, że za pomocą tego eksperymentu udało mu się pokazać coś więcej, niż tylko

nieadekwatność tradycyjnej teorii znaczenia: udowodnić, że – mówiąc jego słowami – „znaczenia nie są w głowie". Jednym ze składników tradycyjnego obrazu, dziedziczonym zresztą przez teorię znaczenia nazw własnych jako deskrypcji, jest to, że znaczenia słów są pewnego rodzaju bytami mentalnymi. Znamy ten obraz z teorii Locke'a i Milla. Jak zauważa Putnam, rozwiązanie w postaci przeniesienia znaczeń do świata idealnego w stylu Fregego niewiele zmienia, ponieważ i tak założyć musimy, że każdemu z takich bytów Platońskich odpowiada jakiś specyficzny stan psychiczny, polegający na jego „uchwyceniu" czy „zrozumieniu"[63]. Przyjrzyjmy się teraz przykładowi z Ziemią Bliźniaczą.

Wyobraźmy sobie, że istnieje kopia Ziemi – Ziemia Bliźniacza. Jak sama nazwa wskazuje, jest ona kopią niezwykle dokładną – łącznie z tym, że jej mieszkańcy zamieszkujący Polskę Bliźniaczą i mówią językiem bliźniaczo podobnym do polskiego. Wyobraźmy sobie, że Ziemianie odwiedzają Ziemię Bliźniaczą. Po jakimś czasie odkrywają jednak pewną anomalię – substancja, która wypełnia morza, rzeki, oceany i jeziora tamtej planety, mimo łudzącego podobieństwa do wody, różni się od wody ziemskiej składem chemicznym. Nie jest to H_2O, tylko niezwykle złożona substancja, której, za Putnamem, przypiszemy skład chemiczny wyrażający się wzorem XYZ. Czy powiedzielibyśmy, że na Ziemi Bliźniaczej znajduje się

63 Wniosek ten udaje się Putnamowi uzyskać tylko dlatego, że z góry przyjmuje, że stan psychiczny, którym jest znaczenie ma być czymś w rodzaju własności wewnętrznej przedmiotu – żaden stan psychiczny nie zakłada istnienia jakichkolwiek przedmiotów poza podmiotem, którego dotyczy [Putnam 1975b: 101]. Gdyby założenie to odrzucić, to dwa nieodróżnialne stany psychiczne, polegające na uchwyceniu różnych bytów idealnych byłyby dwoma różnymi aktami „uchwycenia znaczenia". Co więcej, eksperyment myślowy z Ziemią Bliźniaczą nie przesądzałby o tym, że znaczenia nie są w głowie – Ziemianie odnosiliby się bowiem do substancji obecnej na Ziemi, a Bliźniaczanie – na Ziemi Bliźniaczej.

woda? Wydaje się, że nie. Powiedzielibyśmy, że coś niezwykle wodę przypominającego, coś, co braliśmy początkowo za wodę, okazało się nieznanym nam wcześniej związkiem XYZ. Załóżmy z kolei, że cofamy się w czasie do roku 1750. Chemia na obu naszych planetach nie jest jeszcze rozwinięta. Żaden z mieszkańców Ziemi nie wie, że woda to H_2O, żaden z mieszkańców Ziemi Bliźniaczej nie wie, że woda to XYZ. Jedyną różnicą pomiędzy Ziemią a Ziemią Bliźniaczą pozostaje więc skład płynu, który znajduje się na tych planetach w rzekach, morzach itd. W szczególności, nie ma nic takiego, co pozwoliłoby nam odróżnić stany psychiczne Ziemian od ich odpowiedników na Ziemi Bliźniaczej. Co dzieje się z odniesieniem ziemskiego słowa „woda" i jego równobrzmiącego odpowiednika z Ziemi Bliźniaczej? Wydaje się, że nic się nie dzieje. Są one dokładnie takie same jak w czasach rozwiniętej chemii. Jak to możliwe?

Stajemy zatem przed następującym dylematem: albo obecne w umysłach użytkownika języka znaczenia nie wyznaczają odniesienia terminów, albo też znaczenia ustalają odniesienie, ale nie ma ich w umysłach użytkowników języka. Właściwie możemy dopisać tu jeszcze trzecią ewentualność – czy pytanie o to, czym są znaczenia, jest w ogóle źle postawione. Tę trzecią drogę próbowały, jak widzieliśmy, wybrać nowsze teorie znaczenia. Nie oznacza ona bowiem całkowitego złożenia broni – nadal można próbować definiować np. synonimiczność. Próby te doprowadziły jednak do impasu – synonimiczność okazała się zależna od pojęcia analityczności, a wszystko wskazuje na to, że zdefiniowanie tego ostatniego wymaga odwołania się do pojęcia znaczenia. Próba poradzenia sobie bez pojęcia analityczności doprowadziła do sytuacji, w której albo musimy uznać, że znaczenie nie wyznacza odniesienia, albo też wyznacza je, ale relatywnie do teorii – do tego doprowadziły Quine'a jego analizy. Takie rozwiązanie

nie zadowoliłoby Putnama, któremu droga jest idea terminów „transteoretycznych" i chciałby raczej mówić, że mamy nowe teorie na temat tych samych przedmiotów, a nie tylko ciągłe zmiany języka.

Ewentualność pierwsza również nie wydaje się zbyt atrakcyjna. Pozbawione funkcji ustalania odniesienia pojęcie znaczenia może wydawać się jedynie niewygodnym bagażem i może być uznane za pojęcie niewiele mające wspólnego z jego intuicyjnym odpowiednikiem. Jak zauważyliśmy, Ajdukiewicz zniechęcił się do swojej teorii znaczenia, gdy tylko uznał, że prowadzi właśnie do ewentualności pierwszej.

Pozostaje nam więc opowiedzenie się za drugą ewentualnością – znaczenie wyznacza odniesienie, ale nie jest zależne od stanu psychicznego użytkownika danego słowa. Okazuje się więc, że paradygmat znaczenia jako zestawu koniecznych i wystarczających warunków nie nadaje się również do opisu funkcjonowania wielu nazw ogólnych. Czy istnieją w ogóle przypadki, w których paradygmat ten się sprawdza? Wydaje się, że jest tak w przypadku dyżurnego terminu występującego w podawanych przez filozofów przykładach zdania analitycznego – terminu „kawaler" [Putnam 1962b]. Bycie nieżonatym mężczyzną wydaje się przynajmniej warunkiem koniecznym[64]. Wygląda więc na to, że teorię, która sprawdzała się jedynie w przypadku pewnej, szczególnej grupy słów, zastosowano również do pozostałych terminów ogólnych, a następnie zaadaptowano na potrzeby nazw własnych. Strategia ta nie zaowocowała jednak sukcesem. Jak mógłby wyglądać opis konkurencyjny?

64 Uzupełnienie znaczenia słowa „kawaler" tak, aby podawało ono również warunek wystarczający przysparza pewnych kłopotów, ale nie wydaje się niewykonalne. Z pewnością trzeba założyć, że chodzi o osoby, które nigdy nie były żonate. Prawdopodobnie należałoby wykluczyć też ludzi objętych zinstytucjonalizowanym celibatem.

Zacznijmy od odrzucenia teorii nazw własnych jako skrótów deskrypcji określonych. Odrzucenie znaczeń rozumianych jako deskrypcje nie będzie krokiem bolesnym – nie było to rozwiązanie inspirowane potocznymi intuicjami co do tego typu nazw. Przyjmując, że nazwy te mają znaczenie, kierowaliśmy się nadzieją na rozwiązanie problemu ustalania odniesienia. Skoro okazało się, że teoria deskrypcji tego nie robi, to nie ma sensu się jej trzymać. Zastanówmy się raz jeszcze, dlaczego teoria ta zawiodła nasze nadzieje? Okazuje się, że odpowiedź na to pytanie w nieunikniony sposób wiedzie nas na teren metafizyki. Posłużmy się jednym z przykładów Kripkego. Dlaczego wahamy się przed postawieniem znaku identyczności między nazwą „Arystoteles" a deskrypcją „nauczyciel Aleksandra"? Naturalna odpowiedź na to pytanie to: „Bo Arystoteles *mógłby nie być* nauczycielem Aleksandra". Różnica pomiędzy nazwami własnymi a deskrypcjami jednostkowymi wydaje się polegać na tym, że nazwy własne odnoszą się do przedmiotów w jakiś tajemniczy, bezpośredni sposób, a deskrypcje odnoszą się dzięki pewnym własnościom, które danemu przedmiotowi przysługują. Niezgoda na utożsamienie ze sobą obu tych mechanizmów odniesienia jest po prostu nową wersją znanego z historii filozofii sprzeciwu wobec utożsamienia przedmiotu z wiązką własności. Mówiąc klasycznym językiem metafizyki, nazwa własna odnosi się do substancji, deskrypcja odnosi się do jej atrybutów. To metafizyczne wyjaśnienie dobrze widać we fragmentach, w których Kripke odrzuca zarzut o niejasnych kryteriach tożsamości przedmiotów w poprzek możliwych światów. Zauważa on, że stawianie owego, tzw. problemu transświatowej identyfikacji wynika z niewłaściwego podejścia do światów możliwych. Ci, którzy pytają o tożsamość przedmiotów realnych z ich możliwymi odpowiednikami zakładają, że możliwe światy dane są jakościowo i naszym zadaniem jest rozstrzygnięcie, czy ktoś posiadający te a te własności jest

jeszcze Arystotelesem czy też nie. Zdaniem Kripkego, jest to całkowicie niewłaściwe podejście. Możliwe światy nie są czymś, co obserwujemy a następnie opisujemy. Możliwe światy ustanawiane są przez opis [Kripke 1972: 47]. Mówiąc, że „Arystotelesowi mogło przydarzyć się, że…" mówię o Arystotelesie, a nie o kimś, dzielącym z nim pewien zbiór własności – odniesienie do Arystotelesa jest częścią opisu. Nazwa własna odnosi się więc do przedmiotu niezależnie od tego, czy przysługują mu własności, które zazwyczaj wymieniamy w deskrypcjach. Odnosi się do niego we wszystkich możliwych światach – wyrażenia odnoszące się do tych samych przedmiotów we wszystkich możliwych światach nazywa Kripke „sztywnymi desygnatorami". Deskrypcja zaś odnosi się do dowolnego przedmiotu o pewnych własnościach. W jednym świecie jest to Arystoteles, w innym ktoś nam zupełnie nieznany, a w jeszcze innym kogoś takiego po prostu nie ma. Zauważmy, że nic nie wyklucza tego, że jakaś deskrypcja odnosi się do tych samych przedmiotów we wszystkich możliwych światach. Posłużenie się taką deskrypcją nie rodziłoby problemów, które zdyskredytowały teorię Russella/Fregego. Jak nietrudno zauważyć, deskrypcja taka podawałaby unikatowy zestaw własności, które przysługują przedmiotowi we wszystkich możliwych światach – byłoby to więc coś w rodzaju *haecceitas* Dunsa Szkota.

Przyjmijmy zatem, że nazwy własne są sztywnymi desygnatorami. Jeśli jednak Kripke zdaje sobie sprawę z tego, że większość ludzi nie jest w stanie podać deskrypcji wyznaczającej jednoznacznie odniesienie w świecie rzeczywistym (a zdaje sobie z tego sprawę, na co wskazuje przykład z Cyceronem), to nie może przecież oczekiwać od nich dysponowania deskrypcjami ustalającymi odniesienie w dowolnym możliwym świecie. Jednakże, jeśli jakikolwiek opis miałby to odniesienie ustalać, musiałby to być właśnie opis *heacceitas*. Wygląda więc na to, że odniesienie uzyskujemy dzięki czemuś więcej niż tyl-

ko kompetencji językowej. Tym dodatkowym elementem jest, zdaniem Kripkego, związek przyczynowy między nosicielem nazwy a jej użytkownikiem. Przedmiot zostaje ochrzczony nazwą, następnie pierwszy użytkownik nazwy przekazuje ją kolejnemu użytkownikowi itd. Nazwa rozchodzi się w ten sposób w całej społeczności, a odniesienie zapewnione jest dzięki rzeczywistemu związkowi przyczynowemu, a nie przekonaniom ludzi, którzy ją szerzą. Oczywiście użytkownicy języka nie muszą być świadomi tych łańcuchów, a ich rozmówcy, chcąc dowiedzieć się, o kim mowa, nie muszą przeprowadzać badań, które pozwoliłyby prześledzić rzeczywisty łańcuch przyczynowy, który wprowadził nazwę do czyjegoś idiolektu. Odniesienie nie zależy od wiedzy i przekonań tych ludzi. Człowiek, który nadał nazwę przedmiotowi, mógł w tym celu posłużyć się jakąś deskrypcją – dalsze przekazywanie nazwy również może dokonywać się z użyciem deskrypcji. Posłużmy się zmodyfikowanym na nasze potrzeby przykładem Kripkego. Rodzi się dwoje dzieci. Jedno z nich ma jasne włosy, drugie ciemne. Załóżmy, że matka nadaje im imiona wypowiadając w myśli formułkę: „jasnowłosego syna nazwę «Jan», a ciemnowłosego «Filip»". Załóżmy teraz, że za jakiś czas w rozmowie pada imię „Jan". Na pytanie, o kogo chodzi, matka Jana odpowiada: „Jan to mój syn". Teoria przyczynowa pozwala nam uznać, że zarówno w przypadku matki Jana, jak i w przypadku jej bliżej nie określonego w przykładzie rozmówcy, odniesienie do Jana jest ustalone. Jest tak, pomimo iż matka posłużyła się deskrypcją, która w pewnych możliwych światach wskazuje inny przedmiot[65], a do idiolektu jej rozmówcy nazwa ta

65 Zakładam tu z góry, że Jan mógłby mieć włosy innego koloru, co wydaje się dość oczywiste. Pociąga to za sobą jednak wniosek, że mógłby mieć trochę inne DNA, co wcale nie jest już takie oczywiste. To jedna z poważnych trudności teorii przyczynowej, którymi zajmiemy się pod koniec tego rozdziału.

wprowadzona jest za pomocą deskrypcji, która nie denotuje pojedynczego przedmiotu. Kripke zadowala się przedstawieniem tego szkicowego obrazu teorii przyczynowej, choć zdaje sobie sprawę z tego, że należałoby go doprecyzować. Jedną z trudności jest choćby to, że w pewnych przypadkach nadanie nazwy wydaje się nie ustalać związku przyczynowego. Gdyby dzieci z naszego przykładu były bliźniętami jednojajowymi, a pielęgniarka pomyliła dokumenty[66], to posługiwalibyśmy się imionami tych dzieci niezgodnie z tym, co ustanowił nadający nazwę. Gdybyśmy dowiedzieli się po latach o tej pomyłce, to nie uznalibyśmy, że mówiąc o Janie odnosiliśmy się tak naprawdę do Filipa i odwrotnie. Wydaje się, że istotniejszy jest tu raczej moment wprowadzenia nazwy do użytku w danej wspólnocie niż sam akt chrztu. Innym kłopotem, dostrzeżonym zresztą przez Kripkego, jest to, że imiona osób znanych wydają się funkcjonować nieco inaczej niż imiona osób nieznanych [Kripke 1972: 96]. Brzmi to nieco enigmatycznie, przyjrzyjmy się więc zaczerpniętemu z *Nazywania i konieczności* przykładowi. Załóżmy, że nauczyciel mówi dzieciom coś o Newtonie i tak się składa, że jedyna informacja, którą im podaje jest fałszywa. Mamy poczucie, że dzieci nabrały fałszywego przekonania o Newtonie. Odnoszą się więc do Newtona. Załóżmy teraz, że nauczyciel ten mówi również, że George Smith jako pierwszy przeprowadził kwadraturę koła. George Smith to jego sąsiad, ale dzieci tego nie wiedzą. Czy nabrały fałszywego przekonania o sąsiedzie swojego nauczyciela? Wydaje się, że nie. Kripke nie rozwija niestety tej kwestii. Zastanówmy się jednak nad tym problemem. Rozważając nazwy własne, Kripke dokonuje pewnej uprawnionej idealizacji. Pomija fakt, że równobrzmiące nazwy własne nadawane są czę-

66 Jest to zmodyfikowana na nasze potrzeby wersja argumentu Garetha Evansa [1996: 11].

sto wielu różnym przedmiotom. Sądzę, że idealizacja ta staje się kłopotliwa właśnie w tym momencie. W odróżnieniu od większości imion, imiona osób sławnych rzeczywiście funkcjonują bardzo podobnie do tego, co zakłada ta idealizacja. Choć wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że gdzieś kiedyś żył pod nazwiskiem Izaak Newton jakiś człowiek, który nie dokonał niczego szczególnego, to trudno oprzeć się wrażeniu, że imię to zarezerwowane jest dla znanego wszystkim fizyka. Efekt ten spotęgowany jest tym, że niezbyt często zdarza się, aby dwie bardzo znane osoby nosiły dokładnie to samo imię i nazwisko[67]. Wyobraźmy sobie jednak następującą sytuację. Załóżmy, że nasz nauczyciel mówi swoim uczniom: „Scott Adams odkrył Amerykę". Okazuje się, że przyjmując odpowiednio niskie w porównaniu z Newtonem standardy „bycia znanym", odnaleźć możemy cztery znane osoby nazywające się „Scott Adams". Nie jest to imię kogoś nieznanego, a zatem, analogicznie do przypadku z Newtonem dzieci powinny uzyskać fałszywą informację na temat Scotta Adamsa. Ale o kim myślą oni teraz, że był odkrywcą Ameryki? O twórcy gier komputerowych; o autorze drukowanego w „Gazecie Wyborczej" komiksu *Dilbert*; o australijskim narciarzu czy też o popularnym autorze książek o religii? Nie da się na to pytanie odpowiedzieć. Odniesienie nie zostało ustanowione dokładnie z tych samych powodów, co w przypadku George'a Smitha. Zauważmy jednak, że gdyby nauczyciel wspomniał dzieciom, że Smith to jego sąsiad, powiedzielibyśmy, że mają fałszywe przekonanie na temat sąsiada swego nauczyciela. Rozwiązanie tego problemu wymaga odwołania się do teorii deskrypcji. Najogólniej rzecz biorąc, uzupełnienie wyglądałoby następu-

67 Wiem coś o tym, mimo starań nie udało mi się znaleźć przykładu kogoś bardziej znanego niż każdy ze Scottów Adamsów z przytoczonego przykładu.

jąco: Załóżmy, że chcemy ustalić sztywne odniesienie nazwy X. Jeżeli jest tak, że predykat „nazywa się X" jest prawdziwy o więcej niż jednym przedmiocie, to nazwa ta musi być wprowadzona przy użyciu deskrypcji, którą spełnia jeden i tylko jeden z tych przedmiotów (choć może ona być spełniona przez bardzo wiele innych przedmiotów, o których nie można orzec prawdziwie predykatu „nazywa się X" – tak jak jest to w przypadku pozostałych sąsiadów nauczyciela). Jak widać, teoria przyczynowa nie może całkowicie zastąpić teorii deskrypcji. W dalszej części tego rozdziału poznamy inne tego powody.

A co z nazwami ogólnymi? A ściślej – z tymi, które nie wydają się funkcjonować zgodnie z modelem pasującym do nazw takich jak „kawaler"? W przypadku nazw własnych odrzuciliśmy ten fałszywy paradygmat i zaproponowaliśmy konkurencyjny. Być może dobrze będzie, w przeciwieństwie do propozycji Fregego/Russella, spróbować wyjaśnić mechanizm odniesienia nazw ogólnych za pomocą zaadaptowanej odpowiednio teorii stworzonej na potrzeby nazw własnych? Quine twierdził, że znaczenie to odebrana rzeczom istota, być może powinniśmy przywrócić jej tradycyjne miejsce? Rozważane w przykładzie z Ziemią Bliźniaczą słowo „woda" nie odnosi się do dowolnej substancji chemicznej, posiadającej własności, które użytkownik tego słowa wymienia, zapytany o jego znaczenie. Odnosi się ono do substancji, mającej pewne własności istotnedla przedmiotu w każdym możliwym świecie, takich jak bycie H_2O. Przyjęcie tej koncepcji pozwala wyjaśnić nasze intuicje językowe dotyczące sytuacji kontrfaktycznych i opowieści w stylu historyjki o Ziemi Bliźniaczej. Dzięki założeniu, że pewne nazwy ogólne są sztywnymi desygnatorami jesteśmy w stanie wyjaśnić również nasze intuicje dotyczące zdań takich jak „Nixon jest człowiekiem". Jeżeli przyjmiemy, że zarówno „Nixon" jak i „woda" są sztywnymi desygnatorami, to zdanie to jest prawdziwe we wszystkich możliwych światach,

w których Nixon istnieje. Przyjęcie, że nazwa „człowiek" jest sztywnym desygnatorem przesądza bowiem o tym, że każdy przedmiot, który należy do jej zakresu w świecie rzeczywistym należy do jej zakresu w każdym świecie możliwym – gdyby „Nixon" w jednym ze światów należał do zakresu nazwy „człowiek", a w innym do niego nie należał, to zakres tej nazwy zmieniałby się w zależności od rozpatrywanego świata możliwego, a więc nazwa „człowiek" nie byłaby sztywnym desygnatorem.

Jak jednak zakreślić mamy linię demarkacyjną pomiędzy nazwami, które funkcjonują tak, jak opisuje to teoria przyczynowa a nazwami takimi jak „kawaler"? Wydaje się, że sztywnymi desygnatorami są nazwy wszystkiego, co do czego stosujemy przymiotnik „naturalny" – gatunków, substancji, zjawisk itd. Putnam zauważa jednak, że mamy tendencję do rozszerzania tej kategorii – nazwy artefaktów również funkcjonują tak, jakby przedmioty, do których się one odnoszą, posiadały jakąś wspólną istotę [Putnam 1975b: 140]. Granica wydaje się tu dość nieostra.

Podobnie jak w przypadku nazw własnych, te z nazw ogólnych, które są sztywnymi desygnatorami, odnoszą się do przedmiotów niezależnie od wiedzy i przekonań ich użytkownika. Człowiek, który nie wie, że woda to H_2O, nadal odnosi się do substancji, która ma właśnie ten skład chemiczny. Co więcej, członkowie społeczności, w której nikt nie wie, że woda to H_2O (np. na Ziemi z roku 1750) wszyscy odnoszą się do substancji, o której dziś wiemy, że jest właśnie H_2O. Zapewnia to tak pożądaną przez Putnama transteoretyczność pojęć. Zgodność tę zapewniamy sobie dokładnie tak, jak w przypadku nazw własnych. Ludzie wchodzą w kontakt z jakąś substancją –widzą wodę w rzekach, w szklankach, wodę która spada z nieba itd. Na podstawie manifestujących się własności wody tworzą sobie pewien stereotyp – woda to przezroczysty, pitny

płyn bez smaku i zapachu. Elementy tego stereotypu są jednak od pierwszych chwil traktowane dość prowizorycznie – od samego początku ludziom chodzi bowiem o substancję, która zazwyczaj tak się właśnie przejawia, a nie jedynie o same te przejawy. Woda jest więc nazwą ukrytej natury czy istoty wody [Putnam 1975b: 125]. Gdy zdarzy się tak, że istotę tę odkryjemy, to nie zawahamy się nazwać wodą każdej porcji płynu, która posiada te same własności istotne, niezależnie od podobieństwa do naszego prowizorycznego stereotypu. Odkrycie natury przedmiotu to wynik badań empirycznych [Kripke 1972: 111], dlatego też zdanie: „Woda to H_2O" jest konieczne, lecz nie aprioryczne.

Można tu jednak spróbować postawić następujący zarzut. Utożsamienie wody z H_2O nie jest częścią języka potocznego. Jest to część żargonu naukowców, laicy posługują się innym pojęciem wody niż chemicy. Odpowiedź na ten zarzut powinna być, na podstawie tego, co zostało już powiedziane, jasna. Nie ma żadnego znaczenia, czy ktoś wie, że woda to H_2O. W świecie, gdy nikomu jeszcze nie śniło się o tablicy Mendelejewa, ludzie odnosili się do dokładnie tej samej substancji co teraz. Poza tym twierdzenie, że naukowcy posługują się w swej praktyce zupełnie innym językiem napotyka na poważne trudności. Łatwo ją głosić w przypadku słów, które nie występują w języku potocznym, takich jak „kwark", trudniej w przypadku słów takich jak „woda". Kiedy naukowiec przestaje posługiwać się żargonem, a zaczyna operować językiem potocznym? Po wyjściu z instytutu? Czy kiedy mówi do kolegi z pracy: „Idę wstawić wodę, chcesz kawę?", posługuje się terminem potocznym czy technicznym? Wydaje się, że nie można tu zakreślić żadnych sensownych granic.

Jak zatem wygląda rzeczywiste znaczenie słowa „woda"? Propozycja Putnama przedstawia się następująco: jest to uporządkowana n-tka o elementach uwidocznionych w tabeli 13.1.

Tabela 13.1. Znaczenie wyrażenia „woda"

Charakteryzatory składniowe	Charakteryzatory semantyczne	Stereotyp	Ekstensja
rzeczownik masowy; konkretny	rodzaj naturalny; ciecz	bezbarwna; przezroczysta; bez smaku; gasi pragnienie	H_2O (z uwzględnieniem lub pominięciem zanieczyszczeń)

Propozycja ta rodzi wiele wątpliwości. Po pierwsze, nietrudno poczuć się nieco oszukanym przyjęciem, że ekstensja jest po prostu częścią znaczenia. Załatwia to oczywiście problem wyznaczania ekstensji przez znaczenie, ale w sposób niezwykle sztuczny. Najbardziej interesujący jest przecież sam mechanizm ustalania odniesienia – Putnam opisuje go mówiąc, że używając słowa „woda" ludzie odnoszą się do pewnej substancji, pozostającej w relacji tożsamości do substancji, z którą mają kontakt. W definicji znaczenia nie robi się jednak z tego odkrycia żadnego użytku. Poza tym, gdyby okazało się, że woda to jednak nie H_2O, nasza definicja nie byłaby już właściwa – wydaje się, że definicja powinna uniezależniać nas jakoś od naszej aktualnej wiedzy – na tym miała przecież polegać jedna z zalet teorii deskrypcji. Odpowiedzią Putnama byłoby prawdopodobnie to, że woda jest H_2O z konieczności. Putnam twierdzi, że nie implikuje to wcale istnienia ukrytej natury wody. Mogłoby się bowiem okazać, że porcje wody rozsiane po Ziemi nie posiadają żadnej wspólnej natury. Znaczenie tego słowa byłoby wtedy zgodne z modelem dla słowa „kawaler" i ograniczałoby się do stereotypu [Putnam 1975b: 133–134].

Rozwiązanie to budzi jednak pewien sprzeciw. Rozważmy tę kwestię. Co to właściwie znaczy, że Nixon jest człowiekiem z konieczności? Przecież mogłoby okazać się, że jest inaczej – moglibyśmy odkryć, że jest on np. jakimś skomplikowanym

automatem. Tego oczywiście Putnam i Kripke nie negują. Nie chodzi o to, że nie moglibyśmy tego odkryć. Jest jednak tak, że jeśli Nixon jest człowiekiem, to jest człowiekiem z konieczności. Należy rozumieć to tak, że choć moglibyśmy pomyśleć sobie, że Nixon nie jest człowiekiem, to zakładając, że nim jest, nie możemy już sobie pomyśleć, że mógłby nim nie być, pozostając sobą. W grę wchodzi tu jednak pewna subtelność, która w znaczny sposób komplikuje teorię przyczynową. Jednoczesne utrzymywanie, że mogłoby się okazać, że Nixon nie jest człowiekiem, ale zdanie: „Nixon jest człowiekiem" jest konieczne, jeśli jest prawdziwe, rodzi pewne napięcie. Oddajmy głos Kripkemu, który rozpoczyna od wypowiedzenia zarzutu hipotetycznego dyskutanta:

> […] mogłoby się okazać, że Gwiazda Wieczorna nie jest Gwiazdą Poranną. Co zatem możesz mieć na myśli, gdy mówisz, że takie ewentualności są niemożliwe? Jeśli mogłoby się o k a z a ć , że Gwiazda Wieczorna nie jest Gwiazdą Poranną to Gwiazda Wieczorna mogłaby nie b y ć Gwiazdą Poranną. […] Przeczyć temu faktowi to przeczyć oczywistej zasadzie modalnej, iż to, co wynika z możliwości, samo może być możliwe [Kripke 1972: 141].

Na zarzut ten Kripke odpowiada:

> Autor zarzutu ma rację, gdy wywodzi, że jeśli twierdzę, iż ten stół nie mógłby być zrobiony z lodu, muszę również twierdzić, iż nie mogłoby się okazać, że jest zrobiony z lodu; m o g ł o b y s i ę o k a z a ć , ż e P – pociąga [za sobą to], że P mogłoby zachodzić. Do czego zatem prowadzi intuicja, iż mogłoby się okazać, iż stół jest zrobiony z lodu lub z czegoś innego, iż mogłoby się nawet okazać, że nie jest utworzony z cząsteczek. Myślę, że znaczy to po prostu, iż mógłby być j a k i ś s t ó ł wyglądający i dający doznania

> dokładnie takie jak ten i umieszczony w tym właśnie położeniu w pokoju, a faktycznie zrobiony z lodu. Innymi słowy, ja (czy jakaś istota świadoma) mógłbym być j a k o ś c i o w o w t e j s a m e j s y t u a c j i p o z n a w c z e j, jaka faktycznie zachodzi, mógłbym mieć te same dane zmysłowe, jakie faktycznie mam, dotyczące j a k i e g o ś s t o ł u zrobionego z lodu. […] W przypadku niektórych prawd koniecznych a posteriori możemy powiedzieć, że w stosownych, **jakościowo identycznych** co do danych sytuacjach, stosowne odnoszące się do danej sytuacji **zdanie jakościowe** mogłoby być fałszywe. Swobodne i niedokładne zdanie, że złoto mogłoby się okazać związkiem [a nie pierwiastkiem o liczbie atomowej 79– PG] trzeba by zastąpić (w przybliżeniu) zdaniem, że jest logicznie możliwe, iż byłby **jakiś związek z wszystkimi własnościami, o których pierwotnie wiedziano, że dotyczą złota** [Kripke 1972: 141–142][68].

Wygląda więc na to, że nazwy takie jak „Gwiazda Poranna" czy „złoto" nie zawsze funkcjonują zgodnie z tym, co proponuje teoria przyczynowa. W zdaniu: „Okazało się, że złoto nie jest pierwiastkiem o liczbie atomowej 79" termin ten nie jest sztywnym desygnatorem – jego znaczenie jest mniej więcej takie, jak proponuje teoria tradycyjna i sprowadza się do stereotypu. Jest to, oczywiście, powrót do postulowania dwóch znaczeń słów – odpowiedników istoty realnej (sztywna desygnacja) i nominalnej (stereotyp). Zauważmy, że teoria Kripkego-Putnama czerpie z wszystkich trzech teorii, które rozważaliśmy w części pierwszej. Nazwy własne pozbawione są znaczenia, podobnie jak u Milla. Nazwy ogólne mają dwa znaczenia lub też dwa składniki znaczenia: stereotyp, będący odpowiednikiem własności, które manifestują i znaczenie właściwe, będące odpowiednikiem ich ukrytej natury. Jest to więc powrót do

68 Wyróżnienia spacją pochodzą od Kripkego, pogrubienia są moimi wyróżnieniami.

Locke'a. Kłopotliwe konteksty, takie jak: „Gwiazda Poranna mogłaby nie być Gwiazdą Wieczorną" i „Marek nie wie, że Gwiazda Poranna to Gwiazda Wieczorna" wyjaśnia się tu zaś w stylu Fregego, twierdząc, że w kontekstach tych wyrażenia te nie mają swego zwykłego znaczenia[69].

Co ciekawe, w dalszej części cytowanego fragmentu Kripke, starając się wyjaśnić, co znaczyłoby powiedzenie, że Gwiazda Wieczorna mogłaby nie być Gwiazdą Poranną, twierdzi, że znaczyłoby to, że jakieś dwa ciała niebieskie mogłyby zajmować dokładnie tę pozycję, którą faktycznie zajmuje Wenus. Choć Kripke nie rozważa takiej ewentualności, użyte przez niego słowo „faktycznie" nasunąć może przypuszczenie, że każdą deskrypcję jednostkową da się uczynić sztywnym desygnatorem, dodając pewien parametr – wskazanie na świat rzeczywisty. Załóżmy więc na próbę, że nazwa „Arystoteles" nie znaczy po prostu „nauczyciel Aleksandra", lecz znaczy „nauczyciel Aleksandra w świecie rzeczywistym". Czy jest to sztywny desygnator? To zależy oczywiście od tego, czy użyta w deskrypcji nazwa własna „świat rzeczywisty" jest sztywnym desygnatorem, czy nie. Z rozważań Kripkego jasno wynika, że jest to sztywny desygnator. Mieszkańcy światów możliwych mogliby nazywać światy, w których żyją „światem rzeczywistym", ale to nie ma dla nas znaczenia, ponieważ opisując światy możliwe posługujemy się naszym językiem, a nie jakimś możliwym językiem[70] [Kripke 1972: 78]. Możemy wprawdzie powiedzieć: „Świat rzeczywisty mógłby być inny", ale zgodnie z Kripkem byłoby to niedokładne sformułowanie zdania: „Istnieje świat możliwy jakościowo niezwykle podobny do

69 Putnam nazywa sytuacje, w których znaczenie ogranicza się do stereotypu „patologicznymi" [1975: 131–132].

70 Gdybyśmy tego założenia nie przyjęli, to nie istniałyby w ogóle prawdy konieczne. p →p byłoby np. fałszywe w świecie, w którym znak → znaczyłby „i nie".

rzeczywistego". Deskrypcja, taka jak powyżej, ustala więc odniesienie w sposób ścisły. Można by próbować posunąć się dalej, twierdząc, że dodatek: „w świecie rzeczywistym" był już *implicite* zawarty w deskrypcjach i stereotypach, ponieważ tworzący je ludzie mówili o świecie rzeczywistym, a nie dowolnym możliwym świecie. Rozwiązanie to ma jednakże poważną wadę – każda własność przedmiotu staje się jego własnością konieczną, ponieważ każda własność uzupełniona o parametr „w świecie rzeczywistym" przysługuje przedmiotowi w każdym możliwym świecie. Intuicja z dodatkowym parametrem pozwoli nam jednak usprawnić nieco zamieszczoną powyżej propozycję opisania znaczenia słowa „woda". Zamiast mówić, że ekstensją tego słowa jest H_2O, możemy powiedzieć, że ekstensją jest ukryta natura związku, który w świecie rzeczywistym posiada własności zawarte w stereotypie lub sam ten stereotyp, jeśli natura taka nie istnieje. Rozwiązanie to wydaje się lepiej oddawać intuicje stojące za teorią przyczynową. Zauważmy jednak, że konieczność zdań, takich jak: „Woda to H_2O", nadal może rodzić pewne wątpliwości. Przypomnijmy, że konieczność tego zdania zasadza się na tym, że powiedzenie: „Mogłoby się okazać, że woda nie jest H_2O" przekładane jest na coś, co Kripke nazywa „zdaniem jakościowym" – ta sytuacja kontrfaktyczna opisuje świat, w którym **jakaś inna** substancja miałaby obserwowalne własności wody, ale inną strukturę chemiczną. Konieczność bierze się więc z założenia, że nic nie może być **tą samą** substancją, mając inny skład chemiczny. Czy jest to założenie samo z siebie oczywiste? To zależy od tego, jak pojmujemy warunki tożsamości terminu „substancja" w poprzek możliwych światów. Ale czy wyznaczone przez naukę warunki tożsamości dla substancji chemicznych bądź gatunków naturalnych sformułowane są dla wszystkich możliwych światów, czy też tylko dla tych możliwych światów, w których obowiązują te same prawa przyrody,

co w świecie rzeczywistym? Prowokuje to następne pytanie o warunki tożsamości praw przyrody. Rozważmy następujący przykład. Załóżmy, że nauka informuje nas o tym, że woda to H_2O. Odkrywamy jednak, że woda ma również pewną własność strukturalną Z. Okazuje się, że istnieje prawo przyrody P, które stwierdza, że wszystko, co ma własność Z, ma również własność bycia H_2O i odwrotnie. Istnieją jednak takie światy, w których prawo to nie obowiązuje – w światach tych substancja o stereotypowych własnościach wody posiada własność Z, ale nie własność bycia H_2O. Czy substancja w świecie, w którym nie obowiązuje prawo P jest wodą, która nie jest H_2O czy też nie? Można podejrzewać, że opinie co do tej kwestii byłyby znacznie bardziej podzielone niż w przypadku przykładów, które proponują Kripke i Putnam[71].

Co więcej, wydaje się, że również inne przykłady prawd metafizycznie koniecznych, mające wspierać teorię sztywnego odniesienia, można zakwestionować. Weźmy pod uwagę słynną „konieczność pochodzenia" Kripkego – żaden człowiek nie mógłby być spłodzony przez inne osoby, niż te, które faktycznie go spłodziły (oczywiście może okazać się, że miał innych rodziców ale to, jak wiemy, inna sprawa). Załóżmy, że jakiś człowiek, powiedzmy Jan, jest synem Marii i Roberta. Załóżmy, że w świecie rzeczywistym powstał on dzięki stosunkowi seksualnemu jego rodziców. Wyobraźmy sobie teraz świat możliwy, w którym te same osoby spłodziły go dzięki technologii sztucznego zapłodnienia. Zakładamy jednocześnie, że tak się składa, że ten sam plemnik Jana zapłodnił to samo jajo Marii. Czy jest to nadal Jan? Wyobraźmy sobie teraz świat, w którym technologia posunięta jest tak daleko, że

71 Rozbieżność opinii jest tu rzeczywiście dość znaczna. Niektórzy twierdzą np., że teoria przyczynowa dowodzi tego, że prawa przyrody są konieczne [Bird 2001].

płodzenie dziecka polega na tym, że rodzice dobierają sobie chromosomy w specjalnym instytucie. Załóżmy, że Maria i Robert dobrali dokładnie te chromosomy, które w rzeczywistości posiada Jan. Chromosomy te pobierane są z ich ciał. Czy stworzony w ten sposób człowiek to nadal Jan? A teraz wyobraźmy sobie kolejny świat, w którym wszystko przebiega podobnie jak w poprzednim, z tą tylko różnicą, że zamiast pobierania chromosomów z ciał Marii i Roberta są one syntetyzowane tak, aby mieć dokładnie tę samą strukturę, co chromosomy znajdujące się w ciałach dobierających je rodziców. Czy powstały w ten sposób człowiek to nadal Jan? W ostatnim kroku przedstawmy sobie świat, w którym wszystko przebiega tak samo jak w poprzednim, ale doboru dokonują inni ludzie. Wybierają oni jednak dokładnie tę samą kombinację tych samych chromosomów. Czy jest to nadal Jan? Podejrzewam, że najbardziej kontrowersyjnym punktem jest zmiana polegająca na przejściu od chromosomów pochodzących z ciał rodziców do chromosomów zsyntetyzowanych. Ktoś mógłby powiedzieć – nie jest to ten sam materiał, więc mamy do czynienia z powstaniem innego człowieka. Jest to jednak, jak można pokazać, intuicja dość krucha. Materiał, z którego stworzone są komórki w ciałach Marii i Roberta zależy od tego, co jedli. Załóżmy, że cały pokarm, który przyjęli w swoim życiu w świecie rzeczywistym Maria i Robert nazwiemy P. Istnieje świat możliwy, w którym jacyś inni ludzie zjedli P – Maria i Robert zjedli zaś dokładnie to, co ta druga para zjadła w świecie rzeczywistym. Czy Janem będzie człowiek spłodzony przez Marię i Roberta, czy też przez tę drugą parę?

Chciałbym być w tym miejscu dobrze zrozumiany. Nie twierdzę, że istnieje jakaś właściwa odpowiedź na każde z tych pytań. Stawiam jedynie tezę, że odpowiedzi rozłożą się w podanych przeze mnie przypadkach inaczej, niż w wyjściowym pytaniu Kripkego: „Czy człowiek może być spłodzony przez

innych rodziców?". Dużo większa będzie też liczba osób niezdecydowanych. Oznacza to, moim zdaniem, że intuicje dotyczące konieczności zależne są od naszej wiedzy naukowej w stopniu znacznie większym, niż sądzą Kripke i Putnam. Prowadzi to jednak do wniosku, że odniesienie zmienia się w zależności od tej wiedzy. Opowiadając trochę inną historyjkę, możemy zmienić intuicje użytkowników języka. Kripke twierdzi np., że nazwa „człowiek" odnosiła się zawsze do pewnego gatunku naturalnego, ale ramy tego, co uważamy za **ten sam** gatunek, mogą zmieniać się w czasie. Rozważmy np. zdanie: „Nixon jest mężczyzną". Czy jest ono metafizycznie konieczne? W świecie, w którym możliwe są operacje zmiany płci, większość osób uznałaby je za zdanie przygodne. Czy zrobiliby tak jednak nasi przodkowie?

Założenie, że mamy jakiegoś rodzaju stałą intuicję co do tego, co jest konieczne, a co nie, jest jednak bardzo istotnym składnikiem teorii przyczynowej. Sztywne desygnatory wprowadzone zostają właśnie po to, aby wyjaśnić nasze inklinacje w tym względzie. Być może jednak jest tak, że język i znaczenia przysługujące jego wyrażeniom nie mają z tym żadnego związku. Nad pytaniem, czy w tej sytuacji możemy ocalić coś z teorii przyczynowej zastanowimy się jednak w *Zakończeniu*.

Zakończenie

We wstępie przedstawiłem 15 tez, które reprezentowały pewne intuicje *implicite* lub *explicite* wyrażane przez badaczy znaczenia wyrażeń. Wróćmy teraz do nich i oceńmy, jak wiele z owych intuicji udało się ocalić. Przypomnijmy najpierw tę listę.

1. Znaczenia są pewnego rodzaju przedmiotami.

2. Znajomość znaczeń jest pewnego rodzaju wiedzą i wyznacza kompetencję językową użytkownika języka.

3. Dwa wyrażenia o tym samym znaczeniu są wymienialne *salva veritate*.

4. Znaczenie determinuje odniesienie, ale nie odwrotnie.

5. Znaczenie wyrażeń złożonych jest funkcją znaczeń ich wyrażeń składowych.

6. Znaczenie wyrażeń prostych pochodzi z doświadczenia.

7. Znajomość znaczeń manifestuje się w bezwarunkowej asercji niektórych zdań.

8. Oprócz sporów rzeczowych istnieją spory pozorne opierające się na różnym rozumieniu słów.

9. Dwa wyrażenia tego samego języka mogą nieć to samo znaczenie.

10. Dwa wyrażenia różnych języków mogą mieć to samo znaczenie.

11. Język można wzbogacać o nowe znaczenia nie zmieniając znaczeń wcześniej w nim występujących.

12. Istnieje granica między wiedzą o znaczeniach słów a wiedzą o świecie.

13. Znaczenia słów są sprawą konwencji.

14. Istnieją wyrażenia poprawne gramatycznie, lecz niepoprawne semantycznie (bezsensowne).

15. Słowa odnoszą się do przedmiotów.

Teza 1., jak się okazało, prowadzi do poważnych problemów. Zmuszeni byliśmy do przyjęcia wątpliwych tez ontologicznych. Wypowiadaliśmy twierdzenia o idealnych bytach, o których nie byliśmy w stanie powiedzieć nic więcej ponad to, że spełniają dokładnie tę funkcję, której oczekujemy od pojęcia znaczenia. To, w jaki sposób spełniają tę funkcję, okazało się jednak zupełnie tajemnicze – odezwał się tu stary, platoński problem relacji między umysłem starającego się uchwycić ideę a samą ideą. Postulowanie bytów mentalnych okazało się niewiele lepszym posunięciem. Założenie, że znajdują się one „w głowach" użytkowników nie pozwalało na wyjaśnienie fenomenu komunikacji pomiędzy posiadającymi prywatne języki ludźmi.

Niezwykle kuszące wydawało się więc odrzucenie tezy 1. i zastąpienie pytania o to, czym są znaczenia dwoma innymi pytaniami, które wielokrotnie się na stronach tej pracy pojawiały: „Kiedy dwa wyrażenia mają ten sam sens" i „Kiedy wyrażenie posiada sens". Załóżmy więc, że odrzucamy tezę 1. i przyjmujemy tezy 9. i 14. za dane – tezę 9., ponieważ zakładamy, że istnieją synonimy, a my musimy opisać, na czym relacja synonimiczności polega oraz tezę 14., ponieważ zakładamy, że istnieje jakiś inny niż gramatyczny podział na wyrażenia sensowne i bezsensowne. Co dzieje się wtedy z pozostałymi tezami?

Teza 2. Ponieważ nie mamy już znaczeń jako bytów, to „znajomość znaczeń" sprowadzamy do znajomości reguł języka. Znajomość tych reguł jest koniecznym i wystarczającym warunkiem tego, by być kompetentnym użytkownikiem języka.

Zakładamy zatem, że jesteśmy w stanie odróżnić w jakiś sposób owe reguły od wszystkich innych rzeczy, które ktoś wie, ale które z jego kompetencją językową nie mają nic wspólnego. Oznacza to konieczność przyjęcia tezy 12.

Teza 3. Aby teza ta była prawdziwa, musimy wierzyć, że zdefiniowana przez nas relacja synonimiczności pozwoli również na zastępowanie wyrażeń w kontekstach modalnych i zdaniach psychologicznych. Nadzieja na to, że relację taką da się zdefiniować opiera się na tezie 12. – jeżeli kompetencja językowa nie zależy od wiedzy o świecie aktualnym, to nie widać powodu, dla którego te konteksty miałyby być kłopotliwe. Synonimiczność nie będzie bowiem zależeć ani od tego, co ktoś wie o świecie, ani od tego, jaki ten świat jest lecz od reguł języka. a zgodnie z tezą 12. nie jest to wiedza o świecie.

Teza 4. Ponieważ mówimy o relacji synonimiczności, a nie o bytach, jakimi tradycyjnie miały być znaczenia, to intuicja ta sprowadza się do tego, że dwa wyrażenia o tym samym znaczeniu powinny mieć to samo odniesienie. Jednocześnie dwa wyrażenia o tym samym odniesieniu nie muszą mieć tego samego znaczenia. Możemy tak skonstruować reguły języka, aby intuicja ta była w sposób trywialny zachowana. Na przykład: dla wszystkich wyrażeń, które są w naszym języku równoznaczne dzięki postulatom znaczeniowym, tworzymy reguły desygnacji, które sprawiają, że są one równoważne. Jeżeli chcemy jednak, aby wyrażenia, które nie występują *explicite* w naszych regułach zachowywały intuicję wyrażoną w tej tezie, musimy założyć również, że prawdziwa jest teza 5. Sprawdźmy więc, czy możemy ją podtrzymać i od czego to zależy.

Aby mogła być zachowana teza 5., musimy założyć poprawność tezy 3., czyli przyjąć, że wymienialność zachodzi także w przypadku kontekstów modalnych i zdań psychologicznych. Bez tego założenia uzyskamy język, w którym nie we wszystkich przypadkach znaczenie większych całości

będzie zależało od znaczenia części. Jak widzieliśmy, teza 3. zależy od tego, czy teza 12. jest prawdziwa. Jest więc tak, że teza 5. również pośrednio zależy od tezy 12. Ponieważ przed chwilą zauważyliśmy, że przyjęcie tezy 4. zależy od naszej decyzji co do tezy 5., to okazuje się, że teza 4. pośrednio zależy od naszej decyzji co do tezy 12.

Teza 6. Okazuje się, że ta zdroworozsądkowa teza (jak mogłoby się początkowo wydawać) doprowadziła do poważnego kryzysu w filozofii języka. Sprowadzenie znaczenia danego wyrażenia do powiązanej z nim danej empirycznej wcale nie jest proste – żadne zdanie nie staje przed trybunałem doświadczenia pojedynczo, a zatem nie możemy oczekiwać, by znaczenia wyrażeń w nim zawartych były zdeterminowane przez empirię.

Teza 7. będzie spełniona, jeżeli istnieją zdania prawdziwe na mocy reguł języka, niezależne od wiedzy jego użytkowników i okoliczności pozajęzykowych. Oczywiście, zależy to od prawdziwości tezy 12. Gdyby okazało się, że nie istnieje jasny podział na zdania „o języku" i zdania „o świecie", to nie moglibyśmy wymagać od użytkowników języka bezwarunkowej asercji zdań, niezależnej od stanu ich wiedzy. A ściślej – nie moglibyśmy uznać, że jest to przejaw braku kompetencji językowej.

Teza 8. opiera się wprost na tezie 2. To, czy mamy do czynienia z człowiekiem, który myli się co do faktów, czy też z kimś, kto ma po prostu fałszywe poglądy, zależy od tego, czy nie przejawia on braków w zakresie kompetencji językowej. Ostatecznie jednak najważniejsze jest to, czy istnieje jasny podział na kompetencję językową i wiedzę – wracamy więc do tezy 12.

Teza 13. Mówiąc, że „znaczenia słów są kwestią konwencji", nie stwierdzamy niczego innego ponad to, że nie są zależne od faktów, znajomość tych znaczeń nie jest więc znajomością faktów. Jest to, po prostu, inna wersja intuicji wyrażonej w tezie 12.

Wygląda więc na to, że nie możemy pozwolić sobie na odrzucenie tezy 12. – oznaczałoby to konieczność odrzucenia zbyt wielu innych tez. Zapamiętajmy sobie tę zależność. Do rozważenia pozostały nam jedynie tezy 6., 10., 11. i 15. Spróbujmy im się teraz przyjrzeć. Najpierw rozważmy tezy 10. i 11.

Utrzymanie tezy 10. jest bardzo problematyczne, ponieważ definiując synonimiczność przez odwołanie się do reguł języka, musimy z góry pogodzić się z tym, że relatywizujemy to pojęcie do tego języka. Jeżeli chcemy, aby jakieś wyrażenie innego języka było przekładem wyrażenia z języka, dla którego stworzyliśmy teorię, to musimy odwołać się do tożsamości struktur wyznaczanych przez reguły obu języków.

Przyjęcie tezy 11. prowadzi do paradoksalnych konsekwencji. Język S_1, który wzbogaciliśmy o nowe słowo, musi zostać wzbogacony o nową regułę. Jest to więc język S_2 o innej strukturze niż wyjściowy. Mamy wtedy dwie możliwości: albo uznać, że znaczenia wszystkich wyrażeń w S_2 zmieniły się, czyli odrzucić tezę 11., albo uznać, że znaczenia te nie zmieniły się, choć S_2 nie jest już przekładalny na S_1, co jest niezwykle nieintuicyjne.

Możemy, oczywiście, pogodzić się z tymi niedogodnościami. Sprawiają one jednak, że nasz opis nie może być w żaden sensowny sposób wykorzystany do opisu języków naturalnych, których charakterystyczną cechą jest to, że pojawiają się w nich ciągle nowe wyrażenia. Pozostały więc tylko dwie tezy – 6. i 15. Nie ulega wątpliwości, że chcemy, aby nasze słowa odnosiły się do świata (teza 15.). Założyliśmy wprawdzie, że to znajomość znaczeń ustala odniesienie, ale ponieważ zmuszeni byliśmy przyjąć tezę 12., to wiemy, że znajomość znaczeń w żadnym stopniu o świecie nie informuje. Jak te konwencjonalne narzędzia miałyby ustalać odniesienie? Jedynym rozwiązaniem jest przyjęcie tezy 6. – istnieją pewne elementarne wyrażenia, które łączą język ze światem.

Obraz, który chcieliśmy uzyskać, zaczyna wisieć na włosku, a ściślej na dwóch włoskach – tezach 6. i 12. Niestety, jak wiemy, obie te tezy zostały zakwestionowane. Znalezienie „łączników" ze światem – zdań lub predykatów obserwacyjnych nie przyniosło zadowalających rezultatów. Opis sposobu, w jaki miałyby one nasączać sensem resztę języka również wydawać się zaczął podejrzany, gdy tylko uświadomiono sobie, że akceptacja lub odrzucenie owych zdań elementarnych zależy od akceptacji lub odrzucenia zdań, których w żadnym wypadku elementarnymi byśmy nie nazwali.

Co więcej, teza 12., na której tak polegaliśmy, coraz bardziej zaczęła wyglądać na myślenie życzeniowe niektórych filozofów. W świetle krytyki podziału zdań na analityczne i syntetyczne Quine'a, podział na kompetencję językową i wiedzę stał się mocno iluzoryczny. Założenie, że można te rzeczy rozgraniczyć wydaje się dość naiwne, wszak dziecko poznaje świat i język w ramach tego samego procesu uczenia się. Z niewiadomych powodów zakładamy jednak, że efekt tego procesu rozpada się nagle na dwa niepowiązane ze sobą rodzaje wiedzy. Odrzucając tę tezę, dochodzimy jednak do punktu, w którym znaleźliśmy się pod koniec rozdziału jedenastego. Rozwiązanie polegające na powrocie do tradycji i przyjęciu nowej wersji odrzuconej tezy 1, co ma miejsce w teorii przyczynowej z jej metafizycznym pojęciem istoty w roli składników znaczenia, opiera się zaś na wątpliwym założeniu, że będąca efektem kompetencji językowej intuicja lingwistyczna pozwala na rozstrzyganie o prawdziwości zdań modalnych. Założenie to jest zakamuflowaną wersją tezy 12.

Mimo to wydaje się, że nie powinniśmy popadać w sceptycyzm. Jak wspomniałem w rozdziale poświęconym teorii Quine'a, moglibyśmy spróbować odrzucić odwołanie się do bodźców, które okazały się prywatne, na rzecz mówienia po prostu o przedmiotach. Gdy to zrobimy, możemy pokusić się

o naszkicowanie pewnego obrazu języka, wyłaniającego się z wyników Quine'a uzupełnionych o pewne idee zawarte w teorii przyczynowej.

Na początek jednak drobne wyjaśnienie. Mówienie o oddziałujących na nas przedmiotach zamiast o bodźcach ma dwie wady, jedną poważną, drugą trochę mniej. Poważna wada to angażowanie kontrowersyjnego pojęcia przyczynowości. Najprostszym, znanym mi sposobem uporania się z tym jest zrobienie niewinnej miny i przejście na mówienie o korelacjach w czasie i przestrzeni. Wadą mniej poważną jest to, że mówiąc o przedmiotach, angażujemy od razu całą ontologię języka potocznego. W jaki sposób wpływa to na nasz opis? W żaden. Mówiąc o bodźcach też dokonujemy ontologicznego rozstrzygnięcia, zakładając istnienie receptorów i całego systemu nerwowego. Zgoda na istnienie jeszcze innych przedmiotów (poza naszą powierzchnią, jakby powiedział Quine) nie deformuje opisu, ponieważ królik i dopełnienie kosmiczne królika oferują naszym bodźcom dokładnie te same atrakcje. Nie powinniśmy dawać się zwieść złudzeniu, że przechodząc od mówienia o receptorach do mówienia o królikach przechodzimy z pozycji empirysty na grunt naiwnego realizmu. Złudzenie to datuje się jeszcze od czasów Berkeleya, który w jednym zdaniu odrzucał materię, aby w drugim opowiedzieć nam coś o zmysłach. Pozostańmy więc przy królikach. Co wówczas daje się powiedzieć o znaczeniu?

Załóżmy, że ja i mój towarzysz obserwujemy królika, ale coś dzieje się w moim układzie nerwowym. Reaguję pewnym dźwiękiem. Królik oddziałuje również na mojego towarzysza, w jego układzie nerwowym również coś się dzieje, być może coś zupełnie niepodobnego do tego, co następowało u mnie. Wydaje on jednak ten sam dźwięk. Tym, co jest tu publiczne, jest królik i dźwięk, tym co prywatne – stany naszych mózgów. Teraz mój towarzysz wydaje dźwięk: „Polujemy!". Dźwięk

ten oddziałuje na mnie, być może, w zupełnie inny sposób, niż na mojego towarzysza. Istotne jest jednak to, że natychmiast zgodnie napinamy cięciwy. Jeśli nadal wydaje nam się, że komunikacja jest tu niewiadomą, to jest tak dlatego, że doszukujemy się jakiegoś wspólnego nam obu pośrednika między dźwiękiem a królikiem. Do tego, byśmy byli identycznie uwarunkowani, nic takiego nie jest jednak wymagane. Abym wyrobił sobie dyspozycję do mówienia *gavagai* na widok królików, spełnione muszą być tylko dwa warunki: po pierwsze, królik musi wywoływać we mnie pewien stan X, którego nie powodują inne przedmioty, po drugie, dźwięk *gavagai* musi wywoływać we mnie pewien stan Y, niezależny od innych dźwięków. Ale to, czy stany te będą w jakimkolwiek stopniu podobne do stanów mojego kompana jest już zupełnie nieistotne. Są to żuki w pudełku Wittgensteina. Mamy tendencję do tego, by doszukiwać się wspólnej nam obu dyspozycji w sensie wspólnej ukrytej własności. Niczego takiego jednak nie ma. W pewnym miejscu Quine przyrównuje ludzi do podobnych maszyn zaprogramowanych w różny sposób. Powinniśmy przyjąć dokładnie odwrotny punkt widzenia. Jesteśmy niepodobnymi maszynami zaprogramowanymi w ten sam sposób. Czym bardziej oddalamy się od zdań obserwacyjnych, tym trudniej nam mówić o zgodności w warunkowaniu. Nieobserwacyjna część języka jest bowiem w równym stopniu dziełem społecznego treningu i jak naszych własnych eksperymentów. Na podstawie zauważalnych podobieństw pomiędzy pewnymi dźwiękami tworzymy sobie prototypy zdań, które poddajemy ocenie członków naszej wspólnoty językowej. Ocena, którą nam wystawiają, nie zawsze zmienia nasze nawyki. Jest ona wystarczająco „apodyktyczna" tylko w szczególnych przypadkach, takich jak zdania niepoprawne gramatycznie albo fałszywe zdania obserwacyjne. W pozostałych przypadkach nasze prototypy będą w mniej lub bardziej życzliwy sposób

akceptowane, przynajmniej dopóki nie zaczną prowadzić do nieakceptowanych zdań obserwacyjnych. Aby związków pomiędzy zdaniami nieobserwacyjnymi nie pozostawiać całkowicie w domenie tego, co prywatne, tworzymy sobie specjalne „punkty kontrolne" – zdania, które każdy musi zaakceptować oraz takie, które każdy musi odrzucić, niezależnie od tego, co w danym momencie na niego oddziałuje. Warunek ten jest istotny, ponieważ w innym przypadku nigdy nie uzyskalibyśmy pewności co do tego, czy ktoś oblał test lingwistyczny, czy też po prostu oddziałuje na niego coś bardzo nietypowego. Nasze umiłowanie płynności dialogu też nie bierze się tylko z towarzyskiej natury. Nieujawnione, poważne różnice w ramach nieobserwacyjnej części języka mogą okazać się bardzo kłopotliwe, gdy przyjdzie nam wspólnie działać w obliczu ich obserwacyjnych konsekwencji. Wolimy więc zniwelować te różnice zawczasu. Będzie to miało najczęściej postać próby nakłonienia rozmówcy do podążania śladem zdań, aż do najbliższego punktu kontrolnego lub wskazania konsekwencji obserwacyjnych, które wspólnie przetestujemy.

Zastosowana do opisu naszej działalności naukowej metafora pola coraz bardziej zaczyna się narzucać przy opisie języka. Nie powinno nas to dziwić, choć na pierwszy rzut oka różnice są spore. Język służy komunikacji, nauka przewidywaniu doświadczeń i zaspokajaniu ciekawości. Ale komunikacja to tylko nazwa pewnej szczególnej formy współpracy społecznej, która służy dokładnie tym samym celom. Jeżeli przypomnimy sobie, że język potoczny wyposaża nas w prototeorię świata – ontologię – to analogia między językiem a nauką stanie się jeszcze bardziej uderzająca.

Mówiąc o teoriach naukowych, Quine zauważa, że istnieje zasadnicza różnica między opisem „z punktu widzenia tej teorii" i „z punktu widzenia epistemologii". To, co napisałem powyżej, można uznać za wypowiedź uwzględniającą ten dru-

gi punkt widzenia. Nie oznacza to dyskwalifikacji wygodnych założeń, takich jak istnienie przedmiotów. Przedmioty są „postulowane" tylko z punktu widzenia epistemologii. Przyjmijmy, że tezy 1. i 12. są użytecznymi fikcjami, które przyjęte są *implicite* w języku naturalnym. Są one prawdziwe „z punktu widzenia teorii", którą okazał się ten język.

Mówiąc o relacji identyczności, Quine dostrzegł, że wielu filozofów uważa ją za dość tajemniczą, choć w rzeczywistości jest ona zupełnie oczywista. Trudności z oceną zdań, takich jak: „Człowiek = zwierzę myślące" nie biorą się z niejasności relacji identyczności – niejasne jest tu pojęcie „człowiek". Przypomnijmy sobie jednak, że relacja identyczności okazuje się odgrywać pierwszorzędną rolę w ustalaniu odniesienia przedmiotowego. W ramach teorii, jaką jest język naturalny, postulujemy bowiem przedmioty, do których mają się odnosić słowa. Postulujemy je dzięki ich uwikłaniu w zdania, takie jak: „Ten sam człowiek" i „Inny człowiek". Ale sposób, w jaki posługujemy się słowem „człowiek" nie jest zdeterminowany przez własności relacji tożsamości. W tym miejscu skorzystać możemy z osiągnięć teorii przyczynowej. Nie musimy jednak zakładać, że istnieje coś takiego, jak „istota człowieka", a przynajmniej nie musimy tego zakładać z punktu widzenia epistemologii. Istota człowieka jest postulowanym przedmiotem specjalnego typu. Jak pokazuje teoria przyczynowa, dopiero postulowanie tego przedmiotu pozwala na realistyczny opis tego, jak ludzie ustalają odniesienie przedmiotowe. Założenie o istnieniu istot nie jest ani bardziej, ani mniej metafizyczne niż założenie o istnieniu przedmiotów materialnych. Oba odgrywają główną rolę w komunikacji. Ludzie ustalają swe odniesienie do postulowanych przedmiotów dzięki postulowaniu ich istot. Owo założenie jest częścią pewnej pierwotnej wizji świata, którą odzwierciedla nasz język. Nie przesądzam tu ani o tym, że istoty istnieją, ani o tym, że ludzie posiadają

intuicję lingwistyczną, która pozwala im rozstrzygać zdania kontrfaktyczne. Wręcz przeciwnie – nasze intuicje co do tych zdań są w dużej mierze zależne od ustaleń zaawansowanego rozszerzenia naszej teorii świata – nauk empirycznych. Założenie o istnieniu dwóch niezależnych typów wiedzy – wiedzy o świecie i wiedzy o języku – pełni dla nas, mówiących językiem potocznym, niezwykle użyteczną rolę. Tworzy mit języka jako narzędzia, którym posługiwać się można niezależnie od okoliczności i wiedzy o tych okolicznościach. Języka, którym pewien nic nie wiedzący o świecie aktualnym użytkownik mógłby z powodzeniem opisywać wszystkie możliwe światy, a jedynie nie potrafiłby wskazać świata aktualnego. Postulując przedmioty fizyczne, mogę utrzymywać, że ja i mój rozmówca mówimy o tym samym. Postulując znaczenia, czyli językowe odpowiedniki istot, mogę utrzymywać, że ja i pewien człowiek, którego nigdy wcześniej nie spotkałem, mówimy o tym samym. Oczywiście, rzeczywistość rzadko „dorasta" do mitu – stąd kłopoty w przypadku niektórych kontekstów modalnych i psychologicznych. Nauka empiryczna nie informuje nas o wszystkich możliwych światach, a jedynie o pewnym ich podzbiorze – o światach, w których panują z grubsza te same prawa, co w świecie aktualnym. Z kolei to, co dla jednego użytkownika języka jest jego regułą, składnikiem znaczenia słowa, dla innego może mieć status informacji o świecie, której akurat nie posiada. Obraz ten daje jednocześnie pewne pojęcie o powodach niepowodzenia projektu eksplikacji pojęcia znaczenia. Wyrzucając metafizykę z opisu języka naturalnego, wyrzucamy tym samym coś, co jest jednym z jego najistotniejszych składników.

Literatura cytowana

Ajdukiewicz K. (1931), *O znaczeniu wyrażeń*, [w:] K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie*, t. 1, PWN, Warszawa 1985, s. 102–136.

Ajdukiewicz K. (1934), *Język i znaczenie*, [w:] K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie*, t. 1, PWN, Warszawa 1985, s. 145–174.

Ajdukiewicz K. (1960), *Przedmowa* do: K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie*, t. 1, PWN, Warszawa 1985, PWN, s. V–VIII.

Ajdukiewicz K. (1964), *Zagadnienie empiryzmu a koncepcja znaczenia*, [w:] K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie*, t. 2, PWN, Warszawa 1985, s. 388–400.

Bird A. (2001), *Necessarily, salt dissolves in water*, "Analysis", Vol. 61, No. 2, s. 267–274.

Black M. (1948), *Semantyczna definicja prawdy*, [w:] *Logika i język. Studia z semiotyki logicznej*, red. i tł. J. Pelc, PWN, Warszawa 1967, s. 319–337.

Bloor D. (1997), *Wittgenstein, rules and institutions*, Routledge, London.

Burge T. (1979), *Sinning against Frege*, "Philosophical Review", Vol. 88, No. 3, s. 398–432.

Buszkowski W. (2010), *O równoznaczności wyrażeń w ujęciu Ajdukiewicza*, [w:] *Nauka – kultura – społeczeństwo. Księga jubileuszowa dedykowana Profesor Krystynie Zamiarze*, red. J. Grad, J. Sójka, A. Zaporowski, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, Poznań.

Carnap R. (1935), *Filozofia i składnia logiczna*, [w:] R. Carnap, *Filozofia jako analiza języka nauki*, tł. A. Zabłudowski, PWN, Warszawa 1969, s. 6–66.

Carnap R. (1936), *Sprawdzalność i znaczenie*, [w:] R. Carnap, *Filozofia jako analiza języka nauki*, tł. A. Zabłudowski, PWN, Warszawa 1969, s. 67–192.

Carnap R. (1937), *Logiczna składnia języka*, PWN, Warszawa 1995.

Carnap R. (1946), *Introduction to Semantics*, Harvard University Press, Cambridge, MA.

Carnap R. (1956), *Meaning and Necessity*, The University of Chicago Press, Chicago.

Church A. (1943), *Carnap's "Introduction to Semantics"*, "The Philosophical Review", Vol. 52.

Davidson D. (1967), *Truth and meaning*, [w:] D. Davidson, *Truth and Interpretation*, Oxford Clarendon Press, Oxford 1986, s. 18–36. Polski przekład: *Prawda i znaczenie*, [w:] D. Davidson, *Eseje o prawdzie, języku i umyśle*, tł. J. Gryż, PWN, Warszawa 1992, s. 3–32.

Davidson D. (1970), *Semantics for natural languages*, [w:] D. Davidson, *Truth and Interpretation*, Oxford Clarendon Press, Oxford 1986, s. 55–64. Polski przekład: *Semantyka dla języków naturalnych*, tł. M. Witkowski, [w:] D. Davidson, *Eseje o prawdzie, języku i umyśle*, PWN, Warszawa 1992, s. 60–75.

Davidson D. (1973), *In Defence of Convention T*, [w:] D. Davidson, *Truth and Interpretation*, Oxford Clarendon Press, Oxford 1986, s. 65–75. Polski przekład: *W obronie konwencji T*, [w:] D. Davidson, *Eseje o prawdzie, języku i umyśle*, tł. M. Szczubiałka, PWN, Warszawa 1992, s. 76–92.

Davidson D. (1986), *A nice derangement of epitaphs*, [w:] *Philosophical grounds of rationality*, eds. R. E. Grandy, R. Wagner, Oxford University Press, Oxford, s. 157–174.

Davidson D. (1990), *The structure and content of truth*, "The Journal of Philosophy", Vol. 87, No. 6, s. 279–328.

Davidson D. (1994), *Radical Interpretation Interpreted*, "Philosophical Perspectives", Vol. 8: *Logic and Language*, s. 121–128.

Donnelan S. K. (1972), *Nazwy własne i deskrypcje identyfikujące*, [w:] *Filozofia* języka. Fragmenty *filozofii analitycznej*, tł. T. Szubka, red. B. Stanosz, Wydawnictwo SPACJA, Warszawa 1993, s. 203–224.

Evans G. (1996), *Collected Papers*, Oxford University Press, Oxford.

Frege G. (1967), *Sens i nominat*, tł. J. Pelc, [w:] *Logika i język*, red. J. Pelc, PWN, Warszawa.

Frege G. (1977a), *Funkcja i pojęcie* (1884), [w:] G. Frege, *Pisma semantyczne*, tł. B. Wolniewicz, PWN, Warszawa.

Frege G. (1977b), *Fragmenty z „Grundlagen der Arithmetik"* (1884), [w:] G. Frege, *Pisma semantyczne*, tł. B. Wolniewicz, PWN, Warszawa.

Geach P. T. (1959), *Russell on meaning and denoting*, "Analysis", Vol. 19, No. 3, s. 69–72.

Glock H. J. (1996), *Słownik wittgensteinowski*, tł. M. Hernik, M. Szczubiałka, Wydawnictwo SPACJA, Warszawa.

Goodman N. (1949), *O podobieństwie znaczenia*, [w:] *Logika i język. Studia z semiotyki logicznej*, red. i tł. J. Pelc, PWN, Warszawa 1967, s. 415–426.

Grabarczyk P. (2008), *Od wrażenia do wyrażenia, czyli o niezdeterminowaniu przekładu i względności odniesienia*, „Przegląd Filozoficzny", nr 4 (17).

Grabarczyk P. (2009), *Eksperymenty myślowe w służbie esencjalizmu*, „Filozofia Nauki", nr 1 (65).

Grabarczyk P. (2013a), *Dyrektywalna teoria znaczenia w interpretacji behawioralnej*, [w:] *Współczesna filozofia języka. Inspiracje i kierunki rozwoju. Studia z metodologii i filozofii językoznawstwa*, t. 2, red. P. Stalmaszczyk, Katedra Językoznawstwa Angielskiego i Ogólnego UŁ, Primum Verbum, Łódź.

Grabarczyk P. (2013b), *Do Animals See Objects?*, [w:] *Regarding Mind, Naturally*, eds. M. Miłkowski, K. Talmont-Kamiński, Cambridge Scholars Publishing, Newcastle.

Grabarczyk P. (2013c), *Dyrektywalna teoria znaczenia jako teoria znaczenia wąskiego*, „Przegląd Filozoficzny – Nowa Seria", nr 4 (88).

Grobler A. (1999), *Ajdukiewicz, Lakatos i racjonalizacja konwencjonalizmu*, „Kwartalnik Filozoficzny", z. 1 (27).

Grobler A. (2013), *Renowacja radykalnego konwencjonalizmu*, „Przegląd Filozoficzny – Nowa Seria", nr 4 (88), s. 183–196.

Gustafsson M. (1998), *Semantic Meaning and Linguistic Diversity: The Place of Meaning Theories in Davidson's Later Philosophy*, "Inquiry", Vol. 41, s. 435–453.

Hintikka J. (ed.) (1975), *Rudolph Carnap Logical Empiricist*, D. Reidel Publishing Company, .

Jedynak A. (1998), *Empiryzm i znaczenie*, Wydział Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa.

Jedynak A. (2003), *Ajdukiewicz*, Wiedza Powszechna, Warszawa.

Kripke S. (1972), *Nazywanie i konieczność*, tł. B. Chwedeńczuk, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa.

Kripke S. (1977), *Speaker's reference and semantic reference*, [w:] P. A. French, T. E. Uehling, H. K. Wettstein, *Contemporary Perspectives in the Philosophy of Language*, University of Minnesota Press, Minneapolis, s. 6–27.

Locke J. (1955), *Rozważania dotyczące rozumu ludzkiego*, tł. B. Gawecki, PWN, Warszawa.

Mill J. S. (1956), *System logiki dedukcyjnej i indukcyjnej*, tł. Cz. Znamierowski, PWN, Warszawa.

Maciaszek J. (2015), *Holizm znaczeniowy Kazimierza Ajdukiewicza*, Akademia Humanistyczno-Ekonomiczna, Łódź.

Nowaczyk A. (1998), *Czy Tarski zdefiniował pojęcie prawdy?*, „Przegląd Filozoficzny", nr 2 (26), s. 5–30.

Nowaczyk A. (2000), *Ajdukiewicza teoria znaczenia z perspektywy lat*, „Filozofia Nauki", nr 8 (2), s. 101–113.

Nowaczyk A. (2006), *Dyrektywalna teoria znaczenia, czyli dramat filozofa*, [w:] *Sens, prawda, wartość: filozofia języka i nauki w dziełach Kazimierza Ajdukiewicza, Witolda Doroszewskiego, Tadeusza i Janiny Kotarbińskich, Romana Suszki, Władysława Tatarkiewicza*, red. J. Pelc, Biblioteka Myśli Semiotycznej, Warszawa.

Nunberg G. (2004), *Descriptive Indexicals and Indexical Descriptions*, [w:] *Descriptions and Beyond: An Interdisciplinary Collection of Essays on Definite and Indefinite Descriptions and Other Related Phenomena*, eds. M. Reimer, A. Bezuidenhout, Oxford University Press, Oxford.

Proops I. (2001), *The New Wittgenstein*, http://www-personal.umich.edu/~iproops/practice/nw.pdf.

Proops I. (2004a), *Wittgenstein on the substance of the world*, http://wwwpersonal.umich.edu/~iproops/practice/EJOP_01201005.pdf.

Proops I. (2004b), *Wittgenstein's logical atomism*, http://plato.stanford.edu/entries/wittgenstein-atomism/.

Putnam H. (1962a), *What theories are not*, [w:] H. Putnam, *Mathematics, Matter and Method. Philosophical Papers*, Vol. 1, Cambridge University Press, Cambridge 1975, s. 215–227.

Putnam H. (1962b), *Analityczne i syntetyczne*, [w:] H. Putnam, *Wiele twarzy realizmu i inne eseje*, tł. A. Grobler, PWN, Warszawa 1998, s. 3–59.

Putnam H. (1975a), *Mind, Language and Reality. Philosophical Papers*, Vol. 2, Cambridge University Press, Cambridge.

Putnam H. (1975b), *Znaczenie wyrazu „znaczenie"*, [w:] H. Putnam, *Wiele twarzy realizmu i inne eseje*, tł. A. Grobler, PWN, Warszawa 1998, s. 93–184.

Putnam H. (1975c), *Do True Assertions Correspond to Reality*, [w:] H. Putnam, *Mind, Language and Reality*, Philosophical Papers, vol. 2, Cambridge University Press, Cambridge, s. 70–84.

Putnam H. (1983), *Is there a matter of fact about fiction*, "Poetics Today", Vol. 4, No. 1, s. 77–81.

Putnam H. (1985), *A Comparison of something with something else*, "New Literary History", Vol. 17, No. 1, s. 61–79.

Quine W. v. O. (1943), *Notes on existence and necessity*, "The Journal Of Philosophy", Vol. 40, No. 5, s. 113–127.

Quine W. v. O. (1948), *O tym, co istnieje*, [w:] W. v. O. Quine, *Z punktu widzenia logiki*, tł. B. Stanosz, PWN, Warszawa 1969.

Quine W. v. O. (1951), *Dwa dogmaty empiryzmu*, [w:] W. v. O. Quine, *Z punktu widzenia logiki*, tł. B. Stanosz, PWN, Warszawa 1969.

Quine W. v. O. (1953), *Z punktu widzenia logiki*, tł. B. Stanosz, Fundacja Aletheia, Warszawa 2002.

Quine W. v. O. (1960), *Słowo i przedmiot*, tł. C. Cieśliński, Fundacja Aletheia, Warszawa 1999.

Quine W. v. O. (1968), *Ontological relativity*, "The Journal of Philosophy", Vol. 65, No. 7, s. 185–212.

Quine W. v. O. (1970), *Filozofia logiki*, tł. B. Stanosz, Fundacja Aletheia, Warszawa 2002.

Quine W. v. O. (1987), *Indeterminacy of translation again*, "The Journal of Philosophy", Vol. 84, No. 1, s. 5–10. Przekład polski: *Raz jeszcze o niezdeterminowaniu przekładu*, [w:] *Filozofia języka. Fragmenty filozofii analitycznej*, tł. T. Szubka, red. B. Stanosz, Wydawnictwo SPACJA, Warszawa 1993, s. 194–199.

Quine W. v. O. (1990), *Na tropach prawdy*, tł. B. Stanosz, Wydawnictwo SPACJA, Warszawa 1997.
Quine W. v. O. (1993), *In praise of observation sentences*, "The Journal of Philosophy", Vol. 90, No. 3, s. 107–116.
Quine W. v. O. (1995), *Od bodźca do nauki*, tł. B. Stanosz, Fundacja Aletheia, Warszawa 1998.
Quine W. v. O. (1996), *Progress on two fronts*, "The Journal of Philosophy", Vol. 93, No. 4, s. 159–163.
Russell B. (1905), *Denotowanie*, [w:] *Logika i język. Studia z semiotyki logicznej*, red. i tł. J. Pelc, PWN, Warszawa 1967, s. 253–275.
Russell B. (1919), *Deskrypcje*, [w:] *Logika i język. Studia z semiotyki logicznej*, red. i tł. J. Pelc, PWN, Warszawa 1967, s. 277–293.
Russell B. (1957), *Mr. Strawson on referring*, "Mind, New Series", Vol. 66, No. 263, s. 385–389.
Ryle G. (1957), *Teoria znaczenia*, [w:] *Logika i język. Studia z semiotyki logicznej*, red. i tł. J. Pelc, PWN, Warszawa 1967, s. 485–516.
Sady W. (2000), *Spór o racjonalność naukową. Od Poincarego do Laudana*, Funna, Wrocław.
Salmon N. (2005), *On designating*, "Mind", Vol. 114, No. 456, s. 1069–1133.
Saul J. M. (1997), *Substitution and Simple Sentences*, "Analysis", Vol. 57, No. 2, s. 102–108.
Searle J. R. (1987), *Niezdeterminowanie, empiryzm i pierwsza osoba*, [w:] *Filozofia języka. Fragmenty filozofii analitycznej*, tł. T. Szubka, red. B. Stanosz, Wydawnictwo SPACJA, Warszawa 1993, s. 157–173.
Stanosz B. (1973), *Teoria znaczenia i oznaczania w logice tradycyjnej*, [w:] B. Stanosz, *Logika języka naturalnego*, Polskie Towarzystwo Semiotyczne, Warszawa, s. 11–22.
Stanosz B. (1975), *O ustalaniu znaczeń wyrażeń nieznanego języka*, [w:] B. Stanosz, *Logika języka naturalnego*, Polskie Towarzystwo Semiotyczne, Warszawa, s. 141–151.
Strawson P. F. (1950), *O odnoszeniu się użycia wyrażeń do przedmiotów*, [w:] *Logika i język. Studia z semiotyki logicznej*, red. i tł. J. Pelc, PWN, Warszawa 1967, s. 378–413.

Strawson P. F. (1970), *Znaczenie i prawda*, tł. T. Szubka, [w:] *Filozofia języka. Fragmenty filozofii analitycznej*, tł. T. Szubka, red. B. Stanosz, Wydawnictwo SPACJA, Warszawa 1993, s. 11–28.

Tarski A. (1933), *Pojęcie prawdy w językach nauk dedukcyjnych*, [w:] A. Tarski, *Pisma logiczno-filozoficzne*, t. 1: *Prawda*, PWN, Warszawa 1995, s. 9–172.

Tarski A. (1944), *Semantyczna koncepcja prawdy i podstawy semantyki*, [w:] A. Tarski, *Pisma logiczno-filozoficzne*, t. 1: *Prawda*, PWN, Warszawa 1995, s. 228–282.

Wittgenstein L. (1922), *Tractatus logico-philosophicus*, tł. B. Wolniewicz, PWN, Kraków 1970.

Wittgenstein L. (1953), *Dociekania filozoficzne*, tł. B. Wolniewicz, PWN, Warszawa 1972.

Woleński J. (2005), *Epistemologia*, PWN, Warszawa.

Wolniewicz B. (1968), *Rzeczy i fakty: wstęp do pierwszej filozofii Wittgensteina*, PWN, Warszawa.

Zabłudowski A. (1989), *O Quine'a teorii niezdeterminowania przekładu*, [w:] *Filozofia języka. Fragmenty filozofii analitycznej*, tł. T. Szubka, red. B. Stanosz, Wydawnictwo SPACJA, Warszawa 1993, s. 174–193.

Żegleń U. (red.) (1996), *Dyskusje z Donaldem Davidsonem o prawdzie, języku i umyśle*, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin.

Paweł Grabarczyk – Uniwersytet Łódzki, Instytut Filozofii
Katedra Filozofii Analitycznej, 90-131 Łódź, ul. Lindleya 3/5

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
Wydanie I. W.07684.16.0.M

Ark. wyd. 10,6; ark. druk. 16,625

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
90-131 Łódź, ul. Lindleya 8
www.wydawnictwo.uni.lodz.pl
e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl
tel. (42) 665 58 63